

De.I.1
Tom CLXXXII.

Zeszyt 574.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

ROK CZTERDZIESTY ÓSMY.

PAŹDZIERNIK.

1889.

WARSZAWA.

Adres Redakcyi: NOWY-SWIAT Nr. 41.

1889.

T R E Ś Ć.

stron.

I. Pogrom turek pod Chocimem 1673 r. Opisany wierszem przez gniewa Morsztyna. Z rękopisu współczesnego podał J. K. Pleński.	1
II. Z wystawy paryskiej. Dział Rolniczy. (Ogólny rzut oka na wystawę rolniczą w powszechnej międzynarodowej wystawie paryskiej. — I. Pajon leśny. — II. Dział agronomii i statystyki rolnej. — III. Dział pedagogiczno-rolniczy). Przez W. G.	27
III. Międzynarodowe konferencye monetarne. (Dok.). Przez prof. dr. zefa Milewskiego	44
IV. Bismarck contra Fryderyk III. (Studyum z historii współczesnej). ciąg dalszy). Przez Konrada Machczyńskiego.	65
V. Klemens Eug. Dziewulski. (Rys biograficzno-naukowy). Przez B. P.	99
VI. Z wystawy paryskiej. V. — (Etnografia. — Dział wystawy ministerstwa wojny i marynarki. — Napoleon I i pamiątki jego epoki. — Dział higieniczny. — Dział ekonomii społecznej „Magasin bon marche“, „Cereale ouvrier“, Czerwonego krzyża. — Zagraniczny dział sztuk pięknych, mianowicie walarstwa: angielskiego, Stanów Zjednoczonych Am. p., skandynawskiego, szwecyjskiego, Norwegia, Dania) holenderskiego, belgijskiego, szwajcarskiego, emickiego, węgierskiego, czeskiego, rosyjskiego, polskiego, greckiego, hiszpańskiego, rumuńskiego).	109
VII. PRZEGLĄD PIŚMIENICTWA KRAJOWEGO I ZAGRANICZNEGO.	
Historja literatury polskiej, na tle dziejów skreślona, przez Maryana Dubieckiego. T. II, 474, XXI. Warszawa, 1888. Przez Romana Plenkiewicza	130
Sprawa Zygmunta Unruqa. Epizod historyczny z czasów saskich 1715—1740. Przez Aleksandra Kraushara. Krak. 1890. T. I, str. 274, T. II, str. 252. Przez J. K. P.	143
VIII. Kronika miesięczna. — Rzut oka na stosunki międzynarodowe. — Rozruchy na wyspie Kandyi, — zatarg Hiszpanii z cesarstwem Marokańskim. — Postępy kolonizacji niemieckiej w Afryce wschodniej. — Polityka wewnętrzna: Koniec ćwiczeń wojskowych w Niemczech, Austro-Węgrzech i Francji. — Antagonizm ekonomiczny i polityczny między Włochami a Francją. — Próba przeprowadzenia ugody między Czechami a Niemcami w Czechach. — Wybory francuskie do nowej izby na następne lat cztery. Znaczenie tego faktu. — Wystawa dzieł sztuki zastosowanej do Przemysłu w Muzeum przemysłu i rolnictwa w Warszawie. — Wystawa rolniczo-przemysłowa w Wilnie. — Uroczystość zakończenia starożytności i otwar-	

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 192.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

1889.

Tom czwarty.

WARSZAWA.

Adres Redakcyi: NOWY-ŚWIAT Nr. 41.

—
1889.



№ 1

Дозволено Цензурою.
Варшава, 26 Сентября 1889 года.

Pogrom Turków pod Chocimem 1673 r.

Opisany wierszem przez Zbigniewa Morsztyna.

Z rękopisu współczesnego

PODAŁ

J. H. Słebański.

Ze wszystkich wojen, które Polska w wieku XVII-ym niemal bez wytechnienia prowadzić musiała, wojny z Turcyą budziły w Europie największe zajęcie. ponieważ opromieniała je cywilizacyjna idea obrony chrześcijaństwa przeciwko niepowsściągliwym zamachom zaborczym islamu,—ponieważ przyświecała im idea współzawodnictwa świata azyatyckiego, muzułmańskiego z kulturą i oświatą europejską, zachodnią. Oprócz tego była Turcyą w wieku XVII-ym najpotężniejszém państwem militarném, zagrażała najrozmaitszym interesom narodów, dynastji i religji, przez co miała też w Europie najliczniejszych wrogów, którzy, truchlejąc z obawy przed tryumfami półksiężycy, nie mogli się jednak zdobyć na wielką, zjednoczoną wyprawę; chociaż stolica apostolska nie przestawała wzywać do niej monarchów i książąt chrześcijańskich. Jeżeli klęska warneńska i cecorska trwożą przejęły Zachód, to tryumfy chocimskie i odsiecz wiedeńska zlewały na oręż polski tyle blasku i dobrze zasłużonej sławy, że promienie jej świecą dotychczas w dziejach sztuki wojennej i w dziełach literatury nie tylko polskiej, ale i europejskiej.

Znane pod nazwą „wojny chocimskiej“ wojenne czyny Polaków w roku 1621-ym, wystawione świeżo w dokładnym obrazie

przez Józefa Tretiaka ¹⁾, ważniejsze pod względem polityki międzynarodowej przez zaprzysiężenie pokoju, kładącego pewniejsze zasady stosunków polsko-tureckich, błędną nieco, pod względem dzielności rycerskiej, w obec tryumfu, który pod tym samym Chocimem odniósł w 52 lata później Jan Sobieski, jako hetman W. Kor., w chwili zgonu króla Michała Wiśniowieckiego w roku 1673-cim.

Nie może być w tej chwili zadaniem naszym badać przyczyny i okoliczności historyczne, które w listopadzie 1673-cim roku zaprowadziły Jana Sobieskiego pod Chocim, bo studyum takie musiałyby objąć nie tylko całe panowanie Wiśniowieckiego; ale sięgnęłyby dość głęboko jeszcze i do epoki Jana Kazimierza i Maryi Ludwiki Gonzaga, pod której wpływem zszeregowało się w Rzeczypospolitej stronnictwo francuzkie, służące ślepo widokom polityki francuzkiej, i stronnictwo szlacheckie, piszące na swem sztandarze głośne hasła swobód narodowych, wolności elekcyi i t. p., których stronnictwo francuzkie nie tylko burzyć, ale nawet tykać nie zamyślało. Patryotyczne rzekomo wicherzenia konfederacyi gołabsko-lubelskiej, występującej pod marszałkowstwem Stefana Czarnieckiego, pisarza polnego kor., synowca zmarłego bohatera, — w obronie majestatu królewskiego, zagrożonego przez malkontentów, burzących się przeciw królowi Michałowi; równie jak i „buntownicze“ postęпки związku szczebrzeszyńsko-łowickiego, pod wodzą prymasa Prażmowskiego i hetmana W. Kor. Sobieskiego, nietylko paraliżowały wszelką akcją wojenną na granicy wschodniej, niepokojonej przez inkursye Tatarów w Polsce, a przez wyprawy kozackie w Turcyi; ale kępowały w wysokim stopniu samodzielniejszy kierunek polskiej polityki wschodniej.

Owoce tego wszystkiego była utrata Kamieńca wraz z Podolem i Ukrainą oraz pokój buczacki, który prócz odstąpienia Podola i Ukrainy Turkom, włożył na Polskę obowiązek płacenia rocznego haraczu Turkowi. — Dla dokładnego zrozumienia tych smutnych faktów wypadaloby wykazać związek, jaki w danej chwili zachodzi między temi turecko-polskimi zapasami wojennymi a polityką polską na Wschodzie i to równie zewnętrzną względem państwa osmańskiego i jego hołdowników Tatarów, jak i wewnętrzną względem kozaczyzny, szarpanej na różne strony przez chciwych a dla sprawy publicznej obojętnych przywódców kozackich.

W sferze tych wyobrażeń i szamocących się namiętności mieszcza się te wypadki chocimskie, które poezya i tradycya narodowa iskrzącym otoczyła blaskiem. „Wojnę chocimską“ z r. 1621-o opiewało wierszem aż pięciu poetów współczesnych,

¹⁾ Historia wojny chocimskiej 1621. Lwów, 1889, str. 235.

a z pomiędzy późniejszych, prócz poety chorwackiego Gondulicza, jeszcze Wacław Potocki i Ignacy Krasicki ¹⁾).

„Pogrom turecki pod Chocimem 1673-o r.” był przedmiotem kilku utworów poetycznych Wespazyana Kochowskiego ²⁾; a oprócz tego opisywali go: Leszczyński Rafał ³⁾, Jan Kwiatkiewicz ⁴⁾, Samuel Leszczyński ⁵⁾, Redwitz Jan ⁶⁾, Slizień Stef. Jan ⁷⁾, Leonard Frison ⁸⁾ i. i. O wielkiem wrażeniu tryumfu chocimskiego świadczą także: „Pieśń o szczęśliwym zwycięstwie pod Chocimem, w której się zawiera porażka pogan przez rycerstwo polskie“ (b. m. dr. 1673), — „Pieśń dziękczynna Panu Bogu za zwycięstwo pod Chocimem, dnia 11 listopada 1673-o otrzymane“ (Przegląd poznański 1861. T. XXXI str. 38—42); „Bolesnie zasmucona a teraz serdecznie uradowana korona polska po zdobyciu Chocimia“ (w języku niemieckim. Gdańsk 1673) — oraz kilka współczesnych relacji o tym pogromie Turków w języku łacińskim (Zob. Bibliogr. K. Estreichera. T. 8 pod r. 1673). Obszernie opisał ten pogrom turecki (podobnie jak pierwszą wojnę chocimską w r. 1621-ym) Wacław Potocki w wierszu epicznym, ogłoszonym dopiero w r. b. przez dr. Bolesława Erzepekiego, który uważał go mylnie za drugą część znanego już dawniej poematu Potockiego „Merkuryusz nowy“ ⁹⁾.

Z gruntownego studyum Jana Rzepeckiego „O nieznanym dotąd poezjach Zbigniewa Morsztyna“ ¹⁰⁾, a mianowicie ze szcze-

¹⁾ 1) Bojanowski „Naumachia chocimska. Jarosł. 1622. 2) Bartłomiej Zimorowicz „Pamiętka wojny tureckiej 1621. Krak. 1623. 3) Piotr Napolski (Jan Żabczyk) „Krwawy Mars narodu Sarmackiego“.— 1628 4) Jan Rudomina (Fryderyk Warsflichtig) „Dyaryusz prawdziwej ekspedycyi przeciw Osmanowi odprawowanej“. 1640. 5) Samuel Twardowski „Wład IV król polski“. Leszno 1649 Sarbiewski pisał także odę (lib. IV 4) na to zwycięstwo w języku łacińskim. Zob. J. Tretiak l. c. str. 2.

²⁾ Liricorum polskich Epodon. Epod XVI — XIX włącznie. Wyd. Turrowskiego. Krak. 1859 str. 300—313.

³⁾ „Zwycięstwo narodu polskiego nad Turczyzmem na polach Chocimskich“. Zamość 1673.

⁴⁾ „Laurus prodroma ad coronam seu carmen Joanni III laurea ad Chocinum“. 1674.

⁵⁾ „Classicum sławy wodzów po victorye pod Chocimem“. Krak. 1674. Zob. w wierszu Zbigniewa Morsztyna zwrotkę 108.

⁶⁾ „Corona victoriae coelitus conceptae per Joan. Sobieski sub Chocim“. Leszno 1674.

⁷⁾ „Haracz krwią turecką wyplacony pod Chocimem“. 1674.

⁸⁾ Expeditio sacra et victoria Polonica. Parisiis. 1674 powtórnie 1675.

⁹⁾ Zob. Bibl. Warsz. zeszyt na miesiąc wrzesień 1889-o r. str. 429—446.

¹⁰⁾ Bibl. Warsz. 1885. T. I 38—66; 388—403. T. II 40—59.

gółowego opisu kodeksu rękopiśmiennego pod tyt. „Muza domowa,“ zawierającego zbiór poezyi Zbigniewa z Raciborska Morsztyna, miecznika mozyrskiego, wiadomém było, że poeta ten, wyrzucony niesłusznie ¹⁾ przed 35-iu laty przez Ant. Małeckiego z literatury polskiej, zajmować powinien jedno z pierwszych miejsc między poetami naszymi wieku XVII-o, ponieważ przechowane w „Muzie domowej“ utwory jego w liczbie 60-iu, chociaż nie wolne niekiedy od wykroczeń przeciwko rytmowi, odznaczają się tylu zaletami, że nie ustępują w niczém najlepszym owoczesnym pomnikom poetycznym. Jednym z większych, a bez wątpienia jednym z najpiękniejszych utworów Zbigniewa Morsztyna, jest poemat jego o zwycięstwie chocimskim r. 1673. W kodeksie, z którego miał sposobność korzystać dr. Rzepecki, zawiera poemat ten przeszło 800 wierszy ²⁾.

Spotkawszy w innym rękopisie z końca wieku XVII-o, użyczonym nam przez dr. L. Mizerskiego z Peplina do swobodnego użytku, razem z wielu innymi poetycznymi utworami Zbigniewa Morsztyna, drugą kopią tego poematu, ogłaszamy ją w „Bibliotece Warsz.“, ponieważ uważamy tę wierszowaną szczegółową relacją Zbigniewa Morsztyna o zwycięstwie chocimskim 1673-o r., nie tylko jako piękny zabytek literacki z owój epoki, za zasługującą na szerszą uwagę społeczeństwa polskiego; ale i jako pomnik pod względem historycznym nieposledni, gdyż zawiera on szczegółowy niemal rejestr przedniejszego rycerstwa, które się do tryumfu Sobieskiego pod Chocimem przyczyniło.

Zbigniew Morsztyn, wydalony jako Aryanin z ojczyzny mocą konstytucyi sejmowój 1658-o r., znalazł za pomocą Bogusława Radziwiłła, namiestnika kurfyrystowego, schronienie i protekcją w Prusach książęcych u elektora brandenburskiego, który go wysoko poważał i wsią Rudówką dostatnio uposażył. Nadmieniamy tu z przyjemnością zgodnie z opinią p. Rzepeckiego, że Zbigniew Morsztyn nawet jako wygnaniec nie zapomniał nigdy o swojej ojczyźnie, jak to u wielu ówczesnych przywódców arianizmu polskiego widzimy, którzy nie tylko się w krótcie wynarodowili, ale z zacieklą nieprzyjaźnią względem społeczeństwa polskiego występowali. Potomkowie wielu z nich zajmowali i zajmują wybitniejsze stanowiska w hierarchii wojskowej i urzędniczej pruskiej. Z utworów Zbigniewa Morsztyna płynie owszem to świadectwo, że on w ustawicznym i to serdecznym zostawał związku

¹⁾ Kwestyą tę objaśnił wyczerpująco dr. J. Rzepecki w Bibl. Warsz. 1885 r. z podaniem całego aparatu krytyczno-literackiego, dla tego ją tutaj za załatwioną uważamy.

²⁾ Bibl. Warsz. 1885. T. I str. 64—67.

z Polską i Warszawą, że utrzymywał ożywione nader stosunki z dawnymi znajomymi i że go wypadki krajowe nader żywo obchodzily. Dowodem tego, prócz wielu innych, jest także poemat o zwycięstwie pod Chocimem, napisany, zdaje się, bardzo prędko po tym tryumfie, a obfitujący w liczne szczegółowe fakta wojenne. Poeta wspominał w nim o stukilkudziesięciu przeszło osobach „competenter et honorifice”, od najwyższych hetmanów i wodzów aż do prostych towarzyszy pancernych, wzmiankował szczegółowo o poległych, rannych a nawet o tych, którzy, mimo chęci, dla ważnych przeszkód, w sprawie tej udziału wziąć nie mogli. Prócz ogłoszonych drukiem relacji o tym pogromie tureckim miał Morsztyn widocznie bardzo kompetentnego i sumiennego sprawozdawcę, który nie zapominał szczególnie o tych osobach, które poetę naszego czy to z powodu węzłów familijnych, czy wyznaniowych i towarzyskich bliżej obchodziły.

Po „Sławnej Victoryey chocimskiej”, nie napisał już Zbigniew Morsztyn, oprócz „Trenów na śmierć Anny ze Szpanowa Błędowskiej” żadnego szerszego utworu a umarł krótko przed r. 1698, bo w tymże roku przechodzi Rudówka w posiadanie jego żony.

Rękopis, z którego poemat ten ogłaszamy opisaliśmy w zeszycie wrześniowym Bibl. Warsz. r. b., mówiąc o spuściznie poetyckiej Wacława Potockiego, dla tego nadmieniamy tylko, że utwory Zbigniewa Morsztyna, które się tu mieszczą, zajmują ściślego wyraźnego pisma stronic 244 (od 531 — 775) ¹⁾. „Sławna Vi-

¹⁾ Dla informacji spodziewanego wydawcy utworów Zbigniewa Morsztyna, który na obfitym zbiorze „Muzy domowej” opierać się będzie musiał, wskazujemy w tym miejscu utwory, mieszczące się w kodeksie p. Mizerskiego, ponieważ kopia ta może się okazać potrzebną dla ustalenia autentycznej redakcyi tekstu. Przepisywacz nasz, sam niepośledni także rymotwórca, (prawdopodobnie wielkopalanin Broch-Trembecki, występujący wybitniej w tej epoce na sejmach i sejmikach wielkopolskich, jak to widać z Dyaryuszów sejmowych za Jana Kazimierza w aktach Oniasza ^{a)}) zapisał na str. 531 tytuł taki: „Zbigniewa z Raciborska Morsztyna, miecznika Moryzkiego, wiersze polskie”. Na str. 533 rozpoczyna ten zbiór:

1) Pieśń, wyrażająca w sobie wszelkie sposoby życia na tym świecie y ukazująca w czym największe szczęście człowiecze nadewszystko zawiera się, str. 533.—

2) List do JMĆP. Aleksandra Mierzeńskiego, porucznika chorągwie pancerney K-cia Imci Janusza Radziwiłła, wojew. wileńsk. y hetm. W-o W. K. Lit. str. 556 — 565.

3) Duma sześciu panien podczas oblężenia Krakowskiego in Anno (dopisane później: circa 1657, co jest mylnie, powinno być 1656-o) str. 565 — 576.

4) Druga дума samegoż authora pod tenże czas oblężenia krakowskiego, gdy był u szwodów więźniem (576 — 580).

a) Przemawiałby za tém także stempel u dołu karty tytułowej kodeksu: „Ign. Broch Trembecki 1799”.

ctoria“ (str. 727--759) obejmuje 158 czterowierszowych zwrotek czyli strof: wiersze rymowe są nieprzekładane, gdyż rymujące się końcówki następują po sobie. Pierwsze trzy wiersze każdej strofy są jedenastozgłoskowe, każdy czwarty zaś pięciozgłoskowy, na wzór asklepiadejskich (II) i saficznych mniejszych zwrotek Horacyuszowych, o ile wiersz rymowy z klasycznym porównać można.

5) Do Yey Mć. Panny Ciechanowskiej, Wdzianki Mińskiej, complement in gratiam jednego kawalera złożony (str. 581—585).

6) Na twarz jednej grzeczney damy. (585).

;) Heynał na dobry dzień ofiarowany JEMCI Pannie Zofiej z Szpanowa Czaplicównie od Imci P. Zbigniewa z Raciborska Morsztyna, miecznika Mozyrskiego (str. 586—589). W 2-óch szpaltach).

8) Na dobrą noc teyże od tegoż (589—591. W 2-óch szpaltach).

9) Dyalog młodzieńca z Panną (str. 591—597).

7) Nos (str. 598—601). 8) Pieśń na pożegnaniu (602—603). — 9) Nos spółzalotnika (603).—10) Węzeł (604).—11) Dedicacye pewnych transcriptow Andrzeia Lubienieckiego, skomponowane in gratiam iego przez tegoż Zbyg. Morsztyna; a) Do Wey J. M. Krzyszkofskiej Dönhoffowey, Ciwonowey Wileńskiej (605—608) na marginesie: Dedicatia gadek XII JMĆ. Podskarb. kor. y drugieh roznych z pisma swego. — b) Do JMP. Anny z Bnina Mleczkowey, Mielnickiej y Łosickiej starościny in gratiam tegoż Andrzeia Lubienieckiego. Na marginesie: „Dedicatia zegarka męki Pańskiej na 24 godzin rozdzielonego z przydaniem Modlitwy rozmyślania Authore R. P. Głoskowski Cantore Gnesnensi.“ (str. 608 — 613).—12) Gadka o prostey a prawdziwey probie każdej wiary Authore S. P. (613, 614). 13) O tymże szczyry Z. M. (614—620). 14) Ad Polonium de pacis cum Svecis Prussicis S. P. (str. 620. Po łacinie Sam. Przypkowskiego lub Pastoryusza). — 15) Toż samo po polsku przełożył Z. M. — 16) Ostenda S. P. (622 623).—17) Ostenda. Początek po polsku, koniec po łacinie. — 18) Adaequinoctium autumnale. S. P.—Toż samo po polsku. (str. 625).—Potem kilka elegii S. P. po łacinie, oraz wierszy Jana Pici Mirandulae z polskiem tłumaczeniem Z. M. (do str. 645)—18) Pamiątka Aleksandra z Szpanowa na Haliczanach Czaplica. Napisaana przez zięcia Z. M., którym aż po śmierci iego został w roku 1664 (str. 645—658)—19) Pamiątka młodzieńca Stefana Trębeckiego wierszem opisana tegoż Z. M. (658—662).—20) Lament gospodarowey wołoskiej (żony Lupula hospod., której córka była za Ks. Januszem Radziwillem)—str. 662—669.—21) Następują tłumaczenia z Perzysusza, Horacyusza (669—674).—22) Myśl ludzka (674—676). — 23) Języki ludzkie (676—680) — 24) Na suknią niowolniczą JMĆ. Franciszka Krzywickiego iedenacię razy postrzelonego, Anno 1656 (str. 680—682).—25) Do JM. Al. Mierzeńskiego List, iadąc do wojska koron. (682—683). 26) Do JMP. Huryna, sługi K-ia Koniuszego WKL. podczas odjazdu XJM, do Baru (684—686).—27) Kostyrowie woyskowi (686—689).—28) Pamiątka do brego konia. Anno 1655 (689—682).—29) Lament w zakochaniu (692 — 694).—30) Epithalamium pewnym osobom (str. 694—696)—31) Biely po-

Dr. Rzepecki oblicza ten poemat Zbigniewa Morsztyna w rękopisie „Muzy domowej“ na 800 przeszło wierszy, gdy nasza kopia jest o 168 wierszy czyli o 42 strofy krótszą, uboższą i nie ma także owęj charakterystycznój przedmowy, którą znamy już z powołanej rozprawy dr. Rzepeckiego ¹⁾. W samėj redakcyi tekstu nie będzie zapewne wielkiėj różnicy, bo porównane na naszą prozbę przez p. Tadeusza Lange, sędziego w Gnieźnie, właściciela „Muzy domowej“, jedno wątpliwe miejsce naszėj kopii z jego rękopisem nie wykazało żadnėj różnicy, a w tych strofach, które podał Rzepecki (l. c. str. 66) spotkaliśmy w naszėj strofie 100-ój wariant: Zamiast: „Y za to—Y potem;—zam. „dwuch Turków“ dwu Turków, i opuszczoną całą strofę o „Lubienieckim. Miejmy nadzieję, że p. Tadeusz Lange nie pozwoli na to, żeby ten zbiór poezyi miał długo zostawać w ukryciu — lub, czego Boże broń, żeby miał utonąć w jakim archiwum pruskiem.

Wiersz Zbigniewa Morsztyna brzmi w tych słowach:

Sławna victorya

NadTurkami od wojsk koronnych i Wielkiego księstwa Litewskiego, pod Chocimem otrzymana w dzień Świętego Marcina Anno Domini 1673. Przez Zbigniewa z Raciborska Morsztyna, Miecznika Mozyrskiego.

Cud a nie wojnę, powiem niesłychany,
Jak Bóg ukrócił harde bisurmany
Przez miecz z litewskim oraz złączonego
Wojska Polskiego.

Wiadoma światu ottomańska siła,
Która połowę Aziei podbiła,
I jako powódź srogiemy zatopy
Część Europy.

dróżne. — 32) Na znamię (696). — 33) Gdy X. Bogusław Radziwiłł u stołu kursyrsza w Królewcu siedział, a przeciw niemu trzy księżniczki kurlandskie 1669 (697). — 34) Epithalamium Al. Mierzeńskiemu (698). — 35) Bankiet Bogów (699—715). — 36) Nagrobki różne (715—722). — 37) Fraszki (722—726). — 38) Victoria pod Chocimem (727—759). — 39) Nagrobek generałowi Żebrowskiemu pod Żurawnem z działa zabitemu, 1676 w Maydanie (759). — Temuż (761). — 40) Threny żałobne JM. Paniey Konst. Słuszczańki Denhoffowej wojewodziny Pomorskiej po ś. p. Wład. hr. Denhoffie, wojew. Pomorskim pod Parkanami 1683 zabitemu (763—775).

¹⁾ Bibl. Warsz. 1885. T. I str. 65.

A chcąc i z całej krwawe zebrać łupy
 Po Alcydowe jak niekiedy słupy,
 Tak po ostatniej w brzegu jej port, ony
 Sławnej Lizbony.

To srogim mieczem tych się ziem dobija,
 Które krwią zlała stracona Kandya,
 To się pod boki czarnemu orłowi
 Zbliża sadowi.

Ale najbarzziej na polską krainę
 Nie sytej żądze obracał wścieklinę,
 I chcąc w jej polach krwawe widzieć brody,
 Czekał pogody.

A widząc, jako nam los niespokojny
 Przyniósł postronne i domowe wojny,
 Które ostatnie tey ojczyzny siły
 Całe zwałiły,

Ruszył potęgę Wschodu i wielkimi
 Wojski. z którymi ciężko było ziemi,
 Rozumiał, że choć szable nie dobędzie,
 Polskę posiędzie.

I gdy Kamieniec, choć nieludzkim czynem
 Mocny, witać się musiał z poganinem,
 Gdy miasta, zamki i otwarte pola
 Zabrał Podola.

Rozumiał, że nas już całe pochłonie,
 I że w Bałtyckim zmordowane konie,
 Tam kędy wiślnie wpadają powodzi,
 Morzu podbrodzi.

Ale i wtenczas, choć własne niezgody ¹⁾
 Ostatniej mało nie przyniosły szkody,
 Bóg nas ratował, że przez mocne wstręty
 Serce mu w pięty

Poszło; bo kiedy marszałek ²⁾ z wybranym
 Rycerstwem, szczęściem nigdy niesłychanym
 Gromił Tatarzy, że ich większa siła
 Całe zginęła.

¹⁾ Pod Gołębiem. — ²⁾ Jan Sobieski, Marsz. i Hetm. wielki kor.

Cofnął się nazad, i widząc złą sprawę,
 Za Dniestrową się pospieszył przepawę
 I nie oparł się aż w wołoskiej ziemi
 Z wojskami swemi.

Stały wtenczas pakta bez przysięgi,
 Których nie patrząc, znowu się potęgi,
 Nie chcąc w sromotnym zostawać pokoju,
 Biorą do boju.

Poganiń hardy tam, kędy Dniestr płynie,
 Przy starodawnym stanawszy Chocimie,
 Chcąc tam zimować, otoczył się wałem
 Z wojskiem nie małym,

Nad trzydzieści ich tysięcy liczono,
 Którym żywności zewsząd nawożono.
 J co do mocnej należy armaty,
 Kule, granaty,

Prochy i lonty i wszystkie potrzeby
 Mieli; i z gołą takie wojsko, żeby
 W otwartym polu bić się im godziło,
 By serce było.

Ale zażyli bezpieczniejszej rady.
 Sowite wały, mocne palisady
 Te się im bardziej zdały być warowne,
 Niż pole równe.

A nim się wojska przybliżyły nasze,
 Wabił do siebie pilno Kapłan Paszę
 Husseim, który miał komendę nad temi
 Trzema drugimi.

Tamten się śpieszył i z odsieczą sporą
 Już było słyszeć, że był pod Cecorą,
 I pewnieby nam ciężkie te dwie były
 Złączone siły.

Ale wodzowie obudwu narodów,
 Bystrych dniestrowych nie patrząc brodów,
 Ochocze wojska w tak gorącej chwili
 W lot przeprawili ¹⁾.

O Gospodarze potym nam nowiny
 Wołoskim przyszły, że do Bukowiny

¹⁾ Tydzień się wojsko korodne przeprawowało przez Dniestr pod Łuką.

Uszedł z swojemi, lubo ich niemało
Na rzeź zostało.

Zaczym General Korycki ¹⁾ posłany
Z mocną partyą, żeby lud strwogany
Uwiódł z tych lasów, przed srogim pożarem
Z ich Hospodarem.

Gdy zatym świetne krzyże się błysnęły,
Wnet Ottomańskie miesiące poczęły
Błądnąć: a wojska, co ich otoczyły,
Poła okryły.

Długo im nasi szyk prezentowali ²⁾,
Szyk boju chciwy, czekając, azali
Wódz ich i żołnierz, dzielnością wślawiony,
Wstydem ruszony

Odprawi taniec marsowy w przestrzeni,
Nie za okopy; lecz darmo wabieni
Harcem, od których oddalić się bali,
W wałach zostali.

Noc zatym zaszła i wojsko w okopy
Osmana niegdy weszło, gdzie są tropy
Męstwa polskiego, gdy nasi strzymali
Tak srogięj fali.

Nazajutrz rano o ósmej godzinie ³⁾
Znowu się świetny szyk polski rozwinie:
Z dział salwy dają, a ochotnik śmiały
Wpada pod wały.

Turczyn zaś w sobie ochoty nie czuje
W polu dać bitwy i szanę pilnuje,
Za którym stoi i za palisadą,
Gęstą osadą.

Harcownik tylko trochę się wysunie,
Ale w lepszej nam, niż sobie fortunie,
Bo ich nasz (wdzięczną wodzom swym koledę)
Brał, jak na wędę.

¹⁾ General Major Infanterii.

²⁾ We Czwartek, kiedy podstąpiły wojska nasze szykiem pod obóz tureckie
die 9 Novembris.

³⁾ W piątek d. 10 Novembris tego dnia P. Motowidło zabity. Rękop.—
O śmierci rycerza Motowidło zob. Bibl. Warsz. Zesz. za m. wrzesień r. b. Str. 413.

A zatym nasi zemknęli się blisko,
 Tam gdzie multańskie było obozisko.
 Ale niedługo z nami targowali
 Wnet się poddali.

I wyszli do nas, co kiedy ujrzało
 Pogaństwo, z huku aż powietrze drżało,
 Ale musieli, widząc taką fintę
 Spuścić na quintę.

Choć oni tego się nie obawiali,
 Żebyśmy my ich szturmem dobywali,
 Widząc potęgę, widząc ich obrony
 Od każdej strony.

Jakoż przykładu tego i w kronikach
 O najślawniejszych nie masz wojennikach,
 Insza dobywać fortec wielkich, małych,
 Insza wojsk całych.

Prędko zaś nam dnia krótkiego nie stało,
 Noc zaszła, wojsko w szyku stać musiało
 Pod dżdżystym niebem w przykrym bardzo chłodzie
 I w ciężkim głodzie,

Bo przez dni kilka i konie i ludzie
 Cale nie jedli przy tak srogim trudzie,
 J by tak dłużej, jużby się nam było
 Barzo sprzykrzyło.

Ale skoro dzień Świętego Marcina ¹⁾
 Nastal, hetmani i wszytka starszyna,
 Dzielne rycerstwo, objeżdżając wkoło,
 Cieszy wosoło,

Żeby nie dbali na chocimskie grody,
 Na mocne wały, na dniestrowe wody,
 Bo im to Bóg da, co zastępy władnie.
 Zwyciężyć snadnie.

Że za ojczyznę i za świętą wiarę
 Krew swą ochotnie niosąc na ofiarę,
 Przeciw pogaństwu kto umrze w potrzebie,
 Będzie żył w niebie.

¹⁾ Die 11 Novembris w dzień Św. Marcina szturm przypyszczony o godzinie dziewiątej, a nie trwał i godziny zupełnej.

Że przez swe męstwo i przez dobrą sprawę
 Nieskazitelną odziedziczą sławę
 I zaraz wezmą pracy swój zapłatę
 Łupy bogate.

Co też piechocie pomogło do skruchy,
 Wiedząc, że tam nie tatarskie kozuchy,
 Ani kozackie gunki, lecz splendory,
 Aziey zbiory.

Krzyknęło zatym rycerstwo do Pana
 Wojsk nieśmiertelnych, żeby była dana
 Pomoc Aniołów Świętych Chrześcijaństwu
 Przeciw pogaństwu.

Wraz też poczęła grać artylerija
 Gęsty żelazny grad się z niej uwija,
 Huczą moździerze, granaty trzaskają,
 Turków mieszają.

General Kącki ¹⁾, choć przyznać, że umie
 Zażyć armaty i że ją rozumie,
 Do czego jednak powinność go budzi
 Wiódł swoich ludzi

Do szturm, zdawszy pod komendę Szczuki ²⁾
 Armatę, z której wyprawował sztuki,
 Gdy z srogiéj burze i ognistéj łuny
 Rzucił pioruny.

I zaś, gdy po téj szczęśliwéj rozprawie
 Chocim traktował, on dany w zastawie
 Wściekle zajadłym; że wierzył żywota,
 Wielka to cnota.

Lubo i Turcy nam odpowiedali
 Z dział nas i z nośnych janczarek macali,
 Grzmot srogi głużył, świata nieznać prawie
 W dymnéj kurzawie.

W ten czas wódz wielki ³⁾ z cudownéj ochoty,
 Pieszko prowadził do szturm piechoty
 Rzadkim przykładem, i jego téż męstwo
 Dało zwycięstwo.

¹⁾ Marcin Kącki General Artyleryj i Oberszter Pieszki, Starosta Przemyski.

²⁾ Oberszter lejtnant Artyleryi Szczuka.

³⁾ Jan Sobieski marszałek i hotman W. K.

Serce w nim pomstę z nadzieją zarzyło,
 Gdyby mu niebo łaskawie zdarzyło
 Złać krwią turecką popiół Żółkiewskiego ¹⁾,
 Dziada swojego,

Który, przed srogą wojska nawałnością
 Uwodząc (i dziś wspomnieć to z żałością)
 Przy tej podciętej ojczyzny podporze,
 Legł na Cecorze.

Generalowie w taż z oberszterami,
 I z przedniejszemi officierami,
 Z nieporównanym męstwem szli przed swemi
 Pułki piezemi,

Które za niemi nie pozostawają.
 Przą się ²⁾, gdzie gęste śmierci rozdawają,
 Skoczy w też tropy, z odwagą żywota,
 Luźna hołota ³⁾.

Tak Bóg poszczęścił, że za czas dość mały
 Piechoty nasze w szańce się włamały
 I berdyszami tych, co nie uciekli,
 Okrutnie siekli.

Pierzchnęli drudzy: lecz kawaleryja
 Tak tam stanęła, że niewiedzieć czyja
 Była wygrana, choć już naszy byli
 Wałów dobyli.

Bo wśród majdanu ⁴⁾ z całym komunikiem ⁵⁾
 Wszyscy paszowie, mocnym stojąc szykiem,
 Janczarów swoich, kędy się mieszały,
 Sekundowali.

Tak natarczywie i tak wściekle prawie,
 Widząc, że giną, a chcąc umrzeć w sławie,
 Że niestatecznej fortuny igrzysko
 Już było blisko,

¹⁾ Kanclerza i Het. W. Koronnego.

²⁾ Od słowa: częst. niedok. przec, parł, prze, prę = pchać, popychać, przypierać. „Nieprzyjaciela zowsząd parto i rozpraszano“ — *Red.*

³⁾ Czelaź obozowa — *Red.*

⁴⁾ Maydan — plac, rynek, plac czyli rynek obozowy, place d'armes. — *Red.*

⁵⁾ Komonnik, komunik = jezdny, rycerz, kawalerzysta. — *Red.*

Gdyby był wódz nasz i z litewskim drugiem,
 Równym do wiecznej sławy idąc cugiem,
 Widząc, gdzie nasze nachylone rzeczy,
 Nie dał odsieczy.

Dosiadшы konia, tam gdzie lud zmieszany
 Ledwie już trzymał krok przed bisurmany,
 Przywiódł tam mężnie zbrojną husaryą,
 Gdzie naszych biją.

Pac ¹⁾ zaś, wódz wielki, wychowaniec prawy
 Marsa srogiego, widząc takiej sławy
 Otwarte pole, jak piorun z obłoku
 Spadł na nich z boku.

Dopiero, gdy się żołnierz włamał zbrojny,
 Tam się nacieszył, kto był chciwy wojny:
 Tam syta mordu, tam krwią napojona
 Sroga Bellona,

Najznaczniejszy czyn marsowej roboty,
 Gdy lud żelazny twarde łamał groty,
 Gdy w bisurmańcach topili koncyrze ²⁾
 Mężni rycyrze.

Nie mógł poganin tak ciężkiego razu
 Ztrzymać i, barziej nogom, niż żelazu
 Dufając, bramą, co była w uboczy,
 Ku Jassom skoczy.

Lecz go wódz polny przywitał koronny ³⁾,
 Odważnie zastęp przywiódłszy nań zbrojny,
 Że ich aż w okop sam nasi wpędzili,
 I jak swych bili.

Ty śmierci szukasz, zacy Korybucie ⁴⁾,
 A nie wiesz jeszcze o feralnej nucie,
 Ktorej ton smutno zanosi korona
 Osierocona,

¹⁾ Pac Hetman W. W-go Ks. Litewskiego.

²⁾ Koncerz, koncyrz = kopia długa, dzida, gatunek szabli, miecz prosty i szeroki. — Red.

³⁾ Dymitr ks. Wiśniowiecki w-da Bełski Hetman Polny Koronny.

⁴⁾ Apostrophe do tego ks. Hetmana.

Płacząc swojego i pana i syna, ¹⁾
 Którego sroga wzięła Libityna:
 Tyś stracił oraz i pana i brata,
 Wielka twa strata.

Więc tedy ze krwi pogańskiej ofiary,
 Królewskim jego ceniom pošli w dary,
 Toć żal usmierzy, teć pociechy pewne
 Otrą lzy rzewne.

Maszczi i dawne do tego przyczyny,
 Gdy na wołoskie pojrzysz Bukowiny,
 Gdzie dziada twego Bogu poświęcona
 Krew wytoczona.

Wszystko rycerstwo masz teraz pogodę
 Za przeszłe straty wziąć sobie nagrodę,
 Tać to jest ziemia, która twojej była
 Braciej mogiła ²⁾.

Skoczył do mostu Turczyn i ta była
 Prózna impreza, bo na Radziwiła ³⁾
 Trafiał męznego, który swojej Litwie
 Przodował w bitwie.

Wódz sławy chciwy sam się nie szanuje,
 Którego mężny żołnierz naśladuje:
 Ręką swą paszę ciął, lud pospolity
 Od wojska bity.

Tamże wziął i znak hussejmowej sławy
 Buńczuk turecki, szczęśliwe buławy
 W tak mężnych rękę, szczęśliwa ojczyzna
 W te cnoty żyzna.

Tam jedni zbici, drudzy potopieni,
 Rzeka się od krwi pogańskiej rumieni,
 Płyną pospołu z trupy purpurowe
 Nurty Dniestrowe.

¹⁾ Król Michał we Lwowie umarł w Wilią Św. Marcina.

²⁾ Gdy za króla Olbrachta zginęło wojsko polskie na Bukowinie.

³⁾ Książę Michał Radziwiłł Podkanclerzy i Hetman Polny W. Ks. Litewskiego.

A i ci, którzy przez most się przebili,
 Tam na bankiet nielepszy trafili,
 Trupy ich aż po kamienieckie skały
 Drogę usłały.

Pełne przyległe pola i okopy,
 Pełen i majdan trupów, świetne szopy,
 Płoty, namioty, drogo haftowane,
 Krwią popluskane.

Samych janczarów legło ośm tysięcy,
 Gwałt ottomańskich na znakach miesięcy,
 Krwią ich zmoczonych nasi, gdy nabrali,
 Wodzom oddali.

Wzięta i wszytka turecka armata ¹⁾,
 Poszła w łup wojsku wszytkiemu bogata
 Pompa Aziej, poszły świetne stroje,
 Kity, zawoje,

Kobierce, złotem tkane i kaftany,
 Rzędy, wsiędzenia, z bułatu kalkan ²⁾,
 Konie tureckie, wielbłądy i muły
 Przytym szkatuły

Ciężkie od srebra a drugie od złota,
 Niezłe w nich ręce moczyła hołota.
 I mało się tych w całym wojsku liczy
 Co bez zdobyczy.

Ale najpierwój, choć krwawego potu
 Nie starszy jeszcze ³⁾, szliśmy do namiotu
 Hussejmowego, który był bogaty
 W świetne bławaty.

Tam za zwycięstwo Panu chwały wiecznej ⁴⁾
 Płaciły usta hołd dzięki serdecznej
 Krzykiem wesołym, a przyległe skały
 Odgłos dawały.

¹⁾ Armaty sztuk N 22.

²⁾ Kalkan = z tureck. tarcza okrągła.— *Red.*

³⁾ Nie starszy jeszcze.— *Red.*

⁴⁾ Te Deum laudamus i msza z exhortą w namiocie hussejmowym.

Potym zaś naszych pobitych szukano,
 Których pod pięćset wszystkich rachowano,
 Drudzy zaledwie byli poznawani
 Tak porąbani.

Łowczy koronny ¹⁾, kiedy bój marsowy
 Woli ucieszne niż Dyany łowy,
 Już po zwycięstwie dostał się gotowem
 Śmierci obłowem.

Tamże s Pisarski poległ, pułkowniku,
 Coś był ozdobą sarmackiego szyku,
 Choć wielkiej sławy czeka cię nagroda,
 Wielka cię szkoda.

A gdy paruje to pogańskie bydło,
 Pułkownik pieszy, mężny Motowidło,
 Gdy drugim szwanki, gdy śmierci rozdaje
 Zabity zostaje.

Rzeczycki, rotmistrz, chwalebny przykładem,
 Ojca i brata krwawym idąc śladem,
 Oddał ojczyźnie żywot poświęcony
 Z skały strącony.

Roźniakowskiego nie mniejsza ochota,
 Zginął jako mąż; taż rycerska cnota
 Iwanowskiego, Sławińskiego i ci
 Oba zabici

May z Nowowiejskim, mężni porucznicy,
 I Białobrzeski dobrzy wojennicy,
 Wołoską ziemię, gdy własnej bronili.
 Krwią swą skropili.

Wielka też szkoda, jako inszych wielu:
 Tak Jarockiego, jako i Stantzela ²⁾,
 Ten pułk prowadził marszałka wielkiego
 Połubińskiego,

Godzienby, gdyby można, być wspomniany
 Każdy z tych, który odniósł w boju rany,

¹⁾ Zelecki.

²⁾ Oficerowie zahici: Jarocki i Stantzel oberlejtncanci.

Godne wspomnienia wzięte dla ojczyzny
Chwalebne blizny.

Budziński strażnik ¹⁾, chciwie zapędzony
Ledwie nie na śmierć z skały roztrącony,
A sławę jego wznoszą takie wskoki
Aż pod obłoki.

I twej żaden wiek sławy nie zagłuszy,
Zacny Sapieho, litewski koniuszy,
Szwank twój wielkiemu z przodków Twoich domu
Nie czyni sromu.

Godzien pochwały Zamoyski ²⁾ podstoli,
Gdy mocno Turków po zawojach goli,
Sam się ciężkiego szwanku nie uchroni
Tureckiej broni.

Mężny Lipnicki, Pułkowniku Stary ³⁾,
Nie jedneżes ty już oddał ofiary
Z nieprzyjacielskiej krwi i własnej swojej
Ojczyźnie twojej.

Tylkoć się szyja na krtani została,
Dziw, że się też już dusza nie rozstała
Z martwym w pół ciałem, zawsze ta w potrzebie
Gościem u ciebie.

Oberszter Morsztyn ⁴⁾, choć już postrzelony
I pchnięty dzidą, żywot odważony
Niósł i nie schodził z marsowego tańcu,
Aż był na szanću.

Teraz w komendzie miasta stołecznego ⁵⁾,
Tak interegnum podczas niedawnego,
Nim król osiedzie tron osierocony,
Strzeże korony.

Poszedł w też sławy kawalerskiej drogi
Oberszterlejtnant Asswerus ⁶⁾, u nogi

¹⁾ Strażnik koronny.

²⁾ Marcin Zamoyski, Podstoli Lwowski, Ordynat.

³⁾ Pułkownik wojska litewskiego.

⁴⁾ Stanisław Morsztyn, Podstoli chełmiński.

⁵⁾ Krakowa.

⁶⁾ Asswerus Oberlejt. P. Sianiawskiego.

Straciwszy palec i połowę stopy,
Gdy wiódł fortropy.

Ciężki Cieszkowski ¹⁾, porucznik wsławiony
Męstwem, szwank odniósł z działa postrzelony,
Cieszy się zato, nim odniesie drugą,
Sławy wysługą.

A Konarskiemu ²⁾, gdy odważnie skoczy
Na wał, obiedwie wystrzelono oczy.
Już słońca nie zna: Sława wieczny nieci
Blask, co mu świeci.

Tamże i drugi brat jego rodzony
W pół już w dobytých wałach postrzelony,
Rogata dusza, choć dwie drogi miała
Jeszcze została.

Major Mierzeński ³⁾ odniósł trzy postrzały,
A potym godne swych odwag pochwały:
I tych dwu Turków, których wziął swą ręką
Dał mu wódz z dzięką.

A któż to słowy równemi wypowie,
Jako Potoccy ⁴⁾, dwaj wojewodowie.
Prawi Potoccy z pogańskiej posoki
Leją potoki.

Tymże Kaliski ⁵⁾ idzie wojewoda
Torem, gdzie czynu pada się pogoda,
Od ręki jego, bisurmańcze, twoje
Lecą zawoje.

I Jabłonowski, przyznać każdy musi,
Stawał odważnie, Wojewoda Rusi,
Tam poił szablę chorąży poznański ⁶⁾
We krwi pogański.

Godzien pochwały Gniński, wojewoda
Chełmiński, w którym nader piękna zgoda

¹⁾ Cieszkowski, Porucznik p. Łużeckiego, Kasztelana Podlaskiego.

²⁾ Konarski, Kapitan Generała Koryckiego.

³⁾ Mierzeński w Regim. P. w-dy Pomorskiego Bąkowskiego.

⁴⁾ Andrzej, kijowski, Szczęsny, sieradzki wojewodowie.

⁵⁾ Opaliński.

⁶⁾ Skoraczewski.

Męztwa z godnością: i mądry i śmiały,
Mąż doskonały.

Teraz w komendzie zostaje Soczawy,
Gdzie żony z dziećmi wierności zastawy
Pierwsze z narodu dane wołoskiego
Są w straży jego.

Było co widzieć, gdy wojewodowie
Trocki ¹⁾ z Połockim ²⁾ niosą swoje zdrowie,
Gdy wojewoda tamże ze Mścisławia ³⁾
Głowy nadstawia.

Nuż wojewoda, co rządzi Podlasiem ⁴⁾,
Gdy kredensował przed swem i pałacem,
Gdy las kruszyła kopij ta Leszczyna
O poganina.

A zaś Oboźny ⁵⁾, ciężko będąc chory.
Łajał fortunę, przeklinał doktory,
Wolałby umrzeć na koniu, niżeli
W miękkiej pościeli.

Kasztelan Bełski na Niezabitowie ⁶⁾
Zabilby ich był wielu, ale zdrowie
Nie dopuściło, przydało mu i to
Bolu sowito.

Któż Poznańskiego, ⁷⁾ kto na Czarniechowie ⁸⁾
Cnych kasztelanów odwagi wypowie,
Nuż Podlaskiego, ⁹⁾ dopieroż z Mścisławia ¹⁰⁾
Kto nie wysławia?

Znacznys w potkaniu, koronny chorąży ¹¹⁾,
Twe śmiałe serce tam najbarziej tąży ¹²⁾,

¹⁾ Marcyan Ogiński.

²⁾ Jan Kazim. Sapieha.

³⁾ Jan Ogiński.

⁴⁾ Wacław Leszczyński.

⁵⁾ Samuel Leszczyński.

⁶⁾ Niezabitowski.

⁷⁾ Grzymułtowski.

⁸⁾ Silnicki.

⁹⁾ Łużeczki.

¹⁰⁾ Ryszkowski.

¹¹⁾ Mikołaj Sionawski.

¹²⁾ Tążyć = tęsknić. „Tążył żołnierz do bitwy.“ Chrośc. Lindo s. 7.

Gdzie bój wątpliwy, gdzie największa trwoga,
Gdzie bitwa sroga.

Czarniecki, pisarz Polny ¹⁾, swego stryja
Wiecznie pamiętnej sławy się dobija.
Przywodząc pieszo ludzi koronnego
Wodza polnego.

Wspomina wojsko odwagi Kryszpina ²⁾,
Niechże go Muza ma nie zapomina,
I ojca jego, bo w wojskowej płacy
Nieszczędzi pracy.

Znać po maltańskim krzyżu kawalera ³⁾,
Barziej po sercu, gdy mężnie naciera,
Kiedy tam wpada, gdzie największe wrzawy
Kawaler prawy.

Wyżyci ⁴⁾ coraz wyżej postępuje
W meztwie i sławie, i tak się sprawuje,
Że każdy przyzna, iż takich niewiele
W rycerskim dziele.

A i ty, choć masz imię od pokoju ⁵⁾,
Choraży Litwy, że się barziej w boju
Kochasz i na tym pokazałeś placu,
Odważny Pacu.

Chodkiewicz idzie torem dziada swego,
Widzi tam jeszcze znaki meztwa jego,
Gdy wódz litewski murem był obronnym
Stanom koronnym.

Generał Dönhoff ⁶⁾ sercem i urodą
Znaczny, które w nim piękną idą zgodą.
Idzie tam, gdzie krwie Nemesis nie syta
Z śmiercią się wita.

Tamże stryjeczny jego, Podkomorzy
Pomorski ⁷⁾, oba w sławie nader skorzy,

¹⁾ Stefan Czarniecki.

²⁾ Pisarz polny W. ks. L. syn podskarbiego Litewskiego.

³⁾ Lubomirski.

⁴⁾ Choraży Kijowski i porucznik hussarski ks. Dymitra.

⁵⁾ Pac, Choraży Nodworny Litewski.

⁶⁾ Ernest Dönhoff, generał major Infanterii.

⁷⁾ Wład. Dönhoff. podk. Pomorski i Stan. Kościelżyński konny i pieszy

Swoje i cudze, gdy pod ich rząd wchodzą
Pułki przywodzą.

Widzę cię między pierwszemi na wale,
Sławny Korycki, mężny generale,
Widzę, co czyni tve odważne ramię,
Cny Debohamie.

I ciebie moje pióro nie pominie,
Cny podkomorzy, odważny Tedwinie ¹⁾,
Choć tve odwagi, których jest niemało,
Słońce widziało.

Mało to na cię, by i w nocne mroki
Przepaść skał i Dniestr przebywszy głęboki,
Wzięłaś *szanc* mocny i w dobrej obronie
Na drugiej stronie.

General major Łączyński i drudzy
Starzy, *Gradywa* okrutnego słudzy,
Oberszter Łącki, Denemark, Żebrowski
I Przepędowski ²⁾.

Na prawym skrzydle pułki przywodziłi
I oślepi prawie na wały skoczyli,
Wtęz Pomorskiego i pułk wojewody ³⁾
Bieżał zawody.

Pokazał serce i animusz męski
Oberszterlejtnant ⁴⁾ w pierwszym pułku, Kręski,
Tamże i drudzy oficerowie
Ważyli zdrowie.

A zaś pułkownik Radziwiłł ⁵⁾, choć z bolem
Serca nieznośnym, nie mogąc się z królem
Rozstać, kiedy się dusza rozstawała,
Strzegł jego ciała.

A pewnieby był ten, jeżeli który
Orzeł w pogańskiej krwi zboczył pazury,
Ale powinność, która go wiązała
Szczęściu zajrzała.

¹⁾ Tedwin podkom. Derpski i Oberster pieszy.

²⁾ A to młody jeszcze Przepędowski.

³⁾ Bąkowskiego.

⁴⁾ Oberszterlejtnant Gwardyi pieszej.

⁵⁾ Książo Stanisław Radziwiłł Stołnik W. ks. L-go i Oberster Gwardyi.

Polanowskiego ¹⁾ znaczne w polu *działa*
 Tychże i w szturmie ręka dowodziła.
 Jacy Kozubski ²⁾ z Strzałkowskim ³⁾ mężowie
 Niech sława powie.

Nuż Kobyłecki, nasz sędzia wojskowy,
 Gdy wielom śmierci rozdaje surowy
 Los i znacznego jakiegoś Turczyna
 Bez sądu ścina.

I tychby tu był regestr bardzo długi,
 Co różne czynią Ojczyźnie przysługi,
 Ci dają ludzi, ci summy gotowe,
 Ci rady zdrowe.

Książę Siewierskie ⁴⁾, drugi Mojżesz prawie,
 Gdy święte ręce wznosi w tej rozprawie,
 Wspierał potężnie lud jego okryty
 Madyanity.

Ten wielki Biskup w ratunku ojezyny
 Nie szczędząc mądrych rad, prac, gotowizny
 On jest prawdziwym niezmyślonym tamtem
 Polski Atlantem.

Biskup Chełmiński, ⁵⁾ mądry podkanclerzy,
 Którego sława po świecie się *szyrzy*
 Wspiera ojczyznę i kwotę gotową
 I radą zdrową.

Hrabia Wiśnicza ⁶⁾, pierwszy wojewoda,
 Godzien wspomnienia i minąć go szkoda,
 Bo choć w potrzebie nie było samego,
 Był tam pułk jego.

Kancelerz Litewski ⁷⁾, choć był pogotowiu,
 Nie mógł Ojczyźnie służyć w słabym zdrowiu,
 Lecz tam od niego męzne ręce były,
 Co Turków biły.

¹⁾ Chorąży Sanocki a pułkownik i porucznik husarski hetm. w. koronnego.

²⁾ Kozubski, star. Horodelski, poruczn. królewski.

³⁾ Strzałkowski Rotmistrz pancerny.

⁴⁾ Andrzej Trzebicki biskup krakowski.

⁵⁾ Andrzej Olszowski.

⁶⁾ Aleksander Lubomirski, w-da krakowski.

⁷⁾ Krzysztof Pac.

Tymci się niemal najlepiej dostało;
 Ich officierów i ludzi niemało
 Sławnym za zdrowie Ojczyzny okupem
 Padło tam trupem.

Jego zaś ręka, co teraz pogonią
 Władnie, z młodszych lat, co czyniła bronią,
 Widziała w walnych bitwach Hiszpania
 I Hollandia.

Morsztyn, Podskarbi wielki, gdy gotuje
 To, czym się wojsko rado posiłkuje,
 Chorągiew jego w tę krwawą rozprawę
 Robi na sławę.

Tuż wojewodę Lubelskiego Reja
 Nagrody, sławy przywiodła nadzieja,
 Ze swój dragoniej na tę okkazią
 Dał kompanią.

A Referendarz koronny ¹⁾ przy boku
 Pańskim w ostatnim życia jego zmroku
 Będąc, przy pułku—brata miasto siebie
 Miał w tej potrzebie.

Aczby był wolał sam się za granicą
 Widzieć i czynić, co świat pod Zdziewicą
 Widział, kiedy był w okrutnym opale,
 Pierwszym na wale.

Ale któż wszystkich tych tu wspomnieć może,
 Którzy nie groby mają, ale łoża
 Sławy i którzy między temi szranki
 Odnieśli szwanki.

Każdy najlepszy świadek swej ochoty
 Odbiera własną nagrodę swój cnoty,
 Gdy wie, że służył ze wszystkiej swej siły
 Ojczyźnie miły.

Wszystkich mianować Panów, którzy w krześle
 Radą a ręką w rycerskim rzemieśle
 Drugim przodują, wojska i starszyny
 Wyliczać czyny.

¹⁾ Krasieński.

Nie mej to głowy, niech kto z tych ożyje.
 Których popioły włoska ¹⁾ ziemia kryje,
 A ich pamiątki bluszcz obtoczył w koło
 Kamienne czoło.

Mnie zaś niechby to urazy nie niosło,
 Ze mojej łódki niedołączne wiosło.
 Nie mając żagłów do lotnego biegu
 Trzyma się brzegu.

Cała Ojczyzna wam, wielcy wodzowie,
 Wam, cne rycerstwo, na zwyciężkiej głowie
 Kładzie z wdzięcznością za trudy Marsowe
 Wieńce laurowe.

Ciebie osobne czekają korony ²⁾,
 Wielki marszałku, wodzu nie zwalczony,
 Za zdrowie nasze, z rąk srogich wydarte,
 Twą ręką wsparte.

Ale nad wszystko ten, co się mianuje
 Bogiem wojsk, który nas zawsze ratuje,
 Którego ręki nieśmiertelnej *dziło*
 Wszystko sprawiło,

Niechaj ma chwałę z wdzięcznością i z kruchą
 Za to zwycięztwo, ozdobną otuchą
 Dufajmy, że nas nie spuści na wieki
 Z swojej opieki.

Ale i sami téż o sobie czujmy
 I mocne wojska na wiosnę gotujmy.
 Czuj się, Polaku, stój na pilnej straży,
 Smok na cię waży.

Nie wierz, żeby to już ostatnia była
 Porty potęga, jest tam takich siła
 Wojsk, już je zbiera, już bystre bulaty
 Wecuje, a ty

Będziesz ospały? nie odpasuj broni,
 Rozlałeś ich krew hojnie, którą oni
 Mścić się chcą ³⁾, takiój nie wycierpią plagi,
 Bo tej zniewagi

1) Sc. wołoska. *Red.*

2) *Præcagium felix.*

3) I to wywróżył.

Od lat kilkuset nie ponieśli prawie.
Trzeba w potężde, trzeba w dobrej sprawie
Potkać ich; ale tego naprzód trzeba,
Żeby nam Nieba

Króla mężnego dały, bo bez głowy
Ojczyźnie naszej upadek gotowy:
Nieprzyjaciołom nie tak straszna ona
Osierocona.

Miejmy się wszyscy do zgody dla Boga,
Dla świątnic Jego, dla wiary, bo sroga
Chmura nad nami, radźmy wskok o sobie
W tak ciężkiej dobie.

A wy też wszyscy, postronni panowie,
Widząc, że idzie nie tylko o zdrowie
Nasze, którzyśmy dotąd niedobyłym
Waszym zaszczytem;

Ale że jeśli zginiemy, strzeż Boże!
Po trupach naszych bisurmanin może
Snadno przejść do was, pić krew waszą. Czujcie,
A nas ratujcie!

ODDZIAŁ ROLNICZY

na międzynarodowej wystawie paryzkiej.

PRZEZ

W. G.

Ogólny rzut oka na wystawę rolniczą w powszechnej międzynarodowej wystawie paryzkiej. — I. Pawilon leśny. — II. Dział agronomii i statystyki rolnej. — III. Dział pedagogiczno-rolniczy.

Rzeczpospolita francuzka zaprosiła wszystkie państwa starego i nowego świata do przyjęcia urzędowego udziału w międzynarodowej wystawie, którą w jubileuszową rocznicę wielkiej rewolucyi urządziła w Paryżu w r. b. Większość zaproszonych rządów, uznała atoli z pobudek politycznych za właściwe nie przyjąć udziału w uroczystości, postanowionej w sposób tak manifestacyjny. Jeżeli fakt ten nie wywarł sam przez się wpływu widocznego na całość i świetność wystawy powszechnej, to, mając wzgląd li tylko na dział rolniczy wystawy, niepodobna jednak nie zauważyć, w jak dotkliwy sposób okoliczność ta wpłynęła na ogólną fizyognomię popisu rolniczego. Paryzka wystawa rolnicza, jako międzynarodowa, pozostawia wiele do życzenia: niektóre kraje, jak naprzykład Niemcy, absolutnie żadnego w niej udziału nie przyjęły; inne, z małymi wyjątkami, reprezentowane są tutaj słabo przez bardzo skromną liczbę wystawców. A jednak każdy z tych krajów miał doskonałą sposobność pokazania światu całemu, co potrafił zrobić w tym ważnym, najważniejszym może ze wszystkich zawodów przemysłu rolnym, który wszędzie stanowi podstawę materialnego bytu człowieka. Udział powszechny byłby wywołał współzawodnictwo ze wszech miar dla rolnictwa pożyteczne, gdyż byłby wykazał, w czém jeden

kraj przewyższa inne kraje, byłby pobudził słabsze do naśladowania mocniejszych i bogatszych. Wszystkich tych dobrodziejstw przynajmniej w części musimy się wyrzec: paryżka wystawa rolnicza nie przedstawia wcale tego charakteru ogólnego, międzynarodowego, nawet europejskiego, jakiegośmy oczekiwali. Francya jednak, chcąc zapełnić braki, spowodowane abstynencyą państw zagranicznych, dołożyła ze swój strony jaknajusilniejszych starań, aby dział francuzki przynajmniej uczynić, o ile możliwości, jak najkompletniejszym i jaknajwięcej interesującym. Jakoż trzeba przyznać, iż jęj się to w znacznej części udało i jeżeli wystawy rolnicze krajów zagranicznych przedstawiają w ogóle mało interesu dla studyów, dział francuzki za to budzi najwyższy interes, bo obfituje w przedmioty, z których bardzo wiele można się nauczyć.

Zaznaczywszy ogólnie to wrażenie, które wynieśliśmy ze studyów nad paryżką wystawą rolniczą, przechodzimy do opisu a raczej do treściwej charakterystyki jęj szczegółów. Nadmieniamy przytęm, że w tęj chwili pominiemy dział maszyn i narzędzi rolniczych i przemysłowych mających ścisły związek z rolnictwem, ponieważ przedmiot ten wymaga szczegółowego, osobnego sprawozdania.

Przy głównem wejściu w ogrodzie Trocadero spotykamy najprzód wystawę leśną, z której przechodzi się dopiero do właściwej wystawy rolniczej wzdłuż Quai d'Orsay, zawierającej dział agronomii i statystyki rolniczej (Agronomie. Statistique agricole).

Wystawa leśna mieści się w specjalnie na ten cel zbudowanym pawilonie, wznoszącym się na placu Trocadero, naprzeciwko pawilonu Ministerjum robót publicznych, i jak przystało pomiędzy zielonemi dzewami i kwitnącemi kwiatami. Pawilon zbudowany jest z pni i gałęzi najrozmaitszego gatunku drzew leśnych, przyozdobionych w swoję korę naturalną, której hebel stolarski się nie dotknął i która nadaje temu dziełu cechę w najwyższym stopniu oryginalną. Wejście, poprzedza galerya przykryta, podtrzymywana ogromnemi pniami zadziwiającej prostości, które tworzą jakoby perystyl z dębów, topól i wiązów. Pnie te, jak zresztą wszystkie inne, wchodzące w skład pawilonu, pochodzą z lasów francuzkich i algierskich i podobno wybierano je specjalnie dla wystawy: wzięto tylko z poręb rocznych odpowiednie sztuki dla pawilonu leśnego. Wszystkie odznaczają się nadzwyczajną pięknoscją formy i bardzo poważnym wiekiem: od 50 do 200 lat. Pomędzy najstarszemi zwracają szczególniej uwagę na siebie pnie dereniowe, liczące przeszło dwa wieki; fakt ten zasługuje na zaznaczenie, gdyż jest to maksymalny wiek, jakiego dosięgają drzewa tego rodzaju. Ściany i sufit galeryi, która poprzedza wejście do głównej sali, zrobione są z gałęzi drzew, poukładanych i pokombinowanych w najrozmaitsze desenie,

poprzecinanych od czasu do czasu kawałkami drzewa naturalnego, wstęgami kory różnokolorowej lub kępkami zielonego mchu: wszystko to razem sprawia wrażenie jaknajcudniejszej mozaiki naturalnej. Szczególniej piękne i oryginalne są rozety na sufitach, porobione z kawałków kory brzoźowej, olchowej i sosnowej, pokombinowanych w sposób bardzo zręczny i gustowny.

Wnętrze pawilonu odpowiada w zupełności téj prześlicznej werendzie. Jest to prawdziwe muzeum drzewa. Wyobraźcie sobie salę czworokątną, oświetloną z góry i okoloną czterema rzędami kolumn, wyrobionych z pni najrozmaitszego gatunku drzew leśnych, przyodzianych w swą korę naturalną; wszystkie jednakowej średnicy, wszystkie proste jak litera I. Każde dwa pnie jednakowego gatunku téj kolumnady pomieszczone są obok siebie, w pewnym jednak oddaleniu, tak, że wszystkie tworzą jakby ramy, w których pomieszczone są najrozmaitsze przedmioty z danego drzewa wyrabiane.

Najprzód widzimy tedy lipę; drzewo lekkie, delikatne; chociaż do budowy i opału nie zdatne, następuje się jednak w bardzo licznych potrzebach do zastosowania w praktyce. Używają go do wyrobu niektórych instrumentów muzycznych jak np. lutni; szczególniej jednak na zabawki dziecinne, zapalki, papier, trzewiki drewniane, i do rzeźby. Łyko lipowe ma specjalne zastosowanie praktyczne, gdyż jest nadzwyczaj silne i wytrzymałe i służy do wyrobu pewnego rodzaju sznurów, któremi główna sala pawilonu lasów jest okoloną. Wreszcie węgiel drzewa lipowego służy do fabrykacji niektórych gatunków prochu.

Po lipie następuje klon. Rzut oka na wystawione przy pniach tego drzewa przedmioty objaśnia, do czego to drzewo specjalnie jest używanem: oto widzimy krany do beczek, rozmaite drobne przedmioty, smyczki do skrzypcy, krzesła, deseczki do wycinania i t. p. Za klonem idzie cała serya drzew owocowych: gruszka z drzewem twardeń, zbitem, przyjmującym doskonale farbę, bardzo poszukiwanem w rzeźbiarstwie; wiśnia, bardzo używana do wyrobu fajek i przyrządów rysunkowych, służy także do fabrykacji mebli; jarzębina używana na ekierki, linio, rajscejgi i niektóre instrumenta muzyczne, wreszcie dereń służy tylko na laski i rączki do narzędzi stolarskich i ciesielskich. Jesion używany jest szczególniej do fabrykacji powozów. Powszechnie wiadomem jest jak ważną rolę odgrywa orzech w umebłowaniu; zbytecznem zatem byłoby wyliczać jego zastosowania. Swierk służy szczególniej do fabrykacji instrumentów muzycznych, zapalek, pudełek, i papieru; używają go także na zabawki dziecinne. Modrzew — bardzo używany jako drzewo budulcowe na domy i okręty oraz znachodzi częste zastosowanie i w bednarstwie. Sosna — drzewo budulcowe przeważnie. Specjalnością kasztana jest bednarstwo i tyczki do wina. Brzoza służy szczególniej do wyrobu trzewików drewnianych; poddają ją także, również jak buk, suchej dystylacji, aby tym sposobem wyciągnąć z niej całą

seryą produktów, wystawionych tutaj w pawilonie lasów, jako to: smołę drzewną, która, jak wiadomo, odróżnia się nieco od smoły z węgla kamiennego; zresztą skład chemiczny smoły drzewnej nie jest zawsze jednakowy, gdyż produkty znajdujące się w niej zmieniają się stosownie do drzewa, z którego została wyciągnięta. Smołę brzozową pędzą w znacznej ilości w Rosyi; używają specjalnie do tego kory brzozowej, którą zbierają w miesiącu maju. Ze smoły brzozowej wyciągają lekki olej, zawierający w małej ilości specjalny pierwiastek, nadający skórze rosyjskiej pewnego rodzaju zapach. Smoły drzewne używane są szczególnie do konserwacji drzewa w okrętach, statkach parowych, łódkach i t. p.

Kwas octowy jest jednym z ważniejszych produktów drzewnych; kwas ten jako też i sole, które tworzy, bardzo jest używanym w przemyśle. Widzimy w pawilonie lasów także mnóstwo próbek ciasta papierowego; oczywiście że dotychczas papier wyrabiany z drzewa nie jest równie dobrym co papier z galganów, ale wyrabiają już z drzewa całą seryą papierów w bardzo dobrym gatunku, szczególnie jeżeli do ciasta drzewnego domieszkamy pewną ilość ciasta z odpadków wełnianych. Potrzebaż jeszcze przypominać z pomiędzy produktów drzewnych, żywicę, cukier drzewny, etc. tak pożyteczne w przemyśle? Brzoza oprócz produktów z dystylacji, przedstawia rozmaite osobliwości dość interesujące. Kora tego drzewa zawiera szczególnego rodzaju żywicę, która robi ją zupełnie nieprzemakalną i niepsującą się; tak naprzykład w torfach, można widzieć nawet wtenczas, gdy drzewo brzozowe zupełnie znikło, to kora jego pozostała nienaruszoną. Te własności wyjątkowe nadają korze brzozowej dużą wartość; używają jej też na tabakierki, na podeszwy nieprzemakalne, a w Rosyi eksploatują ją w sposób zupełnie regularny. Dodajmy jeszcze i to, że żywica tego drzewa służy do fabrykacji niektórych napojów alkoholicznych.

Nieco dalej za brzozą widzimy bukszpan — bardzo poszukiwany w rzeźbiarstwie; jałowiec służący do fabrykacji osadek do ołówków; ostrokrzew — drzewo nadzwyczaj twarde i mocne — zastępuje stal tam, gdzie ta ostatnia nie może być użytą; wiąz bardzo używany do bloków. Grabina — z drzewem nadzwyczaj twardem i mocnym, wyrabiają z niej szczególniejszy kopyta szewskie.

Ale nie wymieniliśmy jeszcze dwóch najważniejszych gatunków drzew leśnych: t. j. dębu i buku; poświęcono im w pawilonie lasów największe pomieszczenie ze względu na ich wielką wziętość i bardzo liczne zastosowania praktyczne. — Buk nie osiąga nigdy wieku podeszłego i wielkich rozmiarów; żyje on 300 do 400 lat najwięcej, i dochodzi najwyżej do 40 metrów wysokości i 6 metrów obwodu. Ale pień jego pozostaje prostym i regularnym do samego wierzchołka, co pozwala otrzymywać z niego doskonałe deski i belki, jakich z innych drzew wyrabiać nie można. Dodajmy mimochodem, iż biały kolor jego kory nie jest mu właściwym, ale pochodzi od lic-

nych pasożytów, zwykle w tym drzewie się gnieźdzących. Jest to drzewo nadzwyczaj wymagające pod względem gatunku ziemi, z której czerpie znaczne ilości części mineralnych. Zastosowania jego w przemyśle są bardzo liczne, jak można sądzić z ilości wystawionych przedmiotów: tutaj widzimy jarzma dla wołów, trzewiki drewniane, szczotki i t. p. tam znów meble, statki kuchenne etc. Nie psując się łatwo od wody, buk bardzo jest używany na wiosła, łódki etc. Poddany działaniu pary wodnej staje się giętkim i daje się wykręcać dowolnie: tak zwane meble gięte są wszystkie wyrabiane z buku; opał daje także doskonały.

Użytki z drzewa dębowego są powszechnie znane. Ponieważ drzewo dębowe posiada szerokie zastosowanie w praktyce, nie dla tego jednak, żeby miało być najtwardszém, najcięższém lub najbardziej giętkim ze wszystkich drzew; ale dla tego, że wszystkie powyższe własności ma w stopniu średnim i to właśnie czyni je tak cenném, bo one umożliwiają zastosowanie go we wszystkich kierunkach potrzeb życia powszedniego, poczynając od opału, budulcu, mebli, narzędzi rolniczych, użyteczności w przemyśle (garbarstwo) i i. (korek).

Na pierwszym pięttrze zatrzymujemy się przy mnóstwie nadzwyczaj ciekawych kolekcji. Dla każdego gatunku drzewa znajdujemy zestawione nadzwyczaj starannie: zielnik t. j. kolekcją, złożoną z kwiatu drzewa, liścia jego, nasienia etc; dalej kolekcją nasion; zbiór kawałków drzewa zdrowego i chorego, kartę z rozmieszczeniem geograficzném danego gatunku drzewa; próbki szkód, zrządzonych przez owady; zbiory grzybów, pasożytów etc. jednym słowem: studjum biologiczne i przemysłowe kompletne dla każdego drzewa. Jest to prawdziwe muzeum drzewa, w którym patologia roślin leśnych została uwzględniona. Szczególnie interesującymi są dla specjalistów kolekcje owadów szkodliwych i choroby, które one w drzewach wywołują. Znajdujemy także kilka przykładów teratologii roślinnej, której przykłady, jak wiadomo, dość rzadko się zdarzają. Najczęściej bywają one przy organach płciowych i te są podobno najlepiej znane; czasami zdarzają się także ogromne narośle na drzewach, mające nieraz niejaki podobieństwo do głowy ludzkiej. Niektórzy filozofowie XVI i XVII wieku, upatrywali w tém próby natury, wysilającej się na stworzenie człowieka.

Nim zejdziemy na dół, zatrzymajmy się jeszcze przy nadzwyczaj pięknych trzech diagramach, przedstawiających zadrzewienie wąwozów. Widzimy tu np. czém był kilka lat temu, potok Riou-Bourdaux, w dolinie Uboye, w departamencie Basses-Alpes, a czém jest dzisiaj. — Nawet na tę diagramę, w znuńczeniu $\frac{1}{1000}$ — strach patrzeć. Ostre i gołe grzbiety gór, poprzecinane czarnymi wąwozami, spuszczały się swemi cyplami w przepaście bezdenne; ani jednego drzewa, ani źdźbła trawy, ani jednego stworzenia żywego: lasy, domy, stada, ludzie — wszystko znikło pochłonięte siłą wody. A jednak tradycje dawne świadczą o bogactwach téj doliny, która

w swoim czasie dawała schronienie szczęśliwym chatom, żywiła całe stada bydła, koni i owiec. Ale ludzie nieopatrzni wycinali drzewa, które zatrzymują i pochłaniają wody deszczowe; karczowali lasy, paliли pnie, wypasali trawy aż do samego korzenia. Przyszedł wreszcie czas, w którym las zniszczony zemścił się strasznie na człowieku i od jednego razu woda zniszczyła wszystko przed sobą. Z roku na rok potok rył sobie łoże coraz głębsze, nabierał sił coraz większych i spadki jego stawały się coraz cięższymi. Ale wtenczas znowu człowiek przystąpił do czynu, uzbrojony jak najpotężniej; lecz już bronią pokojową, nasionami, szuflami, motykami i t. p. Wziął się do dzieła i oto rezultaty jego pracy. Na tych samych gołych grzbietach gór nowy las się pojawił; trawa rośnie gęsto, trzymając ziemię, która wznosi się terasami od dna doliny aż do samego wierzchołka góry; mury kamienne podtrzymują te terasy; ścieżki wijące się pozwalają utrzymać je w porządku. A potok zwyciężony, uśmierzony, zredukowany do małego strumienia, płynie z jednej terasy na drugą, z piętra na piętro, jak gdyby po stopniach kolosalnej fontanny. Aby dopełnić tego cudu wystarczyło przywrócić na nowo las t. j. zadrzewić kilka set hektarów zaledwie; możnaby to samo zrobić przy początkach wszystkich rzek i zabezpieczyć się tym sposobem przed wszelkiego rodzaju wylewami, przyczyniającemi prawie corocznie strat i klęsk nie małych. Ale pieniędzy brak i... Obok potoku Riou-Bourdaux widzimy diagramę, przedstawiającą potok Bourget, przemieniony środkami analogicznymi w zwyczajny strumyk, okolony lasem, zajmującym 400 hektarów.

Trzecia diagrama wreszcie przedstawia obraz walki zwyciężkiej człowieka z potężną górą, która groziła zawaleniem całego miasta, znajdującego się u jej stóp najniższych. Unieruchomiono bloki za pomocą murów, które je podtrzymują i które pokryte są całe trawą i innymi roślinami trzymającemi ziemię.

Z przepysznój wystawy leśnej wyciąga się obok wrażenia prawdziwego podziwu zarazem wrażenie żywego żalu, iż za kilka miesięcy z całego tego majestatycznego dzieła pozostanie tylko pusty plac obszerny, który umiejętnie zabudowany budził podziw i wielostronną naukę.

Opuszczając pole marsowe przy pawilonie kompanii transatlantycznej, wchodzimy do niezmiernie długiej galerii, ciągnącej się wzdłuż całego quai d'Orsay aż do samej Esplanady Invalidów, poświęconej prawie w całości wystawie rolniczej. W pierwszej jej części mieści się właśnie dział agronomii i statystyki rolniczej, a przy samym jej wejściu specjalna wystawa francuzkiego ministerjum rolnictwa. W pierwszym rzędzie rzuca nam się w oczy nadzwyczaj piękna kolekcya przedmiotów przeznaczanych na nagrody dla wystawców działu rolniczego. Wszystkie te przedmioty są prawdziwemi dziełami sztuki, wykonane przez pierwszych francuzkich snycerzy, świadczące równie swém odrobieniem jak i wyborem przedmiotu nader korzystnie o geniuszu artystycznym

narodu francuzkiego. Przedmioty te w formie grup, mis lub pubarów, przedstawiają rozmaite sceny z życia wiejskiego: widzimy tu parobka, koszącego zboże, tam parę wołów, orzących rolę, tu znów dziewczynę, dojącą krowę i t. p. Wszystko to odrobione z najwyrafinowańszym smakiem, jakiego sekret posiadają tylko francuzi. W środku tój pięknej kolekcji wznosi się ogromny stos sześcianów drewnianych rozmaitej wielkości, oblepionych złotym papierem i przedstawiających w złocie sumy pieniężne, wydawane na rolnictwo przez rozmaite rządy, które następowały po sobie we Francji od lat stu. Dowiadujemy się więc z nich, iż w roku 1789, w przeddzień rewolucyi, wydatki te wynosiły zaledwie 112,000 franków; w 1799 podniosły się do 437,000; za panowania Karola X w 1829 spadły znowu do 298,000; w roku 1849 znów się podniosły do 1,700,000; za drugiego cesarstwa w 1869 wynosiły już 4,000,000; wreszcie za trzeciej republiki w 1889 doszły do poważnej sumy 8½ miliona franków. Wykaz ten, urządzony w sposób nadzwyczaj zręczny i oryginalny nosi na sobie charakter czysto polityczny; ma on bowiem pokazać rolnikom francuzkim, bardzo licznie na wystawę do Paryża przybyłym, jakie to ogromne sumy rząd terazniejszy poświęca corocznie na cele ich zawodu, o ile jest pod tym względem hojniejszym od poprzednich rządów. Bardzo być może, iż demonstracya ta zjedna rządowi na przyszłych wyborach kilku deputowanych republikańskich więcej a wtenczas cel jój będzie osiągniętym. Wątpią atoli niektórzy, czy te ogromne sumy, wykazane jako wydatki coroczne na rolnictwo, idą w całości na jego podniesienie we Francji a tём samém i na pożytek rolników. Podejrzliwości takiej nie podzielamy ponieważ przeciwnicy terazniejszego rządu, nie dostarczają na to dowodów, żeby te coroczne ogromne wydatki na podniesienie rolnictwa rolnikom francuzkim szkodę przynosić miały. Ilość właścicieli obór zarodowych we Francji jest bardzo nieznaczną w stosunku do liczby nabywców sztuk rasowych. Jeśli więc rząd, podtrzymując stajnie, obory i owczarnie zarodowe dostarcza dla kraju więcej okazów poprawnych, aniżeli by ich było bez jego inicjatywy i współdziałania, to przez konkurencyą swoją wpływa na zmniejszenie cen, przez co ułatwia ogółowi nabycie reproduktorów rasowych i sprzyja interesom większości rolników, pomaga rozwojowi hodowli inwentarza, a ta jego działalność dowodzi opieki i pieczołowitości nad rolnictwem, zasługuje tём rzadziej na uznanie niż na przyganę. Statystyka rolnicza, ułożona przez ministeryum rolnictwa daje nam dokładny obraz rolnictwa francuzkiego przed laty stu a dzisiaj. Rzućmy najprzód okiem na zmiany, jakie nastąpiły w podziale gruntów uprawnych we Francji od roku 1789.

Powierzchnia gruntów uprawnych we Francji wynosi dziś blisko 48 milionów hektarów, z których ⅓ część zajęta jest pod uprawę

zboża, t. j. o 2 miliony hektarów więcej niż w 1789; w roku tym grunta ugorowe zajmowały 10 milionów hektarów: dzisiaj 3,644,000 hektarów. Stepy pokrywały powierzchnię 7,600,000 hektarów, dziś zredukowane są one do 3,889,000 hektarów. Jednym słowem, blisko $\frac{1}{3}$ ogólnej powierzchni gruntów uprawnych została zdobyta dla rolnictwa podczas ostatnich lat stu. Powierzchnia gruntów pod ogrodnictwem nie zmieniła się; winnice powiększyły się o $\frac{1}{3}$ mniej więcej.

Nowo zdobyte powierzchnie gruntów uprawnych, pochodzących ze stepów (lands) i ze zmniejszenia ugorów, zostały w przeważnej części obrócone na łąki lub pastwiska,— niemniej pod uprawę roślin pastewnych i kartofli. Przekonać się o tém możemy z cyfr następujących:

	1789	1889
	Hektary.	Hektary.
Kartofle.	4,300	1,488,000
Łąki.	1,000,00	3,253,000
Rośliny pastewne okopowe.	100,000	1,397,000
Pastwiska.	3,000,000	5,827,500

Zwiększanie się produkcji roślin pastewnych musiało pociągnąć za sobą naturalnym sposobem i zwiększanie produkcji inwentarzy żywych. Statystyka ministerjum rolnictwa objaśnia nas co do tej kwestyi nader wymownie: w 1789 ogólna ilość koni wynosiła 2,400,000, w 1889 wynosi 2,900,000. Ilość sztuk bydła rogatego została prawie zdwojona, gdyż w 1789 wynosiła zaledwie $7\frac{1}{2}$ miliona a w 1889 + $13\frac{1}{2}$ milionów sztuk. Co się tycze owiec, to Francya posiada ich obecnie nieco mniej (?) niż przed laty stu; 23 miliony w 1789 a 24 miliony 1889. Wreszcie co do świń, to statystyki roku 1789 nic o nich nie mówią; wiemy tylko, iż od 1840 produkcya ich znacznie spadła, mianowicie z 23 milionów do 7 milionów sztuk.

Produkcya i konsumcya mięsa szły zupełnie równolegle z powyższemi cyframi. Konsumcya ogólna mięsa we Francyi wynosiła w 1789—450 milionów kilogramów, czyli na każdego mieszkańca 17 kilogramów rocznie; dziś konsumcya ta wynosi 1,200 milionów kilogramów, co odpowiada 30 kil. na każdego mieszkańca.

Znakomity chemik francuzki Lavoisier obliczył na 31 milionów hektolitrów produkcyą pszenicy we Francyi w roku 1789; dziś dochodzi ona do 110 milionów, z których 15 milionów hektolitrów używa się do siewu, 4 miliony przerabiają przemysłowo na rozmaite produkty, wreszcie 90 do 92 milionów idzie na wyżywienie ludności. Ponieważ na ten cel potrzebnym jest koło 105 milionów hekt., przeto Francya zmuszona jest obecnie sprowadzać co rok około 15 milionów hektolitrów pszenicy. Konsumcya tego ziarna w roku 1830 wynosiła 1 hektolit. 64 litry na każdego mieszkańca, dziś doszła ona do 2 hekt. 70 litrów. Powierzchnia gruntów pod uprawą pszenicy zajmowała tylko $\frac{1}{3}$ część ogółu gruntów, poświęconych uprawie zboża czyli 4 miliony hektarów na 13 miliony; dziś powierzchnia ta zajmuje

7 milionów hektarów, czyli blisko połowę ogólnej przestrzeni gruntów uprawianych pod zboże. Zaledwie średnia klasa ludności znalazła sto lat temu użytek chleba pszennego; dziś w większej części terytorium francuzkiego chleb pszenny zastąpił żytni i owsiany. Ale co nas najwymowniej przekonywa o postępie, który rolnictwo francuzkie zrobiło od lat stu, to coraz zwiększający się przeciętny wydatek pszenicy z hektara. W roku 1789 wynosił on zaledwie 7,5 hektolitrow, dziś wynosi 15,5 hektolitrow, czyli że wydajność ziemi została przeszło zdwojoną, powyższy wydatek odpowiada 7 ziarnom. Pomimo tak znacznych postępów, o ileż jednak niżej stoi Francya pod względem rolniczym od Anglii, gdzie przeciętny wydatek z hektara wynosi 31 hektolitrow. Przyczyny niższości Francyi są dość liczne: zdaje nam się jednak, iż najgłówniejsza z nich leży w różnicy, jaka zachodzi w podziale własności ziemskiej w obydwóch krajach. Statystyki francuzkiego ministryum rolnictwa dają nam ciekawe co do tej kwestyi objaśnienia, wykazują bowiem cyfrę posiadaczy ziemskich we Francyi na 3,525,341. podczas gdy w całym królestwie Wielkiej Brytanii t. j. w Anglii, Szkocyi i Irlandyi jest ich zaledwie 200,000, na jednakową ilość ludności 35,000,000, — czyli że w Wielkiej Brytanii na 26 familii jedna jest posiadaczką ziemi, we Francyi zaś stosunek ten jest 1:2. To proste zestawienie cyfr pokazuje nam za; raz z jednej strony ogromne obszary gruntu, należące do jednej i tej samej osoby w Anglii, z drugiej zaś nadzwyczaj drobny podział całego terytorium we Francyi. Siódma część ogólnej powierzchni W. Brytanii znajduje się w ręku 90 posiadaczy, z których każdy posiada 24,000 hektarów. Siedmiu innych posiada, każdy z osobna, przeszło po 200,000 hektarów, a na ich czele znajduje się książę Sutherland z 483,000 hektarów. Jedenaście osób posiada od 80,000 do 60,000 hekt. każda; dwadzieścia pięć — 60,000 do 40,000 wreszcie czterdzieści siedm od 40,000 do 20,000 hektarów. Sama własność ziemska przynosi 955 posiadaczom około 18 milionów liwrów sterlingów, czyli każdemu z nich przeciętnie 470,000 franków ¹⁾).

Zmarły niedawno znakomity mąż stanu i mówca John Bright, — gorący przeciwnik większej własności ziemskiej, w pamiętnej mowie. mianej w Birmingham 27 sierpnia 1866, określił organizacją jej w Anglii tym znaczącym pytaniem; „Czy wiecie, że 150 osób posiada połowę ziemi angielskiej? czy wiecie, że cała Szkocya należy do 10 czy 12 osób?

Pod względem podziału własności ziemskiej Francya stanowi zupełny kontrast z Anglią. Aby się o tém przekonać dość jest rzu-

¹⁾ Economiste francais 9 marca 1878. — Les Grandes fortunes aux Etats-Unis et en Angleterre, par M. G. de Varigny in 12 Hachette 1889.

cię okiem na stytystykę francuzkiego ministryum rolnictwa. Terytorjum rolnicze Francyi (nie licząc lasów rządowych) przedstawia ogólną powierzchnię $49\frac{1}{2}$ milionów hektarów. Pod względem obszaru osobnych eksploatacyi rolnych, przestrzeń ta rozdziela się w sposób następujący:

Jakość eksploatacyi.	Ilość hektarów.
Mniejsze niż 1 hektar zajmują.	1,083,834
Od 1 do 10 hektarów.	11,366,274
Od 10 do 40 hektarów. ,	14,845,650
Większe niż 40 hektarów.	22,266,104

Ale jeżeli zamiast klasyfikować własności ziemskie podług przestrzeni przez każdego właściciela posiadanych, to jednak dochody rolników, w większości wypadków nie znajdują się w stosunku prostym do obszaru gruntów przez każdego z nich uprawianych. Widocznym tedy jest, iż rolnik posiadający wszystkiego kilkanaście lub kilkadziesiąt hektarów gruntu nie znajduje się w tych samych warunkach pod względem melioracyi rolnych, co jego sąsiad, posiadający oprócz dochodów gruntowych, dochody, pochodzące z innego źródła lub kapitał obrotowy. W pierwszym wypadku znajdują się po większej części rolnicy francuscy, w drugim zaś—angielscy. I to zdaje nam się jest jedną z głównych przyczyn niższości rolnictwa francuskiego w porównaniu z angielskim i z niektórymi innymi krajami Europy, np. z Niemcami, i dla czego wydatek przeciętny zboża dosięga we Francyi zaledwie 7 ziarn, podczas gdy w Anglii dochodzi on do 14. Bądź co bądź jednak rolnictwo francuskie porobiło od lat stu postępy, dość znaczne i jest na drodze jeszcze znaczniejszych. Przeważną część zasługi w tym względzie spada na rząd francuski, który szczególnie w ostatnich czasach, mianowicie od czasu utworzenia przez Gambettę specjalnego ministryum rolnictwa, zajął się gorliwie interesami tej gałęzi produkcyi krajowej, głównie zaś zakładaniem specjalnych szkół rolniczych najrozmaitszego stopnia, poczynając od paryskiego Instytutu agronomicznego, aż do początkowych szkółek rolnych, za pomocą których nauka rolnictwa przenika w najniższe warstwy społeczeństwa francuskiego. Trzeba przyznać, iż rząd trzeciej republiki zrozumiał swoje zadanie w stosunku do rolnictwa—zadanie propagatora za pomocą zakładów naukowych nauki rolnictwa, nauki tak skomplikowanej i mieszczącej w sobie tyle innych z dziedziny nauk przyrodniczych, przeważnie zaś chemii i biologii.

Porównywając pod tym względem Francją z Anglią, widzimy, że liczba małych gospodarstw jest we Francyi daleko większą aniżeli gospodarstw większych. Co zaś do jakości czynności gospodarczej w stosunku do ilości eksploatacyi rolniczej, to stosunek ten przedstawia się w sposób następujący:

Jakość eksploatacyi.	Ilość eksploatacyi.
Mniejsze niż 1 hektar	2,167,667
Od 1 do 10 hektarów	2,635,030
Od 10 do 40 hektarów	727,222
Większe niż 40 hektarów	142,088

Z tego może się każdy przekonać jak głęboka różnica zachodzi w organizacyi własności ziemskiej w Anglii i we Francyi. Pod względem polityczno-społecznym podział własności ziemskiej w Anglii ma niezaprzeczenie ważne niedogodności i kiedyś może się stać źródłem strasznej walki klasowej. Jeżeliby naprzykład kwestya unarodowienia ziemi kiedykolwiek postawioną być mogła na porządku dziennym, to we Francyi, do obrony dawniej organizacyi własności ziemskiej stanie blisko połowa ludności bezpośrednio w tém zainteresowanej, w Anglii zaś zaledwie 200,000 właścicieli, posiadających całą ziemię angielską. To też, jeżeli można stawiać jakie horoskopy na przyszłość, sądzymy, iż pomimo całego przywiązania anglików do tradycyi, pomimo całej ich czci dla przeszłości. Anglia jest jedynym z krajów europejskich najwięcej zagrożonym przez najradykałniejsze reformy. Stawiając się jednak na punkcie widzenia wyłącznie ekonomiczno-rolnego niepodobna nie przyznać, że powyższa organizacya własności ziemskiej w Anglii przynosi materialnie wielkie krajowi korzyści. Widocznem jest, iż tych 200,000 właścicieli ziemskich w Anglii, posiadając dochody terytorjalne olbrzymie, mogło i powinno było w swym własnym interesie, chcąc podnieść wydajność ziemi, porobić nakłady ogromne, bądź bezpośrednio bądź też za pośrednictwem swych dzierżawców, często bardzo bogatych. Na pierwszy rzut oka zdawałoby się mogło, iż wydatki, jakie pociągają za sobą melioracye jednego hektara gruntu, są w stosunku prostym do ilości hektarów melioracyi potrzebujących; ale jeżeli tak się rzeczy mają w teoryi, to zaprzeczyć nie można, że w praktyce na co innego patrzymy; przyczyn jednak tego zjawiska w tej chwili roztrząsać nie możemy.

Z krajów zagranicznych, niewiele przyjęło udział w dziale statystyki rolnej. Departament rolny Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej, przedstawił szereg nadzwyczaj ciekawych dokumentów, ułożonych pod kierownictwem znakomitego statysty, J. R. Dodge, i dotyczących się obecnej produkcji rolnej Stanów Zjednoczonych. Wystawa ta ze względu na ważność dokumentów przedstawianych, ściągnie z pewnością uwagę na siebie ekonomistów i agronomów.

Przechodzimy teraz do działu pedagogiczno-rolniczego, (Organisation, methodes et matériel de l'enseignement agricole). W dziale tym, jak sama jego nazwa wskaza-

zuje, powinny się były mieścić wystawy rozmaitych rolniczych zakładów naukowych, równie francuskich jak i zagranicznych. Te ostatnie jednak zupełnie nie dopisały; wszystkie instytucje, subwencyonowane przez rządy, jako to Akademie rolnicze, fakultety, szkoły specjalne, stacje doświadczalne i t. p., świecą tu swoją nieobecnością. Jedna Francya zastosowała się do programu, i jak zobaczymy poniżej, spełniła i tu swoje zadanie międzynarodowe.

Wszelkiego rodzaju francuskie rolnicze zakłady i instytucje naukowe przyjęły udział w dziale pedagogiczno-rolniczym. Każdy z nich przedstawia nam kompletny plan swjej organizacji, prace profesorów i uczniów, metody używane do nauki, plany laboratoryjów etc. etc. Oczywiście nie możemy tu wdawać się w szczegółowy opis wszystkich tych rzeczy; chcielibyśmy jednak w kilku słowach dać pojęcie o organizacji nauki rolnictwa we Francyi i przebież w krótkości niektóre instytucje naukowe, zajmujące się tą ważną kwestyą edukacji narodowej. Na czele wszystkich szkół rolniczych stoi paryski Instytut agronomiczny, najwyższa szkoła rolnicza we Francyi, utworzona w roku 1876, licząca 120 uczniów. Instytut agronomiczny posiada charakter czysto naukowy; nauki stoją tu bardzo wysoko, to też przyjmują do niego tylko za egzaminem i to bardzo ścisłym. Posiada on pod Paryżem w Joinville-le-Pont fermę, do której uczniowie jeżdżą co tydzień na zajęcia praktyczne, nawiasem mówiąc niewiele korzyści przynoszące; w ogóle Instytut agronomiczny jest zakładem rolniczym teoretycznym i praktyki w nim szukać nie należy, gdyż będąc pomieszczony w środku Paryża dać jej nie może. W dziale pedagogiczno-rolniczym wystawy paryskiej zajmuje on znaczne pomieszczenie a kolekcye tego zakładu naukowego przedstawiają interes pierwszorzędny dla nas znaczenia. Załujemy bardzo, że dla braku miejsca nie możemy ich wszystkich z równą dokładnością opisać, przy niektórych jednak zatrzymamy się nieco dłużej, ze względu na praktyczne wnioski, które dla rolnictwa naszego możemy z nich wyciągnąć. Chcemy tu mówić o całej seryi prac uczonego profesora Instytutu agronomicznego p. A. Girard nad produkcją buraków cukrowych i kartofli. Rezultaty prac swoich ogłosił p. Girard w dwóch broszurach, zatytułowanych: „Recherches sur le développement de la bettrave à sucre, Paris 1887“, i „Recherches sur la culture de la pomme de terre industrielle, Paris 1889“. Nie możemy tu oczywiście wdawać się w szczegółowy rozbiór prac p. Girard, które zajęły mu dziesięć lat czasu i których rezultaty, treściwie wyłożone, tworzą dwa tomy in 8-o o stu stronicach każdy. Odsyłając więc czytelników naszych do wyżej wymienianych broszur, które rekomendujemy bardzo rolnikom naszym, produkującym kartofle i buraki cukrowe, gdyż znajdą w nich niejedną wskazówkę praktyczną. P. Girard wystawił w dziale pedagogiczno-rolniczym szereg rysunków, równie pięknie jak i dokładnie odrobionych, za pomocą których obznajmia nas z każdą z dwóch wyżej wymienionych roślin,

w rozmaitych fazach ich rozwoju. W badaniach nad burakami cukrowymi, p. Girard starał się szczególniej określić i uwydatnić dokładnie rolę, jaką odegrywa każdy organ rośliny w tworzeniu i nagromadzeniu się substancji organicznych, w szczególności zaś cukru i glukozy. Aby dojść do tego, uczony profesor podjął zadanie swe wszechstronie: poddał licznym i nadzwyczaj ścisłym analizom korzenie, korzonki i liście kilku gatunków buraków, zwracając jednocześnie uwagę i na warunki meteorologiczne, w których się roślina rozwijała. Następnie przechodzi do badań nad każdą z osobnych części buraka t. j. głównego korzenia, korzonków i liści. W rozwoju głównego korzenia p. Girard rozróżnia trzy periody czasu: pierwszy od zasadzenia do 15-go lipca mniej więcej, podczas którego główny korzeń pozostaje małym w stosunku do całej rośliny, która wysila całą swoją energią na rozwój wszystkich swych części zarówno; w peryodzie tym nagromadzenie się cukru w głównym korzeniu odbywa się w nader małej ilości; drugi peryod rozwoju głównego korzenia ciągnie się od 15-go lipca do pierwszych dni września, nagromadzanie się cukru odbywa się przez ten czas w sposób nadzwyczaj regularny i w ilości dość znacznej (od 1 gr. do 1 gr. 25 cgr. dziennie dla badanej odmiany); wreszcie następuje trzeci peryod, który może się przedłużać bardzo późno w jesieni, a w którym nagromadzanie i tworzenie się nowych ilości cukru odbywa się dużo energiczniej niż w poprzednich dwóch peryodach. Przekonać się o tem możemy z następujących cyfr:

Gatunek.	Waga korzeni.		Procent cukru		Ilość cukru na metr. kw.		Przybytek cukru na 1 metr. kw.
	20 paź.	21 grudn.	20 paź.	21 grudn.	20 paź.	21 grudn.	
Desprez	215 gr.	285 gr.	13,97	13,42	0 ^k , 243	0 ^k , 322	79 gr.
Fouquier d'Hérouël	200	267	11,57	12,73	0, 214	0, 298	84
S. Legrand	175	237	11,85	10,39	0,162	0,243	86
Vilmorin	150	200	11,75	11,96	0,175	0,241	76

Skonstatowanie tego ostatniego faktu, posiada pierwszorzędne dla rolnictwa i cukrownictwa znaczenie praktyczne; pociąga ono za sobą bezwarunkowe potępienie dość rozpowszechnionego u nas zwyczajnego wczesnego kopania buraków, który może być usprawiedliwiony tylko warunkami klimatycznymi lub potrzebami cukrowni. W zasadzie zaś im później w jesieni buraki będą kopane tem więcej będą zawierały cukru i, co przy ogólnie rozpowszechnionej u nas sprzedaży od korca, ważniejsze, że i wydatek wagowy z morga będzie przez to większy. Podczas rzeczonych trzech perjodów w życiu buraka przybytek na jego wadze odbywa się według progresy regularnej; przeciwnie zaś nagromadzenie się w nim cukru zależnem jest od warunków meteorologicznych, a przez to samo nader jest zmiennem. W warunkach normalnych przybytek na cukrze może dojść do 1 gr. 25 cgr. dziennie, podczas zaś deszczów ulewnych spaść on może do 0²²/₂₅. Sacharoza jednak raz już nagromadzona w głównym korzeniu pozostaje w nim raz na zawsze i zmiany atmosferyczne nie mogą

wpłynąć na jej ubytek; zmiany podobne wywierają wpływ li tylko na tworzenie się nowych ilości cukru, który, łącznie z wodą, czyni sumę stałą około 94%, wagi głównego korzenia i dwa te ciała woda i cukier pod wpływem rozmaitych okoliczności, wśród których roślina się rozwija, mogą się wzajemnie zamieniać. Funkcja fizyologiczna głównego korzenia ogranicza się tylko na nagromadzeniu w sobie rozczynów sacharozy; w formowaniu się zaś jej nie bierze on żadnego udziału. }

Określiwszy tym sposobem rolę głównego korzenia, p. A. Girard począł w innych częściach rośliny szukać źródła tworzenia się sacharozy. Większość uczonych przypisuje tę ważną rolę wyłącznie liściom buraka. Niektórzy z nich jednak zadali sobie pytanie, czy liście są wyłącznie czynnikami w tworzeniu się węglowodanów i czy części podziemne buraka asymilując, czy to kwas węglanu znajdujący się w wodach, przechodzących przez grunt, czy też części humusowe tegoż gruntu, nie współdziałają razem z liśćmi w formowaniu się sacharozy. Aby odpowiedzieć na te pytania p. A. Girard przedsięwziął szereg badań nad rolą jaką odegrywa system korzonkowy buraka w jego życiu. Nie wdając się w szczegółowy opis jego doświadczeń, zaznaczymy tu tylko ich rezultaty, mianowicie zaś, iż w żadnym wypadku ani korzonki ani koniec głównego korzenia, zagłębiający się prostopadle w ziemię, nie mogą być uważane jako produkty substancji organicznych t. j. cukru i glukozy. Rola zaś fizyologiczna korzonków buraka polega na przesłaniu mu w ciągu całej kompanii 20 gr. mniej więcej substancji mineralnych.

Jeżeli, jakżeśmy to widzieli, jesteśmy w prawie odmówić głównemu korzeniowi buraka i jego korzenkom wszelkiego udziału w formowaniu się sacharozy, to przez to samo źródło tworzenia się tej sacharozy z góry nam jest wskazaném. Źródłem tęp są liście buraka a ściśle mówiąc, jak to prace p. A. Girard wykazały, ich ogonki, które stanowią jakby laboratorium, w którém pod wpływem promieni słonecznych i w stosunku prostym do ich siły tworzy się sacharoza. Możemy teraz łatwo zrozumieć przez jaki mechanizm główny korzeń buraka wzbogaca się w cukier. Jeżeli liście, ważą przeciętnie 500 gr., to jak doświadczenia p. Girard wykazały, mogą one zawierać pod koniec dnia do 2 gramów sacharozy; ponieważ jednak połowa tej sacharozy znika podczas nocy, bukiet liściasty buraka może zatem przesłać głównemu przez 24 godzin jeden gram cukru. Dla perjodu czasu 100 dni (15 lipca do 25 października) wynosi to 100 gramów, co dla buraka ważącego 750 gramów stanowi 13% do 13,5% jego wagi.

Widzimy z tego, jak ważną fizyologiczną rolę odgrywają liście w życiu buraka i jak zasługuje na potępienie, gdzie niegdzie jeszcze utrzymujący się u nas zwyczaj obrywania liści buraczanych już w początkach miesiąca września.

Druga serya prac p. Girard, wystawiona tuż obok wyżej opisanéj, odnosi się do produkcji kartofli. Uprawa téj rośliny zajmuje we Francyi $1\frac{1}{2}$ miliona hektarów rocznie, które produkują mniej więcej 115 milionów hektolitrow; na pierwszy rzut oka cyfry te mogłyby budzić pewne złudzenie. W rzeczywistości rezultaty te są bardzo nędzne: 115 milionów hektolitrow zebranych z $1\frac{1}{2}$ miliona hektarów; odpowiada to mniej więcej wydatkowi 75 kwintalów z jednego hektara; w Niemczech zaś wydatek przeciętny z hektara wynosi od 200 do 300 kwintalów. Ale nietylko pod względem wydajności wagowej kartofle francuzkie są dużo gorsze od niemieckich; są one niemi także i pod względem ilości zawartéj w nich mączki: kartofle francuzkie zawierają przeciętnie od 13% do 14% mączki bezwodnéj, podczas gdy niemieckie zawierają jéj od 17% do 18%. W takich warunkach produkcji kartoflanéj Francya zmuszoną jest sprowadzać corocznie z zagranicy około $2\frac{1}{2}$ miliona kwintalów rozmaitego ziarna, głównie zaś kukurydzy, dla wyprodukowania 1,900,000 hektolitrow alkoholu, jak to statystyki wykazują.

Chcąc zaradzić temu, p. A. Girard przedsięwziął szereg prac nad kulturą kartofli, które obfitują w rezultaty praktyczne pierwszorzędne dla rolnictwa znaczenia. Równie jak przy burakach, uczony profesor podjął swe zadanie bardzo wszechstronnie, poddał licznym i nader ścisłym analizom kłęby, liście, łodygi i korzonki kilku gatunków kartofli, biorąc pod uwagę także i warunki metereologiczne wśród których roślin się rozwijała. Starał się on następnie; podobnie, jak dla cukru w burakach, określić dokładnie rolę, jaką odegrywa każdy organ rośliny w formowaniu się substancyi organicznych, w szczególności zaś mączki. Badał następnie przyczyny, które wpływają na obfitość zbioru kartofli i na ich bogactwo w mączkę i podaje nam w ślad zatém sposoby dla zapewnienia sobie jednego i drugiego. Wreszcie daje nam rezultaty swych doświadczeń nad zdolnościami dziedzicznymi kilku gatunków kartofli. W końcu wyciągnął p. Girard ostateczne konkluzye ze swych kilkuletnich prac nad uprawą kartofli. Nie mogąc, dla braku miejsca, przytoczyć ich w całości poprzestać tu musimy na zaznaczeniu ustępów, które nam się zdały najważniejszymi.

Podobnie jak w buraku, p. Girard rozróżnia w rozwoju kartofla trzy stopnie: pierwszy, podczas którego liście, łodygi, kłęby i korzonki rozwijają się wszystkie zarówno i jednocześnie; drugi, podczas którego liście i łodygi zaczynają więdnąć, korzonki pozostają chwilowo zatrzymane w swym rozwoju, kłęby zaś nie przestają rosnać; trzecia i ostatnia faza wreszcie, podczas której liście, łodygi i korzonki już umierające, pozostawiają kłęby w gruncie pozbawione wszelkiego organu, któryby je karmił a przez to samo już pozbawione własności dalszego rozwijania się: jest to czas dojrzewania, w którym trzeba zacząć kopanie. Podczas peryodu rozwijania się kłębów, bogactwo ich w mączkę powiększa się nader szybko, mączka przedstawia wtenczas, gdy kłąb jest w stanie suchym, $\frac{3}{4}$ jego wagi.

Co się zaś tycze warunków praktycznych, koniecznych dla osiągnięcia obfitego zbioru kartofli bogatych w mączkę, są one następujące:

1). Orki o ile możności głębokie. Dobre skutki wynikające ztąd na obfitość zbioru, a szczególnie na bogactwo w mączkę kartofli, wykazane są cyframi przez p. Girard.

2). Nawozy dobrze zastosowane do natury gruntu i jego składu chemicznego, mogą sownie się opłacić gdyż podnoszą wydatek z hektara o 5000 kg. Szczególniej dobre skutki wywierają nawozy położone na gruntach pozbawionych odpowiedniego elementu.

3). Regularność w sadzeniu jest warunkiem bardzo ważnym.

4). Data sadzenia zależną jest naturalnie od gatunku kartofli; wczesne powinny być sadzone wcześniej, późne — później, w ogóle jednak wczesne sadzenia wydają zbiory obfitsze niż późniejsze.

5). Odległość pomiędzy osobnikami zależną być też powinna od gatunków sadić się mających; jeżeli dany gatunek daje silny wydatek, to odległość pomiędzy osobnikami powinna być zwiększaną, przeciwnie zaś jeżeli gatunek jest małowydajny, to odległość powinna być zmniejszaną. Przeciętnie jednak 3,3 kłębów na metr kwadratowy, co odpowiada 33000 kłębom na hektar, zdaje się najlepiej nadawać.

6). Przymioty dziedziczne kartofla zajmują jednak pomiędzy wszystkimi temi warunkami pierwszorzędne miejsce. Należy tu rozróżnić dwa czynniki: z jednej strony rozmiary kłębów; z drugiej zaś własności dziedziczne osobnika, z którego dany kłąb pochodzi. Co do wielkości, to p. Girard rekomenduje używanie do sadzenia kłębów średniej wielkości, wysoka waga kłębów nie jest w stosunku prostym z jego wydatkiem, jeżeli jednak dla danego gatunku kartofli jak np. Richter's Imperator, znajdują się jedne grudki, ważące po 200 gr. każda, i obok nich dwie inne ważące 63 gr. i 133 gr. to kłąb od 80 gr. do 100 gr. będą najzdatniejsze to sadzenie. — Co się zaś tycze dziedziczności, to p. Girard pierwszy wykazał, iż najwyższa siła produkcyjna należy do kłębów, pochodzących od osobnika, który dał wysoki wydatek; pomiędzy niemi jednak, jakeśmy to powiedzieli, należy wybierać kłęby średnich rozmiarów.

Tym sposobem p. A. Girard daje nam sposoby otrzymania naprzykład z gatunku kartofli Richter's Imperator, 33000 kg. kartofli z jednego hektara, zawierających do 18% mączki bezwodnej.

Obok prac p. Girard byłoby jeszcze dużo do powiedzenia i o innych kolekcjach, jak np. o całej seryi nadzwyczaj ważnych i ciekawych prac p. Muntz, nad nawozami azotowemi i nad ich działaniem na rozmaite rośliny. Przedmiot to jednak za obszerny, aby go można w krótkości traktować, wolimy zatem czytelników naszych odsłać do niedawno wyszłego dzieła p. Muntz zatytułowanego „Les Engrais, Paris“ 1889, w którym właśnie rolnicy znajdą wnóstwo wskazówek praktycznych, tyczących się tej ważnej części gospo-

darstwa rolnego t. j. nawozów w najobszerniejszym tego słowa znaczeniu.

Poza Instytutem Agronomicznym widzimy wystawy tak zwanych szkół narodowych rolniczych (*Ecoles nationales d'agriculture*), z których znajdują się we Francyi trzy: w Grignon, Grondjanon i Montpellier. Szkoły te mają już charakter więcej praktyczny, i przy każdej z nich znajduje się t. z. *ferme-mo-dèle*.

Daléj spotykamy wystawę prac profesorów departamentalnych; każdy departament liczy bowiem jednego takiego profesora, który obowiązany jest dawać konferencye uczniom szkół normalnych, na temat rolniczy, zastosowany do warunków miejscowych. Prócz tego miewają oni także konferencye w obec rolników po wsiach, objaśniając ich tym sposobem co do rozmaitych kwestyi gospodarstwa rolnego i dając im wskazówki naukowe co do melioracyi, jakich rolnictwo danej okolicy potrzebuje.

Daléj następują pola doświadczalne, uorganizowane przez rząd lub téż przez osobne departamenty i znajdujące się pod dyrekcyą stacyi Agronomicznych i profesorów departamentalnych; pozwalają one rolnikom sądzić *de visu* w najwięcej nawet oddalonych miejscowościach terytoryum francuzkiego o melioracyach, które mogą zaprowadzać w swoich gospodarstwach.

Wreszcie stacye agronomiczne, z których w 1868 zaledwie jedna istniała, rozwinęły się bardzo szybko, również jak i laboratoria rolnicze. Stacye agronomiczne są to zakłady naukowe, w których robią poszukiwania nad rozmaitemi kwestyami interesującemi rolnictwo: selekcyja roślin, fizyologia roślinna, karmienie zwierząt, nawozy etc.

Laboratoria rolnicze objaśniają rolników co do składu chemicznego gruntów, co do ich wymagań pod względem nawozów, a także zabezpieczają rolników od fałszowania nawozów sztucznych, nasion etc. Francya posiada obecnie 44 stacye doświadczalne i laboratoria rolnicze, zajmujące się, stosownie do okolicy, poszukiwaniami nad mlekiem, winem, jedwabnictwem, fermentacyami etc. etc.

MIEDZYNARODOWE
KONFERENCYE MONETARNE *).

PRZEZ

Prof. Dr. Józefa Milewskiego.

Nie kończą się jeszcze na tém wyniki naukowe konferencyi z r. 1878. Zasluga jej niepospolitą wystąpienie stanowcze przeciw nieracjonalnej propagandzie za złotą walutą ogólną, potępienie agitacji zdążającej do wyparcia srebra z stanowiska kruszcu monetarnego. Konferencya z r. 1867 zaleciła, jak wiadomo, ogólną walutę złotą; na używanie srebra obok złota jako monety obiegowej godziła się jedynie na czas przejściowy—*transitoirement*—w niedalekiej przyszłości miała wszędzie zapanować złota waluta, nawet w Indyach Wschodnich, jak to zaznaczył wyraźnie de Parieu (Protok. Konf. 1867, str. 41). Srebro ogłoszono za godne potępienia, wyparcie jego z obiegu monetarnego chciano uznać jako postęp cywilizacyjny, a znany monometalista Bamberger pisał o „*Entthronung eines Weltherrschers*“. Przeciwno zgubnej teorii wystąpili nie tylko bimetalisci—delegaci Stanów Zjednoczonych, Włoch, Hollandyi—ale wystąpił przedewszystkiém słynny *Goschen*, gorący zwolennik angielskiej waluty złotej, przez to samo już niepodejrzana powaga w oczach monometalistów. Ale z ust tej powagi padło wówczas pamiętne zdanie „*la proposition américaine impliquant le double étalon universel, me paraît impossible à réaliser, une véritable utopie; mais l'adoption de l'étalon d'or unique en serait une autre à mes yeux et celle—là tout à fait fausse*“. Podniosłszy wątpliwości, czy w ogóle starczyłoby złota na potrzeby monetarne, gdyby ono samo bez srebra tę służbę spełniać miało, a nie widząc możliwości stworzenia unii

*) Dokończenie zob. zeszyt za m. Wrzesień 1889.

bimetalicznej, wskazał Goschen na niebezpieczeństwa i straty ze zniżki i chwiejności srebra wynikające, uznał jako cel międzynarodowej polityki monetarnej: polepszenie pozycji srebra, nie czynienie nic przeciw niemu, a przypomniawszy, że pomimo strat, jakie zniżka srebra dla wszystkich warstw w Indyach, dla całego indo-angielskiego handlu, wywołała, rząd angielski mienić w Indyach dla srebra nie zamknął, nic przeciwko srebru nie uczynił, dodał Goschen, niemal jako groźbę „mais cependant si d'autres États se livraient à une propagande en faveur de l'étalon d'or unique et démonétisaient l'argent le Gouvernement des Indes serait peut-être forcé de revenir sur la situation et contraint par les événements à prendre des mesures analogues à celles qui ont été prises ailleurs; dans ce cas, l'effort général que l'on ferait de tous les côtés à la fois pour se débarrasser du métal argent, pourrait occasionner les plus graves désordres dans la situation économique et produire une crise plus désastreuse que toutes celles dont le monde commercial a gardé le souvenir“.

Dowodu, że złota starczy dla świata całego, że bez srebra obéjść się można, że jego dalsza zniżka jest obojętną, a przynajmniej niegroźną dla państw europejskich, choćby tylko dla państw złotej waluty, nie zdołali dać monometaliści; owszem—w obec śmiałego i jasnego wystąpienia przedstawicieli Anglii—zrzekli się oni nawet swego zasadniczego stanowiska, zajętego dawniej, wystąpili z nowym, uludnym projektem, mającym po prostu ich odwrót z niedającej się utrzymać pozycji zakryć, a mianowicie z projektem podziału świata na dwie odrębne połowy. Feer-Herzog oświadczył wtedy: „il faut partager le monde entre les deux métaux, choisir l'or pour les nations avancées et laisser l'argent aux pays dont la civilisation est arriérée ou stationnaire“. Jak ten projekt wykonać, o tém nic nie wspominał niezmordowany obrońca złotego monometalizmu, uważający widocznie swój kraj Szwajcaryą za sam kwiat cywilizacji, a przecież w polityce monetarnej, jak w ogóle w polityce, te tylko projekta można na serio traktować, które są wykonalne. Przekonamy się, że do ich rzędu Feer-Herzoga projekt podziału świata bynajmniej nie należy.

Co do powodów tego projektu wyparcia srebra z obiegu państw cywilizowanych, to wnioskodawca umiał przytoczyć tylko: „l'argent est un métal d'ordre inférieur, mal adapté au besoin de la civilisation, incommode aux particuliers, ne convenant qu'aux peuples arriérés, dont la valeur a constamment baissé depuis quatre siècles, et qui, lorsqu'on le maintient chez des peuples civilisés au rang de monnaie légale, appelle, en quelque façon, les émissions de papier—monnaie..... C'est principalement cette baisse persistante de l'argent qui a éveillé l'attention des Gouvernements et les pousse à adopter l'étalon d'or unique“. Co zdanie miałyby się tu prawo postawić wielki znak zapytania; są to same głoślowne twierdzenia, rzucane jako

hasła, bez poparcia ich choć cieniem dowodu; kilka tych twierdzeń staje się bezpodstawnymi natychmiast, gdy się uwzględni kraje waluty podwójnej, gdzie obok srebrnej znajduje się w obiegu dostatek złotej monety obiegowej, a pozornie doniosłe twierdzenie o ciągłej niższej srebra, upatrywanie w tym fakcie przez różne państwa powodu do przejścia do złotej waluty, są wprost fałszywe. Ani Anglia, ani Niemcy, ani Skandynawia nie przeszły do złotej waluty dla znizenia się wartości srebra, jak twierdzi Feer-Herzog, ale Anglia przeszła do złota skutkiem spowodowanej błędną ustawą monetarną z r. 1717 utraty srebrnego pieniądza w ciągu XVIII wieku, Niemcy dla osiągnięcia monetarnej jednolitości—i holdując już radom monometalistów. Skandynawia dla utrzymania stałego pari wekslowego z najważniejszymi targami handlowymi t. j. właśnie z Niemcami i Anglią; zaszła zaś w ciągu czterech wieków zmianę wartościowego stosunku kruszcy z 1:12 na 1:15½ możnaby tak samo za wzrost wartości złota, jak za niższą srebra uważać. Godząc się nawet na tę ostatnią interpretacją zmiany zaszłej w wartościowym stosunku kruszcy, można słusznie zapytać, co ją wywołało? gdzie szukać winy? Po roku 1873 zniżyła się wartość srebra znacznie, a wielu kompetentnych uznało w tém głównie skutek wadliwych t. zw. reform monetarnych, nie winę srebra; stosunek wartościowy kruszcy chwiał się przez kilka wieków, ale chwiał się ogromnie i ustawodawstwo monetarne; co było przyczyną, co skutkiem, tego a priori przesądzać nie można, to zbadać należy dopiero sumiennie i umiejętnie. Przez długie wieki, aż do obecnej chwili, panowała w sprawie oznaczenia w ustawie wartościowego stosunku kruszcy t. zw. autonomia, polityka wolnej ręki; oznaczenie to było wiecznie różnym w przestrzeni i czasie, inny stosunek miała Francja w XVIII, inny w XIX wieku, inny miała Francja od r. 1803—1873 a inny równocześnie Stany Zjednoczone, inny Hollandya, inny Portugalia, inaczej taryfowano złoto w Niemczech, w Austrii, w Rosyi. Różnice te wywoływały spekulacyjną migracją kruszcu z kraju niżej do kraju wyżej taryfującego, a migracja ta kruszców skłaniała znów rządy do zmiany ustawowego stosunku, aby utracony kruszec odzyskać; taki cel sobie stawiając normowano często ten nowy stosunek świadomie fałszywie, za wysoko dla tego kruszcu, który odzyskać chciano. Kruszcem tym było przeważnie złoto, dające się dawniej taniej przewozić, nadające się więc do ukrycia w czasach wojen, a i to przypomnieć należy, że złote monety chętniej były w całym świecie brane, niż srebrne, bo mniej dopuszczano się na nich fałszerstwa, jakie przy srebrnych pieniądzach w wielu państwach przez wiele wieków praktykowano. Anarchia ta w oznaczaniu ustawowem wartościowego stosunku kruszcy i wywołany przez nią spekulacyjny ich przewóz, jedną tylko rzecz stwierdzają, i to, że równocześnie dwa różne stosunki wartościowe kruszcy w świecie utrzymać się nie dadzą, że każdy kruszec tam pójdzie, gdzie mu ustawa wyższe przyzna stanowisko; argument

Feer-Herzoga przeciw używaniu srebra oparty na twierdzeniu o nieustannęj tegoż zniżce, nie znajduje w historii żadnego poparcia; historia wskazuje bowiem, że stosunek zmieniał się na niekorzyść srebra, ale że zmieniały się i różniące się nieustannie między sobą odnośne ustawy; czy one się zmieniały dopiero skutkiem zmiany stosunku targowego kruszcy, czy téż stosunek targowy zmieniał się skutkiem zmiany ustaw, to jest co najmniej wątpliwem.

Powody, jakie Feer-Herzog dla uzasadnienia swego projektu przytoczył są przeto po części zupełnie mylne i niedostateczne, po części przynajmniej wątpliwe. Sam projekt zaś jest i zasadniczo i praktycznie błędnym. Jest błędnym zasadniczo, bo w zasadzie takie tylko ustawodawstwo monetarne za dobre uznać można, które przyjęte i przez świat cały dobrem się okaże. Każde państwo ma prawo zaprowadzić u siebie tę walutę, jaką za dobrą uzna; z tą swobodą sąsiadów, świata całego, każde państwo liczyć się musi, i uregulowanie krajowych stosunków monetarnych takie, którem działanie równe innym państw zachwiać zdoła, nie może być ani za dobre, ani za trwale uważane; nosi ono wybitnie cechę tymczasowości na sobie, złą i niepożądaną we wszystkich stosunkach ekonomicznych, złą przedewszystkiem w kwestyi pieniądza, mającego z natury swęj stanowić miarę i środek uiszczania dla długo terminowych, nieraz wieczystych prawie zobowiązań. Tu wszelka tymczasowość jest zgubną, wadliwą, a zasadniczo błędną waluta, która tymczasem tylko jest dobrą, t. j. tak długo, dopóki inne państwa za godny naśladowania wzór jej nie uznają. Czy zaś i kiedy to uznają, to od nich tylko zależy, i żadne państwo drugiemu w tym względzie skutecznie przeszkodzić nie może.

Zasadnicza wadliwość projektu Feer-Herzoga okazuje się tém jaskrawiej, skoro zwróci się uwagę na kwestyę praktycznego jego przeprowadzenia. Pierwsze tu nasuwa się pytanie, ktoby miał ten podział świata na ludy cywilizowane i spóźnione przeprowadzić. Zasada *uti possidetis* byłaby tu racjonalniejszą podstawą podziału świata, niż stopień osiągniętej cywilizacji. Jeżeli bowiem Norwegia i Szwajcarya i Portugalia uważają się za cywilizowane do tyła, że dla nich złota waluta jest jedynie wskazana, to naturalnie i państwa Unii Łacińskiej, Hollandya, Niemcy, Stany Zjednoczone musiałyby uznać to samo, a również Rosya i Austro-Węgry—pomimo panującej u nich waluty papierowej—nie mają powodu do uznawania siebie za mniej rozwinięte państwa, niż Szwajcarya lub Norwegia. W kwestyi pieniężnej zresztą jedna tylko strona cywilizacji może mieć znaczenie, i to rozwój gospodarczy, wzrost krajowych i międzynarodowych stosunków handlowych, a pod tym względem to każde z tych dwóch cesarstw znacznie ważniejsze zajmuje miejsce, niż wszystkie owe drobne państewka razem wzięte, pomimo uznawanej w nich przez Feer-Herzoga wysokiej cywilizacji. Gdzieżby się

więc miało skończyć to koło państw dostatecznie rozwiniętych dla złotej waluty? Europa cała i znaczna część Ameryki musiałaby tu być zaliczoną, drażliwości narodowe pchałyby jedno państwo po drugim do przyjmowania złotej waluty, sławionej przez ich zwolenników jako cecha wysokiej cywilizacji, rozszerzaniu się granic złotej waluty nie byłoby końca. Nie same bowiem drażliwości narodowe, ale rzetelne interesa ekonomiczne pchałyby do takiego rozwoju. Wyżej przytoczono już, że jedynie kraje z równą metaliczną walutą mają stałe pari wekslowe, tak ważne dla ograniczenia ryzyka obrotu międzynarodowego, przytoczono oświadczenia Hollandyi, państw Skandynawskich, zaznaczające k o n i e c z n o ś ć posiadania tej waluty, jaką mają, względnie jaką zaprowadzą państwa sąsiednie, z którymi najwięcej interesów handlowych je łączą; Skandynawia przeszła też dla tego do złotej waluty, a jak ona tak i każde inne państwo czułoby się trudnościami i ryzykiem, z różnicy w walucie wynikającymi, spowodowanem do przyjmowania mającej dominować w Europie waluty, t. j. do przyjmowania waluty złotej.

Tendecya ta realnemi stosunkami wywołana, tém łatwiej zaś zmieniałyby się w czyn, że każde państwo później złotą walutę przyjmujące na mniejsze narażałoby się straty, niż państwa ją zdawna mające. Niemcy przeszli do złotej waluty na podstawie stosunku 1:15½, za każde 15½ kilo srebra t. j. za każde 930 talarów zobowiązały się same płacić na rzecz wierzycieli państwowych 1 kilo złota t. j. 2.790 marek, tak samo kazały płacić wszystkim dłużnikom prywatnym. Dziś żadne już państwo nie przeszłoby do złotej waluty na podstawie stosunku 1:15½, nawet najbardziej plutokratyczne organa w Austro-Węgrzech omawiając sprawę regulacji waluty w Austrii domagają się przejścia na podstawie obecnego kursu guldenów papierowych, t. j. na podstawie stosunku 1:18,6. I Prusy i Austria zaciągały niegdyś swe długi w walucie srebrnej, Prusy zobowiązały się i muszą nadal dawnym wierzycielom już za każde 15½ kilo srebra dawać 1 kilo złota, Austria miałaby kilo złota do płacenia dopiero za 18,6 srebra. Ciężar długu państwowego, ciężar dla skarbu i dla wszystkich dłużników w kraju w Austrii by się nie zmienił jeszcze, kiedy w Niemczech jużby wzrosł o 20%. Straty dla Austrii objawiłyby się dopiero z chwilą, gdyby złoto, już po zaprowadzeniu w niej złotej waluty, jeszcze drożać poczęło; straty dla Niemiec wystąpiły już, a przejściem Austrii do złotej waluty utrwaliłyby się na zawsze. Żadne państwo posiadające złotą walutę niema środka żadnego, aby zaprowadzeniu jej w innych państwach przeszkodzić; w obec wywołanego przez działanie państw innych drożenia kursu walutowego stoi ono zupełnie bezbronnem. Obawa zaś przed drożeniem złota nie jest bynajmniej pesymistyczną mrzonką bimetalistów, widzieliśmy, że podzielali ją przedstawiciele Anglii, wiemy że trudnościami z różnic w walucie płynące—mianowicie z chwilą ustania stałego pari między złotem a sreb-

brem utrzymywanego do r. 1873 przez Francję—skłaniają państwa do zrównania swych walut. Chociażbyśmy zresztą nie uwzględniali jeszcze przejścia wszystkich państw cywilizowanych do złotej waluty, co przecież byłoby zgodnym z projektem Heer-Herzoga, chociaż uwzględnimy ewentualność przyjęcia złotej waluty tylko przez państwa Unii Łacińskiej, Hollandyą i Stany Zjednoczone a wycofania resztek srebrnej obiegowej monety przez cesarstwo Niemieckie, to już wówczas koniecznym byłoby, uwzględniając obecnie istniejące zapasy srebrnej obiegowej monety w tych państwach, zdemonetyzowanie pięciofrankówek za 3,700 milionów franków, dolarów srebrnych 300 milionów, co czyni 1,500 milionów franków, hollenderskich florenów za 700 milionów franków, wreszcie talarów za przeszło 500 milionów franków, razem więc należałoby zdemonetyzować przeszło 6 miliardów 400 milionów franków. Srebrne te pieniądze spełniają do dziś wszędzie służbę obiegową, pełnowartościową monety, i obiegają w Niemczech i Unii Łacińskiej podług stosunku 1:15 $\frac{1}{2}$, w Hollandyi 1:15 $\frac{5}{8}$, w Stanach Zjednoczonych 1:15,98, podług tego też stosunku musiałyby je państwa wycofywać z obiegu, na czem przy obecnej cenie srebra (42—43 pensów za uncję) straciłyby skarby tych państw do 30% wycofanej sumy, a uwzględniając dalszą zniżkę wartości srebra, która skutkiem tak wielkiej demonetyzacji i tak wielkiej podaży niewątpliwie musiałaby nastąpić, możnaby obawiać się straty na zdemonetyzowanym srebrze do 50% nominalnej wartości. Najwyższą produkcją srebra w ciągu naszej epoki oblicza Ad. Soetbeer (r. 1884) na 443,5 miliona marek, równe okrągło 550 milionów franków, suma zdemonetyzowanego srebra w powyższych 4 terytoriach wyrównywałaby przeto jedenastoletniej produkcji. Bez rewolucyi ceny srebra obyćby się nie mogło. Czém zaś taka zniżka ceny srebra, gwałtowny wzrost popytu za złotem, świata całemu zagraża, to scharakteryzowały już dostatecznie przytoczone powyżej słowa Goschena. I bynajmniej uspakajająco nie mogą oddziaływać składane na konferencyi zapewnienia Brocha, przedstawiciela Norwegii, który twierdził, że pomimo szerezenia się złotej waluty popyt za złotem nie wzrośnie anormalnie. Jest to błędne przypuszczenie, opierające się na przestarzałej reakcyi przeciw merkantylizmowi, równie zapoznającej znaczenie dostatecznego zasobu obiegowej monety, jak merkantylizm je przeceniał. Owe 6,400 milionów franków wynoszą 23% ogółu obiegowej monety w państwach ucywilizowanych, przedstawiają 33% sumy obiegowego pieniądza, jakaby po ich demonetyzacji w świecie ucywilizowanym została. Na tak wielkie uszczuplenie podstawy monetarnej społeczeństwa zgodzić się nie mogą, bo z jednej strony znajduje się Europa jeszcze w fazie przechodzenia jednych warstw z gospodarstwa pieniężnego w kredytowe innych dopiero z gospodarstwa naturalnego w pieniężne; brak lub uszczuplenie pieniądza obiegowego musiałoby powstrzymać na

ten pożądaný rozwój oddziałać; z drugiej zaś strony im więcej rozwija się kredyt, tém silniejszej potrzebuje on monetarnej podstawy, aby nie skończyć się kiedyś okropnym przesileniem; surogaty pieniądza natenczas praktyka i teoria tylko za dobre uznaje, gdy można je każdej chwili zamienić na pieniądz; one pozwalają jedynie na niepowiększanie masy pieniądza, ale uszczuplenia nie dopuszczają; służba ich w zaoszczędzaniu pieniądza kruszcowego jest tylko relatywną, nie absolutną. Uszczuplenie zasobów monetarnych o 23% musiałoby też zachwiać całą organizacją kredytową. O zastąpieniu zaś tej luki nowym złotym pieniądzem nie łatwo można marzyć; obecnie produkcya coroczna złota zesła na około 500 milionów franków, a tak geolog wiedeński prof. Suess, jak znany statystyk monetarny prof. Lexis nie spodziewają się bynajmniej wzrostu produkcji złota, obawiają się nawet jej zniżki. Przyjmując jednak jeszcze tę 500 milionową produkcję jako normalną należy przypomnieć, że potrzeby przemysłowe absorbują rocznie 350—400 mil. fr., odpływ na Wschód dochodził w latach 1880—1885 do 118 milionów franków, strata skutkiem ścierania się monet złotych w obiegu i ich zguby wynosi 3—5 milionów, tak, że bilans obecny złota więcej wzbudza uzasadnionych obaw istotnego deficytu, zmniejszania zapasu monety złotej, aniżeli nadzieję jej pomnażania. Zapatrując się nawet najbardziej optymistycznie na bilans produkcji i użycia złota można w najlepszym razie liczyć tylko na roczne powiększanie zasobu monetarnego w złocie o 100—120 milionów franków, co wynosi za ledwie 0,6% zapasów złotego pieniądza państw Europy i Ameryki, obliczonego przez Soetbeera na 16,498 milionów franków. Przyrost to istotnie minimalny, w całym znaczeniu tego wyrazu niezbędny; sam rozwój normalny obrotu i kredytu domaga się przynajmniej takiej zwyżki corocznej. Na wypełnienie luki powstającej skutkiem zdemonetyzowania owych 6,400 mil. fr. srebra nie zostaje absolutnie nic, a o zastąpieniu ich monetą zdawkową lub papierem na seryo mowy być nie może; z gruntu to fałszywa teoria monetarna, która ratunku szukać musi w anormalnym powiększaniu podwartościowej monety zdawkowej i emisji niepokrytego pieniądza papierowego. O zastąpienie luki, zdemonetyzowaniem srebra w wspomnianych państwach wytworzonej, rozpoczęłaby się walka, w którą zostałyby wciągnięte wszystkie państwa posiadające zasoby złotego pieniądza. Walka ta doprowadziłaby nasamprzód do znacznej pódwyżki dyskonta bankowego, a zmusiwszy przez to wielu do realizacyjnych sprzedaży tak efektów jak towarów, wytworzyłaby niebawem zniżkę cen, drożyznę pieniądza. A co do skutków drożyzny pieniądza to nauka jedno ma tylko zdanie, mianowicie, że to jest jedną z najgorszych klęsk, jakie spotkać mogą gospodarstwo społeczne, a klęska ta staje się tém fatalniejszą, im więcej w danym społeczeństwie jest rozwiniętą produkcya na zapas, im wyżej rozwinięte jego gospodarstwo kredytowe.

Samo więc już przejście jedynie Unii Łacińskiej, Stanów Zjednoczonych, Hollandyi do złotój waluty i dokończenie tój reformy w cesarstwie niemieckiem zdołałoby ogólne przesilenie monetarne wywołać. A cóżby się dopiero dziać miało gdyby i Rossya i Austro-Węgry i Hiszpania do złotój waluty także przejść zechciały? W myśl projektu Feer-Herzoga powinny to one uczynić, a gdy uczynić zechcą, to nikt im tego zabronić nie zdoła; ogólna walka o złoto musiałaby coraz więcej jego siłę kupna podnosić, bo tenby je posiadał w dostatecznej liczbie, ktoby najwięcej dał za nie. Licytacya ta o złoto skończyłaby się ogólną ruiną dzisiejszych producentów i dłużników, zwiększyłaby szeregi proletaryatu, i tak już groźnego swą liczbą i nędzą dla normalnego rozwoju ludzkości.

A przeszedłszy przez tę kłeskę naraziwszy się na to niebezpieczeństwo socyalne, cóżby zyskały państwa europejskie? Projekt Feer-Herzoga byłby spełnionym, wszystkie lub znaczna część państw cywilizowanych, miałyby złotą walutę, srebro byłoby materiałem monetarnym jedynie państw opóźnionych, ale jaka ztąd korzyść? Państwa złotój waluty miałyby między sobą — na własnych ekonomicznych ruinach — ułatwione stosunki, ale jakby rozliczał się handel Europy z Azją, państw złotój i państw srebrnej waluty? Handel ten ma swe ogromne znaczenie dla obu stron, jego fazą normalną było, gdy ustawowa relacya francuska, pomimo całej chwiejności tego bilansu płatniczego, wytwarzała stałe pari wekslowe między złotą a srebrną walutą; zawieszenie wolności bicia srebra w Paryżu, wywołane, jak wiadomo, uchwaleniem złotój waluty w Niemczech, zniszczyło to stałe pari, cofnęło azyo-europejskie stosunki handlowe z epoki gospodarstwa pieniężnego w epokę surowej zamiany. Projekt Feer-Herzoga przemieniłby to niekorzystne cofnięcie się w epokę surowej zamiany, uważane do dziś za niekorzystny stan przejściowy, w stan trwały, bo ani pieniąż europejski w Azyi, ani pieniąż azyatycki w Europie nie byłby materiałem monetarnym, jego podział świata byłby światem rozdzielonym. A ten rozdział świata korzyści nie przedstawiałby żadnych, ale dwa wielkie niebezpieczeństwa; istniejące trudności i ryzyko zmuszałoby albo do ograniczenia i zmniejszenia obrotów handlowych, co byłoby wysoce niepożądanem, albo do zabiegów odzyskania na powrót utraconego stałego wekslowego pari, a gdyby wobec niezmiennej opozycyi monometalistów i w myśl projektu Feer-Herzoga, Europa nie przyznała napowrót srebru monetarnego znaczenia po stałym stosunku do złota, to musiałaby Azya starać się o stałe pari wekslowe na podstawie złotój waluty. Tak więc projekt podziału świata kończy bankructwem, bo wiedzie albo do zmniejszenia obrotu międzykontynentalnego, albo do ogólnej złotej waluty, powszechnie za kłeskę uważanej. A wraz z tym projektem Feer Herzoga, mylnym zasadniczo, niewykonalnym praktycznie, zbankrutował w teorii — jak to na inném miejscu ¹⁾

¹⁾ Bankructwo monometalizmu. Kraków 1889.

staralem się wykazać — i złoty monometalizm. Powszechna bowiem waluta złota jest niemożliwą, projekt podziału świata utrzymać się nie da, i z o l o w a n a jest wprost niepożądaną, a quartum non datur. Konferencja pierwsza w r. 1867 była przedwczesnym tryumfem złotego monometalizmu, konferencja z r. 1878 była jego bankructwem. Pierwsza konferencja skończyła na werdykcie przeciwko srebru, druga teoretycznie rehabilitowała srebro, skończyła na werdykcie przeciw propagandzie za złotą walutą.

Ale tu właśnie mamy do czynienia z pewną wadą i luką w uchwałach konferencji z 1878 r. Uznając bowiem za konieczne, a więc i za możebne, równoczesne używanie i złota i srebra na materiały monetarne, nie można ograniczyć się do platonicznego zalecenia tego użycia, jak to uczynili przedewszystkiem Goschen i Gibbs, ale należy wskazać, na jakiej drodze to konieczne i pożądane monetarne używanie obu kruszcy da się w praktyce należycie osiągnąć i utrzymać. Luka ta w uchwałach spowodowała przedstawicieli Włoch do głosowania przeciwko podanej wyżej rezolucji, uprawniała zdanie Sir Louis Mallet'a o konferencji z r. 1878 „c'est la consecration de l'étalon boiteux.“

W trzy lata później, r. 1881, zebrała się trzecia międzynarodowa konferencja monetarna w Paryżu zwołana za wspólną inicjatywą Francji i Stanów Zjednoczonych.

W ciągu tych trzech lat nie wiele zmieniły się stosunki. Cena srebra chwiała się między 49,5 do 52,75 pensów za uncję, w tych latach przeciętnie 51,5 co odpowiada stosunkowi srebra do złota 18,5:1, przedstawia zniżkę wartości srebra o 15,4%; dyskonto bankowe nie często i nie na długo odbiegało od normalnego, oscylując w banku francuskim od 2 — 5%, w banku angielskim od 2—5 1/2%. Stosunki monetarne nigdzie nie uległy zmianie zasadniczej; Unia Łacińska zawiesiła zupełnie bicie srebra, nawet na rachunek rządów, utrwaliła swą walutę ułomną, równie jak Stany Zjednoczone, Holandia, Niemcy. W Niemczech zaszedł tymczasem fakt bardzo doniosłego znaczenia; parlament upoważnił już w roku 1876 radę związkową do wycofania zupełnego z obiegu i zdegradowania na monetę zdawkową dawnych niemieckich talarów; z upoważnienia tego nie skorzystała rada związkowa, przeciwnie nawet, od maja 1879 r. zaprzestano w Niemczech zupełnie wycofywać srebro z obiegu i sprzedawać. Do dziś nie ukończyły też Niemcy swęj reformy monetarnej, do dziś są dawne srebrne talary uposażone w pełną siłę zwalniania od zobowiązań al pari ze złotem jako trzymarkówki, pomimo że ich wartość kruszczowa wynosi zaledwie 2,10 — 2,25 marki. Ogół tych talarów przedstawia według oficjalnych obliczeń 410—500 milionów marek, ale pewności niema żadnej,

czy wobec wielkiej różnicy między nominalną a realną wartością talarów ich suma przez fałszerzy znacznie powiększoną nie została.

Powodem zaprzestania sprzedaży srebra w Niemczech były wielkie straty, jakie ta sprzedaż dla skarbu rzeszy za sobą pociągała. Pomijając srebro dawne zużyte na materiały monety zdawkowej cesarstwa, wycofał rząd niemiecki z obiegu 7,474,644 funtów czystego srebra, z czego do maja 1879 sprzedał 7,102,862 funtów cz. sr. Za sprzedane srebro uzyskał rząd 567,139,993 marek, a sam zapłacił za nie 663,621,109 marek, strata skarbu, wynikła przy tej sprzedaży, wyniosła 96,481,136 marek ¹⁾. Wobec tych strat oparł się kanclerz książę Bismarck dalszej demonetyzacji srebra, reforma niemiecka utknęła w pół drogi.

Fakt ten zaprzestania dalszej demonetyzacji srebra w Niemczech, mimo odmienną ustawę, wywarł w całym świecie nie małe wrażenie; upatrywano w nim ogólnie dowód prawdy słów Goschena z r. 1878, przepowiadających praktyczną niemożność dalszego rozszerzania się złotej waluty, niebywałą klęskę, jakąby dalsza demonetyzacja srebra musiała wywołać. Zdawało się też wielu ludziom, że stwierdzenie niemożności zupełnego wyparcia srebra z obiegu monetarnego wielkiego państwa w Europie wykazuje praktyczne bankructwo teorii zdolnego monometalizmu i teorii podziału świata, domaga się podjęcia na nowo międzynarodowej dyskusji, aby obmyśleć środki, zdolne na nowo pokój i spokój w dziedzinie monetarnej wytworzyć, reaktywować stałe pari między złotem a srebrem, utracone po r. 1873. Z wielu stron podjęto znów projekt międzynarodowego bimetalizmu, a nadzieje na jego tryumf zdawały się tym więcej uzasadnione, że obok w dawnych pismach Ludwika Wołowskiego i E. Seyda, znalazł bimetalizm międzynarodowy teoretyczne uzasadnienie i obronę w wielu nowych dziełach bardzo poważnych pisarzy, że wielu z dawnych zwolenników monometalizmu otwarcie przeszło do obozu bimetalistów. Do pierwszych należą przedewszystkiem: Henri Cernuschi, dr. Otto Arendt, do drugich Alb. Schaffle, Ad. Wagner, Emil de Lavéleye, prof. Pierson w Hollandyi a co najważniejsza: H. Gibbs, który jako przedstawiciel Anglii na konferencji z 1878 r. jeszcze za złotą walutą przemawiał i w możliwość bimetalizmu nie wierzył, a w rok później wydał rozprawę „Silver and Gold,” uznającą teorię bimetalizmu w całej pełni za słuszną i za jedynie słuszną.

Stosunki i opinia zdawały się być przychylnemi podjęciu na nowo rokowań międzynarodowych; inicjatywę podjęły dwie wielkie republiki stawiając świadomie jako cel konferencji w r. 1881 zbadać środki zapewniających monetarne użycie srebra obok złota, czego konieczność stwierdziły stosunki, uznała konferencya

¹⁾ Cyfry zawarte w oficjalnym komunikacie złożonym przez Niemcy roku 1881.

monetarna z 1878 r. Powołany na przewodniczącego konferencji francuski minister finansów Magnin przypomniał, że odpowiedź konferencji z r. 1878, sformułowana przez delegatów angielskich i francuskich, była potępieniem propagandy za złotą walutą, i zaznaczył dalej: „mais cette condamnation ne pouvait pas suffire et n'a pas suffi à changer la face des choses. Pour que le métal argent retrouve son ancienne valeur, il est indispensable qu'il soit comme par le passé librement monnayé à côté de l'or. Et comme aucun État ne veut être ni ne peut être seul à reprendre ce monnayage, il est absolument certain qu'on ne sortira des difficultés actuelles qu'autant qu'une convention bimétallique et internationale sera conclue. Il fallait, pour atteindre ce résultat, que tous les intéressés, c'est à-dire tous les Gouvernements se trouvaient en présence. Telle est la raison d'être de notre Conférence... Nous espérons que des discussions, qui auront lieu dans cette assemblée, jaillira la lumière, nous espérons qu'il sera démontré et par les données de la théorie et par celles de l'expérience, que le bimétallisme international est le seul système qui puisse ramener la régularité monétaire dans toutes les parties du monde“.

Francya i Stany Zjednoczone zaznaczyły w tej przemowie ministra Magnin jasno swe stanowisko. Uznały, że bez bimetalizmu nie można utrzymać w świecie tyle ważnego używania obu kruszcy, same oświadczyły swą gotowość przystąpienia do międzynarodowej Unii bimetalicznej, skoroby szereg innych państw równą gotowość okazał. Inne państwa zajęły jak niżej zobaczymy, różne stanowiska, tu należy jednak zaznaczyć że udział był znacznie ogólniejszym, niż w r. 1878. Oprócz państw biorących udział w drugiej konferencji stawiły się r. 1881 jeszcze Niemcy, Dania, Hiszpania, Portugalia, Indye Wschodnie, Kanada, razem w ogóle 18 państw.

Obrady rozpoczęły się na podstawie przyjętego przez komisję ad hoc kwestyonaryusza, jaki ułożyli delegaci hollenderscy. Kwestyonaryusz ten brzmi:

I. La diminution et les grandes oscillation de la valeur de l'argent, qui se sont manifestées surtout dans les dernières années, ont-elles été nuisibles ou non au commerce et, par conséquent, à la prospérité générale?

Est-il désirable que le rapport de valeur entre les deux métaux ait une grande fixité?

II. Les phénomènes indiqués dans la première partie de la question précédente doivent-ils être attribués à l'accroissement de la production de l'argent, ou bien à des mesures législatives?

III. Est-il probable, ou non, que si un grand groupe d'États accorde la frappe libre et illimitée de pièces légales des deux métaux ayant pleine faculté libératoire, dans une proportion uniforme

pour l'or et l'argent contenu dans l'unité monétaire de chaque métal, on obtiendra une stabilité, sinon absolue, du moins très forte, de la valeur relative de ces métaux?

IV. En cas de réponse affirmative à la question précédente quelles mesures devrait-on prendre pour réduire au minimum les oscillations du rapport de valeur entre les des métaux?

Par exemple: 1. Serait-il désirable d'imposer aux banques d'émission privilégiées l'obligation d'accepter toujours a prix fixe les lingots d'or et d'argent que les public leur présente?

2. Comment pourrait-on faire jouir le public du même avantage dans les pays où il n'y a pas de banque d'émission privilégiée?

3. Le monnayage doit-il être gratuit, ou, du moins, uniforme, dans tous les pays, pour les deux métaux?

4. Devrait-on s'entendre pour laisser libre de toute entrave le commerce international des métaux précieux?

V. En adoptant le bimétallisme, quelle devra être la proportion entre les poids de l'or et de l'argent pur contenu dans les unités monétaires?

Zanim przystąpiono do dyskusji generalnej nad powyższym kwestyonaryuszem, złożyli przedstawiciele Niemiec, Anglii, Indyi, Kanady, Danii, Portugalii, Rosyi Grecyi, Austrii, Szwecyi, Norwegii i Szwajcaryi urzędowe oświadczenia, streszczające się w zawarowaniu swobody działania w kwestyi monetarnej dla odnośnych rządów pomimo brania udziału w konferencji, zaznaczające, że odnośni przedstawiciele albo w ogóle nie mają prawa głosowania, albo głosować będą tylko w swém własnym imieniu, zastrzegające równocześnie, że położenie tych państw, bądź to z powodów zasadniczych, ekonomicznych, bądź z powodów finansowych, nie dozwala im dawać żadnych przyrzeczeń co do podjęcia jakichkolwiek pozytywnych kroków w dziedzinie monetarnej, a przedewszystkiem nie w kierunku zastosowania u siebie bimetalizmu. Najprzychylniejszą dla bimetalizmu okazała się z powyższych państw Austrija, której przedstawiciel hr. Kuefstein zaznaczył, że aczkolwiek trudności finansowej natury nie dozwolają Austro-Węgrom bezpośrednio podjąć przywrócenia wypłat kruszcem, to nie mniej „notre sympathie est acquise à toute mesure qui serait adoptée dans le but d'améliorer ou bien de rétablir autant que possible la position du métal blanc. aussi aimons-nous à esperer que la Conférence ne se séparera définitivement avant d'avoir adopté quelque remède pour obvier aux inconvénients de la situation monétaire actuelle qui, selon notre avis, est grave sous plus d'un point de vue.“ Przedstawiciel Anglii twierdził, że złota waluta w Anglii „a satisfait à tous les besoins du pays sans donner lieu aux inconvénients qui se sont manifestés ailleurs et sous d'autres régimes“, i dla tego nie myśli Anglia jęj zmieniać.

Praktycznie doniosłem i stojącem istotnie w zgodzie z braniem

udziału w konferencji było tylko oświadczenie przedstawiciela Niemiec. Zaznaczywszy, jakie powody skłoniły Niemcy do przyjęcia złotej waluty—mianowicie też obawa, aby inni ich w tém nie ubiegli—i wykazawszy jak dalece już reforma monetarna w Niemczech postąpiła ulepszając wewnętrzne stosunki cesarstwa i ułatwiając rozwój stosunków z państwami pierwszorzędного znaczenia, oświadczył, że Niemcy pozostając niezmiennie na stanowisku swęj ustawy chcą niemniej stanowczo ułatwić zadanie tym państwom, które podejmą kroki pozytywne dla rehabilitacji srebra, jaką i Niemcy za pożądaną uznają; cel ten da się osiągnąć zdaniem Niemiec: „par le rétablissement du libre monnayage de l'argent dans un certain nombre des États les plus populeux représentés a cette conférence, qui à cette fin, prendraient pour base un rapport fixe entre la valeur de l'or et celle de l'argent.“ Mimo tego uznania nie przyrzekły Niemcy wstąpienia do Unii bimetalicznej, ale tylko jej poparcie i to tak przez zupełne zaniechanie w ciągu kilku lat sprzedaży srebra co już zaniechali też istotnie od maja 1879—oraz przez ograniczenie w ciągu następnych kilku lat ilości, jaką Niemcy będą sprzedawać co roku, jak wreszcie przez szersze użycie srebra w swym wewnętrznym monetarnym obiegu. W tym celu byłyby Niemcy gotowe wycofać z obiegu złote pięciomarkówki również jak pięciomarkówki papierowe t. zw. Reichscassenscheine, co razem czyni około 70 milionów marek, oraz przebić srebrne 5-cio i 2-u markówki cesarstwa, wybite jako moneta zdawkowa podług stosunku 1:14, na podstawie przypuszczalnego stosunku Unii t. j. 1:15½, coby także około 20 milionów marek srebra zabsorbowało.

Deklaracya ta Niemiec była doniosłą i charakterystyczną; doniosłą, bo uznaje możność rehabilitacji srebra i utrzymania stałego wartościowego stosunku kruszcy przez unią bimetaliczną, uznaje znaczenie tej rehabilitacji dla całego świata i dla tego chcą własnem postępowaniem zawarcie i działanie owęj unii ułatwić; charakterystyczną, bo uznając to wszystko, nie myślą jednak Niemcy zrzec się złotęj waluty, przystąpić do tej unii—pomimo że bez ich współdziałania powstania unii bimetalicznej okazało się nieprawdopodobnem.

Równie dziwne, a i nielogiczne stanowisko zajęła w ciągu konferencji Anglia. Jak w r. 1878, tak i w 1881 uznała ona konieczność monetarnego użycia srebra, pożyteczność i doniosłość zabiegów, zmierzających do rehabilitacji srebra, do wytworzenia stałego wartościowego stosunku między złotem a srebrem; r. 1881 posunęła się nawet dalej i złożyła na konferencji oświadczenie imieniem banku Anglii, że z chwilą powstania wielkiej Unii bimetalicznej bank ten skorzysta z przyznanego mu r. 1844 prawa pokrywania czwartęj części swych biletów bankowych srebrem, kupowania na to sztab srebrnych po stałej cenie. W oświadczeniu tém leży implicite uznanie, że Unia bimetaliczna zdoła wytworzyć i utrzymać stały stosunek kruszcy i to Unia nawet bez współdziałania Anglii powstała; bez

przekonania, że ten stosunek kruszcu będzie dzięki Unii bimetalicznej istotnie stałym, pewnym, nie mógłby bank mający złotem płacić swe banknoty pokrywać je częściowo srebrem, nie mógłby rząd bankowi na taką fundację pozwolić. Nielogicznym też jest, że pomimo tego cichego uznania przedstawiciele Anglii jawnie twierdzili, że nie wierzą w stałość bimetalicznego stosunku, że rząd Anglii niezmiennie zwolennikiem gorliwym własnej złotej waluty się okazywał.

Z powyższych dwóch oświadczeń — Anglii i Niemiec — widać jawnie ich pragnienie, aby Unia bimetaliczna przyszła do skutku, widać przekonanie o słuszności i potrzebie bimetalizmu, ale widać też zarazem, że u b o c z n e względy — nigdzie nie zaznaczone — skłaniały oba te państwa do zajęcia negatywnego stanowiska w kwestyi wstąpienia do unii, pomimo moralnego i nawet pewnego materialnego poparcia, którem do powstania unii bimetalicznej chciały się przyczynić.

Co w krótkości zaznaczyli przedstawiciele Niemiec i Anglii w deklaracyach, to samo zaznaczali w ciągu dyskusyi. Streszczać tę dyskusyi tu nie będę, obejmuje ona 2 wielkie tomy, zawiera w sobie całą teorię bimetalizmu, rozwiniętą nieco odmiennie przez H. Cernuschi'ego, Dana Horton'a, hr. Russoni'ego i Dumas'a, i całą jego krytykę, z jaką wystąpili przedewszystkiem Norwegczyk Broch, jedyny członek wszystkich 3 konferencyi monetarnych, Belgijczyk Pirmez, zaciętrzewiony adept stariej szkoły liberalnej ekonomii, oraz następca Feer-Herzoga Burckhardt — Bischoff. Rozbiór całej tej dyskusyi przekraczałby znacznie zamierzony zakres tej rozprawy, zaznaczam więc tylko, że konferencya przeprowadziwszy dyskusyą ogólną, obejmującą 3 pierwsze punkta przytoczonego powyżej kwestyonariusza, odroczyła się na wniosek hiszpański na 6 tygodni, aby dać możność przedstawicielom poszczególnych państw zasiągnięcia nowych instrukcyi, stanowczego uwiadomienia konferencyi w jakim stopniu poszczególne państwa zechcą przyczynić się do uchylecia panującej anarchii monetarnej. W ciągu tej pierwszej sesyi wynikło z obrad konferencyi skonstantowanie istotne złego stanu stosunków monetarnych, uznano go za zarodek możliwych wielkich przesileń w przyszłości, zgodzili się na to przedstawiciele wszystkich wielkich państw. Zgodzili się oni również co do przyczyn złego i uznali przeważający wpływ demonetyzacyi srebra, a więc działania państw przyczem tylko drugi delegat Niemiec Shraut składał winę zachwiania stosunków głównie na zawieszenie wolnego bicia srebra w Unii Łacińskiej, a delegat Francyi H. Cernuschi zwał winę na zaprowadzenie złotej waluty w Niemczech, bez czegoby Unia Łacińska swych ustaw nie była zmieniała. Pogodził ich delegat Ameryki Dana Horton zwróciwszy uwagę, że w tej sprawie zawinił niemal cały świat, choćby tylko w swém votum na konferencyi r. 1867, a przedewszystkiem zawiniła Anglia, która pierwsza na świecie odebrała srebru monetarne znaczenie, pierwsza zrealizowała niefortunną myśl złotego monometalizmu.

Nie tak zgodną, jak co do istnienia złego i jego przyczyn, okazała się konferencja w sprawie lekarstwa, zdolnego złe uchylić. Francja, Stany Zjednoczone, Włochy i Hollandya uznały otwarcie, że jedynie bimetalizm zdoła zapewnić monetarne użycie złota i srebra, co ogólnie za pożądane, nawet za konieczne uznano; cztery te państwa poszły nawet dalej, oświadczyły swą gotowość przystąpienia do Unii bimetalicznej, skoroby i Anglia i Niemcy z Francją i Stanami Zjednoczonymi taką stworzyły. Stanowisko Anglii i Niemiec charakteryzują najlepiej ich wyżej wspomniane oświadczenia. Konferencja uznała wielką wagę tych oświadczeń, ale zarazem ich praktyczną niedostateczność. Szereg innych państw okazywał swe sympatyje dla Unii bimetalicznej, uznawał jej zdolność do naprawy i do utrzymania dobrych monetarnych stosunków, uznawał konieczność podjęcia czynnie sprawy srebra, warunkowo obiecywały nawet te państwa materialne ułatwienia zadania Unii lub nawet przystąpienie do niej; stanowisko to przychylnie bimetalizmowi zajęły Austro-Węgry. Hiszpania, Indye, Kanada, Rosya. Przeciwno bimetalizmowi i z stanowczą obroną monometalizmu złotego, chociażby tylko dla państw najwyższej (!) cywilizacji, wystąpiły tylko państwa drobnego handlowego i politycznego znaczenia, a mianowicie: Belgia, Dania, Grecya, Norwegia, Portugalia, Szwajcarya, Szwecya. Samo to zestawienie jest pouczającym. Pouczającym również, że prócz bimetalizmu nie umiano wskazać żadnego innego sposobu ukończenia anarchii monetarnej, zapobieżenia grożącej w przyszłości drożyznie pieniądza. Co prócz bimetalizmu doradzano, to było albo ukrytym a więc wadliwym bimetalizmem, albo tylko jakimś środkiem paliatywnym, niezdolnym złego usunąć. Ostatnie to miano odnosi się do projektu, zalecającego wycofanie z obiegu sztuk złota i papieru poniżej wartości 20 franków, wypełnienie powstałej przez to luki przez monety srebrne z rozszerzeniem dla nich w państwach złotej waluty siły zwalniania od zobowiązań. Wykonanie tego projektu mogłoby zmniejszając nieco popyt za złotem i tegoż ścieranie opóźnić lub zmniejszyć drożenie złota, mogłoby podnosząc popyt za srebrem przyczynić się do podniesienia ceny srebra, ale ono byłoby niezdolnym wytworzyć stały wartościowy stosunek między złotem a srebrem. Bez tego stałego stosunku obu kruszcy o normalnym ich używaniu w świecie nie może być mowy; projekt ten więc nie uchyła anarchii monetarnej a grzeszy wielkim błędem, bo zdąża do pomnożenia monety zdawkowej, do podniesienia jej prawnego znaczenia mimo chwiejnej ceny jej materiału, mimo nieczynienia nic dla uchylecia chwiejności, przez to staje się ten projekt i anti socyalnym, bo stwarzając dobrą monetę — dającą się po nominalnej wartości użyć i w wypłatach międzynarodowych — jedynie ze złota, a więc dla warstw zamożniejszych, składa całe ryzyko i niekorzyść z wadliwej organizacji stosunków monetarnych wynikające jedynie na warstwy słabe, niezamożne. — W ramach teoryi złotego monometalizmu nie

zdołano wskazać nic, coby zdolném było istniejące złe usunąć lub przynajmniej rozrost jego powstrzymać. Z fatalizmem oczekują monometaliści rozwoju wypadków, z fatalizmem tém mniej uprawnionym, że nie niezależne od woli ludzkiej czynniki, ale błędne przepisy ludzkiego ustawodawstwa są tu złego przyczyną. Nie występowali już z propagandą swęj teoryi—a przecież jeżeli jest dobrą i słuszną, to czemu jej nie rozszerzać — ograniczyli się do bronienia zajętej pozycyi, do wyszukiwania słabych stron bimetalizmu. W krytyce swęj nie byli szczęśliwi. Argumentując przeciw możności utrzymania stałego stosunku kruszczy, zaznaczali, że złoto może zdrożeć, że wzrastające zamiłowanie doń ludów musi jego drożyznę wywołać — ale zapomnieli, że w tym właśnie razie należy zerwać ze złotą walutą, bo miara wartości drożeć nie powinna.

Twierdzili monometaliści, że bimetalizm wywołuje spekulacyą w kruszczach, że wytwarza chwiejność stosunków monetarnych, a wspierający ich w tym punkcie delegat Anglii twierdził, że złota waluta ochroniła Anglią od chwiejności i złego, jakie gdzie indziej wystąpiło. Ale delegat Anglii zamilkł, gdy go się spytano, co też jego zdaniem byłoby się stało z siłą kupna funta szterlingów, gdyby Francya po r. 1850 — ulegając ówczesnym radom monometalisty Chevalier'a — była zdemonetyzowała swe złoto, zamknęła dlań swe mennice i wyparła z obiegu? Na twierdzenie, że jeżeli złota waluta Anglii dobrze funkcyonowała, to jedynie dzięki istniejącemu we Francyi i związanych z nią państwach bimetalizmowi, nie znalazł Fremantle żadnej odpowiedzi. I on zamilkł ponownie, gdy na podniesiony przezeń zarzut chwiejności stosunków w krajach podwójnej waluty jeden z delegatów Francyi, Denormandie przedłożył tablice wykazujące, że w ciągu 45 lat od r. 1837 do r. 1881 bank Francyi zmienił stopę dyskonta tylko 100 razy a bank Anglii aż 292 razy! że były epoki np. r. 1844 gdzie stopa dyskontowa w Anglii w ciągu kilku miesięcy skakała na 6, 8, nawet 10% utrzymując się równocześnie we Francyi na $4\frac{1}{2}\%$.

Jak zarzut chwiejności tak i zarzut budzenia spekulacyi w kruszczach przez bimetalizm jest zupełnie nieuzasadnionym, tworzy się nawet jeden z zarzutów, przy których bona fides ani przypuścić on nie da. Chłopski rozum starczy na to, aby wiedzieć, że spekulować można tylko na przedmiotach nie mających stałej ceny; dla tego też akcye, dające różną dywidendę, a nie listy zastawne lub renty państwowe są ulubionym przedmiotem spekulacyi; monometalizm przemienia srebro na towar w Europie bez oznaczonej ceny, tak samo złoto w Indyach, bimetalizm stwarza stałą cenę dla obu kruszczy, stały ustawowy stosunek, on ogranicza ryzyko tranzakcyi w kruszczach i ztąd uchyla spekulacyą lub ją przynajmniej ogranicza. Ze wspomniany tu zarzut bimetalizmowi uczyniony jest bezpodstawnym widzi każdy, ale zarazem poucza ten zarzut niefortunny o tém, dla czego ci, którym tak spekulacya w kruszczach stoi na myśli, tak gorliwie za monometalizmem się oświadczają.

Ad captandam benevolentiam owych ludzi, co koniecznie chcą za liberalnych i postępowych uchodzić i wszystko chętnie przyjmą byle miało na sobie t. zw. liberalną etykietę, podniesiono też jeszcze zarzut patetyczny, że bimetalizm łamie świętą zasadę ekonomiczną; laissez-faire. Co do świętości czy nietykalności tej zasady możnaby wiele mówić, wiele na jej niekorzyść przytoczyć np. lichwę lub wyzysk pracy dzieci i kobiet po fabrykach, ale akceptując ją nawet wypada raczej wystąpić przeciw monometalizmowi, bo ten stwarza monopol dla jednego kruszcu, przepisem ustawy ogranicza wolność używania kruszcu drugiego, sprzeciwia się naturze, która nie jeden, lecz dwa kruszce szlachetne stworzyła, sprzeciwia się historycznemu rozwojowi stosunków monetarnych ludzkości, wtargując akcją państwową w dziedzinę praw historycznie przez srebro nabytych. Zarzut to istotnie tak słaby, że dziwić się można, iż go podniesiono w konferencji, a nie można się dziwić, że występującemu z tym zarzutem Pirmzewi odpowiedział Dana Horton: „je ne peux prendre au sérieux l'honorable délégué de la Belgique“.

Zarzut monometalistów najważniejszy, że ustawy nie zdołają utrzymać wartościowego stosunku kruszcy, znajduje dostateczną odprawę—pomijając wszelkie wywody dedukcyjne, ułatwione szczególnie przez nowe znakomite prace o teorii wartości — w stwierdzonym fakcie historycznym, że pomimo wszelkich zmian produkcji i eksportu kruszcy, zarówno jak wszelkich zmian w finansowem (waluta papierowa w Włoszech, Stanach Zjednoczonych) i gospodarczém (zniesienie pańszczyzny—koleje) położeniu państw, stosunek wartościowy kruszcy oznaczony w ustawie francuskiej był dominującym w świecie, na nim opierało się przez lat 70 oznaczanie wekslowego pari pomiędzy krajami srebrnej i złotej waluty, na nim opiera się niemal do dziś cała statystyka monetarna. Drobne lokalne różnice w stosunku złota do srebra nie przewyższały nigdy podwójnych kosztów transportu kruszcu z danego miejsca do Paryża, cena srebra w ciągu lat 1803—1873 nie zeszła nigdy poniżej $59\frac{1}{14}$ (1:15,92) nie wzrosła powyżej $62\frac{1}{16}$ (1:16,06). Ignorowanie tego faktu, przeczenie jego wynikiem w myśl abstrakcyjnej teorii jest tylko dowodem, że owa teoria jest fałszywą.

Po sześciu tygodniach przerwy rozpoczęła konferencja 30 czerwca 1881 roku na nowo swe obrady. W ciągu tej drugiej sesji żadne z państw nie zmieniło swego poprzednio już zaznaczonego stanowiska. Anglia i Niemcy ofiarowały pomoc dla Unii bimetalicznej ale niezmiennie odmawiały wstąpienia, inne państwa przyrzekały wstąpienie do Unii, jeżeli Anglia i Niemcy do niej będą należeć; bez nich nie myślano o tworzeniu lub o przystąpieniu do Unii. Pozostałe 2 punkta dyskusji, mianowicie, jakie dalsze środki mają być użyte, aby oznaczony w ustawie bimetalicznej wartościowy stosunek złota i srebra tém pewniej utrzymanym został, oraz jaki stosunek ma tworzyć podstawę międzynarodowego bimetalizmu; nie zostały dosta-

tecznie rozpatrzone i omówione. Jest to luka w obradach konferencji, jakkolwiek bowiem dwa te punkta przedstawiają istotnie szczegóły organizacyi Unii—a konferencya nie chciała sama wyczerpująco traktować szczegółów, nie widząc zapewnionego powstania Unii; i rezerwowała to dla następnych tranzakcyi między rządami—to jednak oba te szczegóły są nader doniosłego znaczenia i jasne ich zbadanie mogłoby w wysokim stopniu wpłynąć na decyzją rządów poszczególnych państw. Czynny współdziałal najważniejszych banków świata, zakupywanie przez banki Anglii, Francyi, Holandyi, Niemiec, Ameryki sztab złotych i srebrnych po stałej cenie, zapobiegłoby niewątpliwie wszelkiemu zachwianiu ustawowego stosunku; a wszelkie przeciwnie twierdzenia, oparte na złych doświadczeniach pierścienia miedzianego lub t. p., są wprost bezpodstawne. Przeocząją one nasamprzód, że między szlachetnymi kruszcami a towarami zachodzi znaczna różnica w motywach popytu, towary jakiegokolwiek nabywa się dla nich samych, złoto i srebro wyjątkowo tylko służy konsumpcyi, przeważnie są one pieniądzem, poszukuje się ich nie dla nich samych lecz dla nabycia przez nie siły kupna, dalej, żaden towar nie znajduje się w tych warunkach produkcyi i użycia co szlachetne kruszce, krórych tak coroczna konsumpcya jak i produkcyja przedstawiają mały tylko procent posiadanych przez ludzkość sapasów; żaden wreszcie towar niema stałej ceny, ma ją tylko kruszec będący materiałem obiegowój monety, banki zobowiązujące się do kupna jakiegokolwiek towaru ryzykują istotnie, mogą przez to dojść aż do niewypłacalności banki kupujące kruszec monetarny po stałej cenie—zawsze to czyni bank Anglii dla złota placąc 3 l. 17 szyllingów 9 pensów za uncję, z czego bije się 3 l. 17 sz. 10 $\frac{1}{2}$ d.—mogą go każdój chwili przemienić w oznaczoną ilość krajowój monety obiegowój, nie ryzykują wcale. A współdziałal ten banków, dla nich zyskowny, może regulująco wpłynąć na dopływ kruszcu do mennic państwa, zapobiedz nieregularnościom obiegu monetarnego. Rozpatrzenie innych jeszcze środków popierania bimetalicznój ustawy monetarnój byłoby równie ważnym i konferencya nie powinna była tego zaniechać.

Tak samo ważną jest kwestya stosunku złota do srebra, mającego tworzyć podstawę Unii bimetalicznój. Na konferencyi pobieżnie tylko przemawiano za stosunkiem 1:15 $\frac{1}{2}$ powrót do tego stosunku jest pożądanym dla wszystkich państw ułomnej waluty, których waluta ma pari wekslowe jako złota, w których obieg srebra podług stosunku 1:15 $\frac{1}{2}$ liczy się na setki milionów, inny stosunek ustawowy kruszcu zmusiłby te państwa do przebicia owych setek milionów srebra, coby milionowe straty dla ich skarbów państwowych za sobą pociągnęło. Ale powrót ten do stosunku 1:15 $\frac{1}{2}$ byłby niepożądanym przedewszystkiem dla państw papierowój waluty, nominalnie opartych na srebrze, których waluta skutkiem deprecyacyi srebra zniżyła się znacznie w stosunku do innych — ruble, guldeny—a zdrożałaby natychmiast z chwilą pełnej t. zw. rehabilitacyi srebra. I do tego

jeszcze obawiać się można, że powrót do stosunku 1:15½, pobudziłby kopalnie srebra do znacznego podniesienia produkcji, celem wyzyskania korzystniejszej sposobności zbytu, umożliwiłby podjęcie produkcji w kopalniach przy dzisiejszych cenach srebra się nie rentujących. Nagła taka zwyczajka produkcji srebra jest w ogóle niepożądaną, a tém mniej pożądaną w pierwszych czasach istnienia Unii bimetalicznej. Tak więc kwestya wartościowego stosunku mającego tworzyć podstawę Unii nie jest bynajmniej obojętnym, albo technicznym tylko szczegółem, ale jest kwestyą pierwszorzędnego znaczenia, mogącą wyrzeczyć wpływ stanowczy na postępowanie całych grup państwowych.

Konferencya z r. 1881 zmierzała istotnie do praktycznych celów, to też nie przedłużano już dyskusyi, ale przystąpiono do ponownych deklaracji rządowych, aby się wzajemnie o zamiarach i skłonności do czynu poinformować. Anglia uwiadomiła tylko o wspomnianej wyżej uchwale banku Anglii, Niemcy oświadczyły że nic nowego nie mają do dodania. Holandya i Włochy złożyły urzędowe deklaracje, przyczem Holandya uznawszy zniżkę i chwiejność srebra za fakt szkodliwy oświadczyła swe przekonanie, że Unia bimetaliczna, obejmująca wszystkie wielkie państwa Europy i Ameryki, jest odpowiednim środkiem uchylenia istniejącego złego, oraz swą gotowość przystąpienia do takiej Unii, otwarcia mennic swych i w swych koloniach dla nieograniczonego bicia srebra z chwilą powstania takiej Unii. Ostatecznie nie odmawia Holandya nawet przystąpienia do unii bimetalicznej obejmującej tylko kilka większych państw Europy i Ameryki. Zastrzegając sobie na ten wypadek wolność decyzyi przyrzeka Holandya bardzo poważne rozważenie takiego projektu, gdyby go kto w łonie konferencyi postawił. Włochy oświadczyły gotowość utworzenia z Stanami Zjednoczonymi i innymi państwami Unii Łacińskiej, unii z ograniczonym biciem srebra na czas ograniczony, skoroby Niemcy dopełniły swych obietnic złożonych na konferencyi i przyznały nowym srebrnym pięćcio— i dwómarkówkom nieograniczoną siłę zwalniania od zobowiązań i skoroby Anglia podobnie swe korony srebrne postawiła; na nieograniczone bicie srebra zgodziłyby się Włochy tylko w tym razie, gdyby oprócz Francyi, Stanów Zjednoczonych, Włoch, Niemcy i Anglia albo przynajmniej Anglia lub Niemcy do takiej Unii bezwzględnie się przyłączyły. Przedstawiciel Kanady oświadczył że dla stosunków monetarnych jego kraju są decydującymi ustawy monetarne Stanów Zjednoczonych, z któremi Kanadę łączą najwyższe obroty handlowe. Od ich postąpienia należy także decyzya Kanady.

Imieniem Stanów Zjednoczonych i Francyi złożył delegat Stanów Zjednoczonych Evarts następujące doniosłe oświadczenie:

I. Les grandes fluctuations et la diminution de la valeur de l'argent, relativement à l'or, qui se sont manifestées il y a plusieurs années et qui existent encore, ont été et sont très nuisibles au commerce et à la prospérité générale.

En rétablissant un rapport fixe entre la valeur de l'or et celle de l'argent, on rendrait au commerce du monde entier un service de la plus haute importance.

II. Une convention adoptée par un groupe important d'États qui s'engageraient à ouvrir leurs hôtels de monnaie à la frappe libre et sans limites de deux métaux, avec un rapport de poids fixe entre l'or et l'argent contenus dans l'unité monétaire de l'un et de l'autre métal et avec pleine force libératoire, aurait pour conséquence de deux métaux dans la circulation générale, à la satisfaction des intérêts et des besoins du monde entier.

III. Toute proportion actuellement ou récemment en vigueur dans une grande nation commerciale pourrait se maintenir si elle était adoptée par ce groupe d'États.

Mais l'adoption de la proportion de 15½ à 1 permettrait d'atteindre le but en causant moins de troubles et de difficultés dans l'ensemble des différents systèmes monétaires existants.

IV. Sans rechercher l'effet que pourrait produire un accord entre un nombre restreint d'États, une convention intervenant entre l'Allemagne, l'Angleterre, les États-Unis et la France avec le concours d'autres États d'Europe et d'Amérique aurait pour effet de maintenir dans le monde commercial tout entier le rapport adopté dans cette convention.

W tym stanie obrad objawiono z wielu stron życzenie zawieszenia obrad konferencyi, aby dać ponownie możność rządowi poszczególnych państw rozważenia kwestyi monetarnej, szerszego i ogólniejszego poparcia zabiegów tych państw, które same oświadczyły gotowość podjęcia kroków pozytywnych celem uchylenia anarchii monetarnej. Za rozwiązaniem konferencyi przemawiał tylko delegat Szwecyi, Forssell, ale po otrzymaniu żądanych wyjaśnień zgodził się i on na odroczenie. Na wniosek Francyi i Stanów Zjednoczonych przyjęła konferencya jednogłośnie następującą motywowaną rezolucyą odroczenia:

„La Conférence considérant que dans le cours de ses deux sessions elle a entendu les discours, déclarations et observations des Délégués des États si dessous énumérés:

Allemagne, Autriche-Hongrie, Belgique, Danemark, Espagne, États-Unis, France, Grande-Bretagne, Indes britanniques, Canada, Grèce, Italie, Pays-Bas, Portugal, Russie, Suède, Norvège, Suisse.

Considérant que les déclarations faites par plusieurs des Délégués l'ont été au nom de leurs Gouvernements:

Que ces déclarations admettent toutes l'utilité de prendre de concert diverses mesures, sous réserve de l'entière liberté d'action des différents Gouvernements;

Qu'il est permis de croire qu'une entente pourrait s'établir entre les États qui ont pris part à la conférence;

Mais qu'il convient de suspendre les réunions de Délégués;

Qu'en effet la situation monétaire peut pour quelques États,

motiver l'intervention des pouvoirs publics, et qu'il y a lieu de faire place, quant à présent à des négociations diplomatiques,

Sajourne jusqu'au mercredi 12 avril 1882“.

Motywując imieniem Francji powyższą rezolucją przypominał delegat Denormande, że wszystkie państwa uznały istnienie złego, a samo to uznanie wkłada na każde państwo obowiązek szukania lekarstwa zapobieżenia rozrostowi złego, jego uchylenia, dał on zarazem wyraz nadziei, że skonstantowane wśród obrad różne fakta w dziedzinie monetarnej ułatwią rządowi zadanie wyszukania wspólnym wysiłkiem, za pośrednictwem dyplomacji, odpowiedniego lekarstwa.

Z cicha żywiono nadzieję, że oficjalne oświadczenie gotowości przystąpienia do unii bimetalicznej złożone przez Francją, Stany Zjednoczone, Holandją i Włochy, zdoła wpłynąć na zmianę decyzji Anglii lub Niemiec na korzyść bimetalizmu.

Nadzieja ta zawiodła, konferencja monetarna już więcej się nie zebrała. Negatywne stanowisko Anglii i Niemiec przeszkodziło powstaniu unii bimetalicznej.

Ośm lat minęło już od tej konferencji, a stosunki monetarne w niczem się nie poprawiły; srebro wykazuje jeszcze większą chwiejność, cena jego zniżyła się aż na 43—42 pency, co odpowiada stosunkowi 1:22, zniżce wartości o 30%. Słowa ministra Magnin wypowiedziane przy zagajaniu konferencji r. 1881 „il est absolument certain, qu'on ne sortira des difficultés actuelles qu'autant qu'une convention bimétallique et internationale sera conclue“, znalazły w ciągu tych ośmiu lat swe pełne potwierdzenie. Unii bimetalicznej nie zawarto, ale i stosunków nie polepszo. Stwierdza to ponownie zarazem niezdolność monometalizmu do rozwiązania monetarnego problemu, nawet jego niezdolność do uchylenia złego, jakie sam wytworzył. Nieporadność i beczynność panująca w dziedzinie monetarnej w ostatnich latach wykazuje dobitnie tę niezdolność monometalizmu, wykazuje jasno racją bytu i wielką wspólną zasługę wszystkich trzech międzynarodowych konferencji monetarnych, polegającą na stwierdzeniu, iż bez międzynarodowego porozumienia nie można trwale i pożądanie zorganizować stosunków monetarnych.

Dziś niestety sytuacja jest niekorzystną dla kwestyi monetarnej. Wśród nieustannych obaw wojennych nie czas na rozwiązanie takiego problemu. Trzeba to odłożyć do lepszych dni—ale w tym przymusowem odkładaniu spraw międzynarodowego znaczenia tkwi potępienie polityki t. zw. zbrojnego pokoju, potępienie datującego od Sedanu militarizmu, który samym faktem swego istnienia przeszkadza ludzkości w zapobieganiu klęskom ekonomicznym, przeszkadza w uchyleniu złego i wytworzeniu zdrowych stosunków monetarnych, stanowiących niezbędny warunek normalnego gospodarczego rozwoju każdego społeczeństwa.

Kraków w lipcu 1889 r.

Bismarck *contra* Fryderyk III *).

PRZEZ

Konrada Machczyńskiego.

VII.

Pamiętniki Fryderyka III poruszyły całą prasę europejską, a przedewszystkiem, rozumie się—niemiecką. Dzienniki niezależne, wolnomysłne i w ogólności wszystkie organy opinii publicznej, które nie poszły jeszcze w bezwarunkową służbę ks. kanclerza, powitały tę publikacją jako nowy dowód wielkich przymiotów umysłu, serca i charakteru nieboszczyka cesarza. Bezstronne sądy prasy o tym dokumencie historycznym może najlepiej streściła w sobie stara i najpoczytniejsza *Vossische Zeitung*, nazwawszy go testamentem politycznym, który powinien stać się probierzem przyszłej polityki niemieckiej. Drobnie te kartki, powiedziała dalej, więcéj są warte niż całe rządy nie jednego władzcy; są one skarbem dla narodu, uwydatniają wielkie znaczenie zmarłego monarchy i wzbudzić muszą najgłębszy żal po jego stracie.

Dla sfer rządowych w Berlinie był to pocisk ciężkiego kalibru, który niespodziewanie padł i pękł wśród tryumfującego bismarckowskiego obozu. Sprawił on w nim ogromne zamieszanie, i na razie nie wiedziano nawet jak się wziąć do obrony. W oczach wyznawców i wielbicieli ks. Bismarcka dziennik ów, który podkopywał jego nieomylnność i wielkość, nie mógł przecież być prawdziwym, i prasa służalcza gotowa była natychmiast ogłosić go za sfalszowany. Wyprzeć się albo zaprzeczyć—stary to koncept, ale udawał się już nie raz. Wyparł się kiedyś ks. kanclerz rozmowy swój z polskim konserwatystą w 1882 r.; zaprzeczono autentyczności głośnych w roku

*) Ciąg dalszy. Zob. Zesz. za m. wrzesień r. b.

zaprzyszłym dokumentów w drażliwej sprawie bułgarskiej i odmówiono wiary ciekawym rewelacyom w „Nouvelle Revue,” dotyczącym zamierzonego małżeństwa ks. Battenberga z cesarzówną Wiktoryą. W tych wszystkich wypadkach dość było kanclerzowi kazać swoim organom powiedzieć: „nieprawda, fałsz!” żeby temu uwierzano, albo przynajmniej żeby udawano grzecznie, że uwierzano. W obecnym razie, prasa kartelowa chwyciłaby się tego środka, chętniej niż kiedykolwiek, i to oburęcz, tak jój i jój panu te pamiętniki dojadły. Ale stara sztuka już się zużyła, wiara w nią jakoś osłabła a przedewszystkiēm orzech, dany teraz do zgryzienia, był twardszym niżeli wszystkie poprzednie. Rzeczywiście sytuacja była skomplikowana, drażliwa, a nawet mogła być niebezpieczną. W sferach rządowych, pomimo zaprzeczeń poprzednich, wiedziano dobrze, że pamiętniki takie istnieją, osnowa ich mogła być nawet znaną z innego źródła, w ręku cesarzowej Fryderykowej lub innych osób mogły się znajdować oryginały lub wiarogodne odpisy tego, co ogłosiła „Deutsche Rundschau”: mogły więc łatwo znaleźć się dowody, że właśnie zaprzeczenie autentyczności byłoby kłamliwē. Co gorsza: w tym samym czasie zaczęły krążyć wieści o nowych nieporozumieniach sfer najwyższych z kanclerzem, o kwestyi gabinetowej, a nawet, że publikacja tego dziennika nie była obcą Wilhelmowi II-mu. Ks. Bismarck przyjechał spiesźnie z Frydrychsruhe, naradzał się natychmiast z zaufanymi sobie osobami, miał zaraz kilka długich posłuchań u cesarza, do którego jeździł, jak donosiły gazety, z dwoma świadkami (?), po czēm dopiero prasa kanclerska otrzymała odpowiednie instrukcyje, a tymczasēm z gorączkowym pośpiechem śledzono na wszystkie strony winowajcy, który tego fryderykowskiego piwa narwarzył. Na pierwszy ogień poszli dwaj najwierniejsi mamelucy kanclerza: „Norddeutsche Allgemeine Zeitung” i „Kölnische Zeitung,” ale ani jedna ani druga nie śmiała wprost i kategorycznie powiedzieć, że „Dziennik” jest podrobiony. Organ berliński, jako najbliższy tłōmacz myśli i poglądów ks. kanclerza, wystąpił z taką deklaracją: „Pod tytułem: „Z pamiętników Fryderyka III” tutejsza „Deutsche Rundschau” ogłasza wyciągi z dziennika, prowadzonego jakoby przez zmarłego monarchę podczas wojny francuskiej. Na mocy udzielonego nam upoważnienia, oświadczamy niniejszēm, że powyższa publikacja nastąpiła bez wiedzy cesarza Wilhelma II. Co do tekstu tych mniemanych pamiętników, zawierają one, podług zdania osób, które odgrywały wtedy wybitne role, tyle chronologicznych i faktycznych błędów, że wypada wątpić o autentyczności rzeczonoego tekstu. Przedewszystkiēm można uważać za pewnik, że nie cała treść pochodzi od zmarłego cesarza i że uwagi nie były zapisywane przez niego ze świeżej pamięci.” Było to więc właściwie tylko niby zaprzeczenie autentyczności, a przytēm tak wynuszone, oględne, niemal bojaźliwe, że świadczy najłepiej, w jak drażliwēm położeniu znalazł się organ półrządowy. Obok znów tego, usiłuje

on tak z każdej strony i na każdy wypadek podkopać wiarogodność tej publikacji, że widać w tém najgorętsze życzenie, ażeby nie mówiąc tego wyraźnie, wzbudzić koniecznie przekonanie w Europie i w Niemczech, że dziennik Fryderyka III. chociażby i był prawdziwy, na żadną wiarę nie zasługuje. „Gazeta kolońska“ nie kwestyonuje nawet całości, ale przypuszcza podrobienie częściowe i ogranicza je tylko do niektórych szczegółów, utrzymując, że wydawcy tendencyjnie powyrzucali jedne ustępy, poskracali inne, zestawili je niewłaściwie, i dla tego rzecz wyszła jaskrawo i niebezpiecznie. Ale i „Kölnische Zeitung“ oświadczyła także stanowczo, że cesarz nic o tej publikacji nie wiedział. Jednocześnie, przychodząc z pomocą swym mamelukom, rozpuścił ks. Bismarck, za pośrednictwem agencji telegraficznej Wolfa, na wszystkie strony wiadomość, że pamiętniki te uważa za podrobione, a za nim dopiero cała prasa konserwatywna, wielka część narodowo-liberalnej, a nawet i niektóre takie dzienniki, które wprzód utrzymywały zupełnie co innego, zaczęły, jakby na komendę śpiewać tę samą piosnkę na różne tony i występować przeciwko ich autentyczności. Natomiast znów cała prasa wolnomyślna, *Freisinnige Zeitung*, *Vossische Zeitung*, *Berliner Tageblatt* i inne dzienniki niezależne wystąpiły z gorącymi obronami wiarogodności tych pamiętników, utrzymując, że tak wielkie fakta nie mogą być wykreślone z historii przez bezimienne ich zaprzeczenia i żądały autentycznych dowodów podrobienia. Walka prasowa zawrzała na całej linii i to z niezwykłą zaciętością.

Ale zaprzeczenia urzędowe żadnego już nie odniosły skutku; przeciwnie, im gwałtowniej prasa kanclerska szarpała dziennik Fryderyka III-go, tém większą do niego wiarę przywiązywała opinia publiczna. Przewidywał to, zdaje się, ks. Bismarck zawczasu; uciekł się więc do swojego ulubionego, chociaż w tym razie najbardziej heroicznego środka, i wyjednał wprost u cesarza oddanie pod sąd kryminalny wszystkich, którzyby się okazali winnymi tej publikacji. Zeszyty „*Deutsche Rundschau*“ z pamiętnikami i pisma, które je przedrukowały, zostały skonfiskowane. Posypały się rewizye, zabieranie papierów, korespondencyi prywatnych, aresztowania: prokuratorzy, sędziowie śledczy, policya, słowem, cały potężny aparat policyjno-sądowy został wprawiony w ruch niebywały. Poszukiwano mianowicie tego, kto dostarczył rękopisu dziennika dla redakcyi „*Deutsche Rundschau*“, która długo uparcie milczała. Przypuszczeń, podejrzeń, nawet denuncyacji nie brakowało, i to poprostu w gazetach, zwłaszcza, gdy się okazało a „*National Zeitung*“ doniosła, że istnieją metalografowane odbitki tego dziennika i mogły się znajdować w ręku nie jednej osoby, która posiadała zaufanie zmarłego cesarza. Podejrzewano b. nauczyciela syna następcy tronu, posła Delbrück'a, to znów wdowę po Karolu v. Normann, b. marszałka dworu następcy tronu, to b. ministra badeńskiego Rog-

genbach'a i wiele innych osób, będących w bliższych stosunkach z nieboszczykiem, dalej rząd angielski, stronnictwo Eugeniusza Rychtera, wreszcie ks. Koburskiego, a nawet cesarżową wdowę. Wszystko to przecież pokazało się nieuzasadnionem i mylnem, gdyż niebawem wykryto rzeczywistego „winowajcę“ w osobie tajnego radcy Fryderyka v. Geffcken, publicyści i dyplomaty, b. rezydenta hanzeatyckiego w Berlinie i Londynie, syndyka m. Hamburga, a następnie profesora prawa międzynarodowego w Strassburgu, kolegi szkolnego i przyjaciela Fryderyka III-go. Uwięziony natychmiast p. v. Geffcken, przy pierwszym zaraz badaniu nie tylko przyznał, że on to dostarczył rękopis pamiętników do druku, ale zarazem oświadczył, że dziennik jest najzupełniej autentyczny, że otrzymał go wprost od zmarłego cesarza, że czynu swego nie uważa bynajmniej za karygodny, ale przeciwnie, że zaszczyt sobie z niego czyni.

Jeżeli samo wytoczenie tego procesu o zdradę stanu, ze względu na autora pamiętników, było już środkiem nadzwyczaj ryzykownym, który wszystkich zadziwił, to zasady i motywa raportu, jaki ks. Bismarck złożył wprost cesarzowi w tym przedmiocie, zrobiły z tej sprawy niepamiętny oddawna skandal polityczny. O co i o kogo głównie kanclerzowi chodziło — pomijając osnowę tego raportu, uwydatniło się w tém nawet, że zanim winny został wykryty i zanim jeszcze aresztowano p. v. Geffcken, już „Reichs und Staats-Anzeiger“ z 27 września r. z. ogłosił dwa następujące dokumenty urzędowe, poprzedziwszy je kilkoma wyrazami wstępniemi, a mianowicie:

„Z rozkazu jego cesarskiej mości, prezes ministrów wystosował do ministra sprawiedliwości następujące pismo:

Berlin, 25 września 1888 r.

Mam zaszczyt przesłać załącznicę Waszój Ekscelecyi kopią raportu (Immediatberichtes) z d. 23 b. m., złożonego wprost Najjaśniejszemu Panu, i pokornie zawiadomić: że Jego Cesarska Mość do wniosków w końcu tego raportu zamieszczonych przychylić się, ogłoszenie rapportu rozkazać i wezwanie Waszój Ekscelecyi o wykonanie tej woli najwyższej polecić mi—raczył. v. B i s m a r c k.

Do Jego Ekscelecyi Pana Dr. Friedberg'a, królewskiego ministra Stanu i Sprawiedliwości“.

Drugim dokumentem jest właśnie ów osławiony rapport kanclerza, osnowy następującej:

„Friedrichsruh, 23 września 1888 r.

Na rozkaz Jego Cesarskiej Mości mam zaszczyt w przedmiocie ogłoszonego w „Deutsche Rundschau“ mniemanego dziennika świętej pamięci cesarza, przedstawić co następujące:

„Dziennik“ ów, w tej formie, jak go wydrukowano, nie uważam za autentyczny. Ponieważ jego cesarska mość, ówczasowy następca tronu, pozostawał w 1870 r. po za obrębem politycznych negocyacji, mógł przeto o niektórych rzeczach być niedokładnie lub mylnie poinformowany. Nie miałem ja pozwolenia królewskiego do mówienia

z następcą tronu o tajnych kwestjach naszej polityki, ponieważ najjaśniejszy pan obawiał się z jednej strony, niedyskrecyi dworu angielskiego, przepełnionego wówczas sympatjami francuskimi, a z drugiej, zaszkodzenia naszym stosunkom z naszymi sprzymierzeńcami niemieckimi, z powodu za daleko wytkniętych celów i gwałtowności środków, jakie były zalecane jego królewskiej wysokości przez doradców politycznych wątpliwego uzdolnienia. Pozostawał więc następca tronu zdala od wszelkich spraw układowych. Swoją drogą trudno przypuścić, ażeby przy codziennem zapisywaniu doznawanych wrażeń, mogło być znaleźć się w tych notatkach tyle błędów faktycznej, a szczególnie chronologicznej natury. Zdaje się raczej, że albo same te codzienne notatki, albo ich uzupełnienia późniejsze pochodzą od kogoś z otoczenia następcy tronu. Zaraz w pierwszych wierszach powiedziano, jakoby ja w d. 13 lipca 1870 r. uważał pokój za zapewniony i dla tego chciał wracać do Varzin'a; tymczasem akta urzędowe przekonywają, że jego królewska wysokość wtedy już wiedział, iż wojnę uważałem za konieczną i tylko ustąpiwszy z urzędu, gdyby do skutku nie przyszła, chciałem do Varzin'a powrócić, oraz, że jego królewska wysokość — jak to i na pierwszej zaraz stronicy owych wrzekomych notatek z 15 w tych samych słowach wypowiedziane — zupełnie zgodził się ze mną na tym punkcie, że „pokój i ustępstwa są już niemożliwe“. Również nie jest prawdą (str. 6), że jego królewska mość nie miał wówczas nic istotnego do przytoczenia przeciwko mobilizacyi. Najjaśniejszy pan sądził, o czem następca tronu wiedział, że zdoła jeszcze utrzymać pokój i oszczędzić krajowi wojny; dla tego też jego królewska mość w Brandenburgu i przez całą ztamtąd drogę do Berlina nie chciał zgodzić się na moje przełożenia, żeby nakazać mobilizacyą. Zaraz jednak po przeczytaniu na banhofie w Berlinie mowy Olivier'a, i gdy najjaśniejszy pan, po powtórniem z Jego rozkazu odczytaniu tej mowy, powziął przekonanie, że równała się wypowiedzeniu wojny przez Francją, zadecydował proprio motu i bez dalszych omówień mobilizacyą armii. Wtedy jego królewska wysokość następca tronu, który już poprzedniego dnia uznał wraz ze mną konieczność zupełnej mobilizacyi, przeciał dalsze wahania się, zawiadamiając publiczność, to jest obecnych oficerów, o postanowieniu królewskiem, w słowach: „wojna, mobilizacya!“

Dalój, ze względu na ówczasowe moje rozmowy z następcą tronu, nie możliwem jest, aby jego królewska wysokość (str. 7) miał przewidywać po tej wojnie „pauzę w przelewie krwi,“ albowiem następca tronu podzielał i wypowiadał powszechne wówczas przekonanie, że ta wojna, jakikolwiek byłby jej rezultat, stanie się „początkiem całego szeregu wojen“ i „wojowniczego stolecia,“ a mimo to, że jest nieuniknioną.

Zdaje się być niemożliwem, ażeby następca tronu na str. 16 powiedział, że „z trudnością przeprowadził udzielanie żelaznego

krzyża i nie—Prusakom“; albowiem jeszcze w Wersalu, zatém o miesiąc później, niejednokrotnie w imieniu króla prosiłem następcę tronu, żeby zechciał i nie Prusaków zaszczycać orderem żelaznego krzyża, do czego przecież jego królewska wysokość nie był tak zaraz skłonny, i trzeba było dopiero powtarzanych przypomnień króla, żeby nakazywał ten środek w wykonanie wprowadzić.

Przy sprawdzaniu autentyczności tego dziennika uderza szczególniej błęd chronologiczny, jakoby żywa ze mną dyskusya o przyszłości Niemiec i o stanowisku cesarza wobec książąt rzeszy, dopiero w Wersalu miała miejsce. Rozmowa ta miała miejsce już 3 września w Donchery, a poczęści jeszcze podczas wcześniejszej kilkogodzinnéj narady, z której to tylko sobie przypominam, żeśmy ją odbywali konno, zatém prawdopodobnie pod Beaumont albo pod Sedanem. W Wersalu nie było już żadnych pomiędzy jego królewską wysokością a mną wyjaśnień co do różnicy poglądów na przyszłą konstytucyą Niemiec. Śmiem raczej sądzić, że J. K. wysokość przekonał się o słuszności zakreślonych przezemnie granic temu, co było możliwe do osiągnięcia; albowiem, przy nie wielu okazjach, kiedy była mowa w przytomności obydwóch tych dostojnych panów o przyszłości Niemiec i kwestyi cesarstwa, cieszyłem się poparciem następcy tronu, wobec wątpliwości najjaśniejszego pana. Twierdzenie „Dziennika,“ jakoby jego królewska wysokość mógł być zamyślać o użyciu siły przeciwko naszym związkowym sprzymierzeńcom i o ewentualném złamaniu wiernie przez nich dotrzymywanych i krwią ich przypieczetowanych traktatów — jest potwarzą względem świętej pamięci cesarza. Tego rodzaju myśli, zarówno ze stanowiska poczucia honoru jak i polityki niegodne, mogły w otoczeniu jego królewskiej wysokości znajdować swych przedstawicieli, ale były one za nieuczciwe, żeby w jego sercu, i za niezręczne, żeby w jego politycznym rozumie, odgłos znalazły. Równie mało zgadza się z faktami to, co przywiedziono w „Dzienniku,“ o mojem stanowisku względem kwestyi cesarskiej w r. 1866, albo względem kwestyi nieomylności, lub wreszcie względem izby wyższej i ministerstw państwa. Następca tronu nigdy nie wątpił o tém, że w roku 1866, cesarstwo nie było ani możliwém ani pożyteczném, i że wówczas mogłby być jakiś „cesarz północno-niemiecki,“ jakiś „empereur,“ ale żaden powołany przez historyą pośrednik narodowego odrodzenia się Niemiec. Również i myśl izby wyższej załatwioną została pomiędzy nami 3 września w Donchery, i jego królewska wysokość przekonał się, że królowie i książęta niemieccy nie byliby się zgodzili na zbliżenie ich stanowisk do pruskiej kuryi panów. Kwestya nieomylności była mi zawsze obojętną, dla jego królewskiej wysokości mniej; uważałem ją za fałszywy krok ówczasowego Papieża i prosiłem następcę tronu ażeby kwestyą tę przynajmniej podczas wojny, pozostawić w spokoju; ale jego królewska wysokość nie mógł nigdy mieć przekonania, że zajmę się nią po wojnie, ani tego w codziennie prowadzonym „dzienniku“ zamieścić.

Na str. 10 powiedziano, że projekt listu do cesarza Napoleona najjaśniejszy Pan podyktował hrabiemu Hatzfeldt'owi; następca tronu był przy tém obecny, jak król rozkazał mi list ten zaprojektować, i ten to dopiero mój projekt, przez hrabiego Hatzfeldt'a odczytany i do najwyższego uznania przedstawiony został; trudno więc znowu uwierzyć, ażeby przy codziennych zanotowywaniach, tego rodzaju błąd mógł być popełniony.

Z tego wszystkiego uważam ów „Dziennik,” w téj formie, jak go w „Rundschau“ wydrukowano, za nieprawdziwy. Gdyby on był autentyczny, to za jego ogłoszenie, podług mego zdania, znalazłby tu zastosowanie artykuł 92 kodeksu karnego, który stanowi: „Kto rozmyślnie tajemnice stanu albo wiadomości, których zachowania w sekrecie wymaga dobro państwa niemieckiego, publicznie rozgłasza“ i t. d. Gdyby, w ogólności, były tajemnice stanu, to do nich, jeżeliby był prawdziwym, należałby w pierwszym rzędzie ten fakt, że przy odbudowywaniu państwa niemieckiego, cesarz Fryderyk okazał zamiar złamania wiary i traktatów względem naszych południowo-niemieckich sprzymierzeńców i wywarcia na nich gwałtu. Również wiele innych przytoczeń, jako to: rzekome sądy jego królewskiej wysokości następcy tronu o najjaśniejszych królach bawarskim i wirtemberskim, szczegóły o liście króla bawarskiego i o powstaniu tego listu, mniemane zamiary rządu pruskiego względem nieomyślności, należą bez wątpienia, gdyby były prawdziwe, do kategorii tajemnic stanu i wiadomości, których ogłoszenie wystawia na niebezpieczeństwo trwałość i przyszłość państwa niemieckiego, spoczywające na jedności jego monarchów, i dla tego podlega artykułowi 92 prawa karnego.

Jeżeli ta publikacya będzie uważana za prawdziwą, to zachodzi wypadek przewidziany artykułem 91, 1-o kodeksu kryminalnego; jeżeli zaś, jak ja sądzę, ogłoszenie jest sfalszowaniem, to może stosuje się do niego przedewszystkiém artykuł 92, 2; a gdyby co do jego zastosowania miała zachodzić jaka wątpliwość prawna, wówczas, oprócz art. 189, o znieważeniu pamięci zmarłych, mogą jeszcze, jak mniemam, i inne artykuły kodeksu karnego służyć za podstawę do sądowego wystąpienia, które przynajmniej wydobyłoby na jaw źródło i cel tych karygodnych a dla świętej pamięci cesarzów Fryderyka i Wilhelma i dla innych potwarczych publikacji. W interesie obydwoich zmarłych poprzedników W. C. Mości leży, ażeby to nastąpiło, gdyż pamięć ich jest drogim skarbem narodu i dynastyi, i należy jej strzedz od skalania przez tę bezimienną, w celach wywrotu i wewnętrznych niepokojów dokonaną publikacyę, która w pierwszej linii zwraca się przeciwko cesarzowi Fryderykowi.

Z tych powodów najpokorniej upraszam W. C. Mość o najmilsze upoważnienie mnie do wezwania, w imieniu Najjaśniejszego Pana, ministra sprawiedliwości, ażeby polecił urzędowi prokura-

torskiemu rozwinąć postępowanie karne przeciwko publikacyi pisma „Deutsche Rundschau“ i jej sprawcy.

v. Bismarck.

Do Najjaśniejszego Cesarza i Króla“.

Bezpośredniem następstwem tego przedstawienia kanclerskiego było: dający wiele do myślenia fakt, że ks. Bismarck otrzymał od syna Fryderyka III pozwolenie na ogłoszenia takiego raportu, przesłanie akt nadprokuratorowi najwyższego trybunału państwa w Lipsku i wypuszczenie całej psiarni gadzinowej przeciwko pamięci ojca panującego monarchy.

Dostawało się od niej naturalnie miesięcznikowi „Deutsche Rundschau“, miał za swoje i p. v. Geffcken, który zaraz w parę dni potem był już uwięziony, ale wszystkie żądła prasy kanclerskiej zwróciły się przeciwko pamiętnikom i ich dostojnemu autorowi. Była to prawdziwa heca, oburzająca wszystkie umysły szlachetne i niezależne. Nietylko dzienniki rządowe i zachowawcze, nietylko taka „Norddeutsche Allgemeine Zeitung“, „Kreuzzeitung“, „Post“ i inne, będące pod komendą berlińskiego biura prasowego i płatne za to, żeby wielbiły albo kasały na skinienie, ale nawet organy, nazywające się narodowo-liberalnemi, odcienia „National - Zeitung“ i jej podobne prześcigały się w znieważaniu tego, który już nie mógł się bronić! „Post“, na przykład, dziękowała Bogu, że Fryderyk III nie przyszedł wcześniej do władzy, gdyż jego panowanie wystawiłoby cesarstwo na niebezpieczeństwa i ciężkie próby; inny organ konserwatywny wyrażał przekonania, że zmarły cesarz był w r. 1870 przeszkodą do zjednoczenia się Niemiec, albowiem za mało miał zdolności a za wiele pretensyi wymarzonych, a inny jeszcze pseudo-liberalny dziennik dowodził, że była to mierność, wobec której ks. Bismarck jasnieje swym geniuszem, jako jedyny, wielki twórca cesarstwa i t. p. Wszystkie zaś chórem dowodziły, że pamiętniki są sfałszowane, ale nie pomijały i tego, że gdyby nawet były autentyczne, to są błędne i nie zasługują na wiarę. Sympatye angielskie, wpływ cesarzowej, przypuszczalne niedyskrecyje, wnioskiwane ztąd niebezpieczeństwa dla państwa i przeróżne insynuacje, dotyczące „Reichsfeindów“, znowu zostały wyprowadzone na widownię i w zjadliwy sposób omawiane. I nie można dziwić się temu. Gdzie poczucie sprawiedliwości, niezależnego sądu i pojęcia etyczne zamarył, a pozostało tylko służalstwo i ślepe uwielbienie dla siły, która karze lub płaci, tam nie można było spodziewać się innego postępowania. Czyliż, zresztą, nie były do niego upoważnione najurzędowniej tym raportem kanclerskim i jego aprobatą cesarską? Szły więc tylko wiernie za hasłem wydrukowanem w „Staatsanzeigerze“ i były odgłosem obrażonej dumy i miłości własnej ks. Bismarck'a. Pamiętniki podkopywały wiarę w jego nieomylność, w legendę, że on tylko jeden był twórcą jedności Niemiec i cesarstwa, i przenosiły znaczną część otaczającą go aureoli na głowę znieawidzonego nieboszczyka, któ-

ry z poza grobu i mimowolnie zadawał tak dotkliwy cios jego wielkości i urokowi. W parę miesięcy po śmierci Fryderyka III historyczna Nemesis mściła się już za prześladowania, jakich był ofiarą za życia. W własnej przeto obronie, przeciwko rewelacyom Dziennika stawiał ks. kanclerz w motywach swego raportu tak drażliwe odkrycia, że chyba mniemał zaćmić niemi ostatecznie nawet pośmiertną cześć zmarłego cesarza, skoro się na nie odważył. Trzeba jednak było tę obronę przybrać w jak najprzyzwoitsze szaty, pokazać się zupełnie bezinteresownym w tej sprawie i zderutować opinię publiczną. Posłużyła do tego owa racya stanu, w którą ks. kanclerz tak lubi stroić wszystkie swe czyny i którą tak umiał zidenytyfikować ze swą osobą, że mógłby chyba za Ludwikiem XIV powiedzieć o sobie: *l'etat c'est moi!* Do tej racyi stanu dodał jeszcze oburzenie swoje, jako najwierniejszego sługi dynastyi i wyznawcy arcymonarchicznych przekonań, na publikacyę, która podług niego, miała „w pierwszej linii zwracać się przeciwko cesarzowi Fryderykowi,“ i nowoczesny palladyn, ogłosił się *urbi et orbi* żarliwym obrońcą czci nieboszczyka przeciwko jego mniemanym potwarzom! Było to istotnie, wzięcie się do rzeczy bardzo przebiegle i jak to mówią, przez rękawiczki; cóż, kiedy były one tak mocno zatrute, że wszyscy poznali się na ukrytym w nich jądzie i zrozumieli rzeczywisty cel wytoczenia tego procesu. Zapobiegając i temu, czujne gazety kanclerskie, a między niemi „Post“, dowodziły, że w sprawie tej ks. Bismarck miał jedynie dobro państwa na celu, gdyż jego interes osobisty nakazywał mu właśnie nie występować przeciwko publikacyi pamiętników, które ukazują jego wielkość w tak znakomitým świetle, z czego znów, oczywiście, wypadalo, że dla państwowej racyi stanu i dobra Niemiec poświęcał kanclerz nawet swoją wielkość i sławę!

Musiły jednak te wstrętne napaści przejść wszelką miarę, skoro nawet w takiej „Kölnische Zeitung,“ należącej do służby kanclerskiej, obudziło się sumienie i zmusiło ją do wypowiedzenia, chociaż bojaźliwie i warunkowo zdania, że ks. kanclerz za daleko posuwa swoje twierdzenia i wnioski, gdyż nie dostarcza dowodu na to, żeby następca tronu pragnął być faktycznie zmusić południowe Niemcy do wejścia do związku. Ale nie zabrakło innych, bardziej śmiałych i stanowczych obrońców, pomimo przygniatającej wszystko i wszystkich ręki kanclerza i ogłuszających wrzasków jego dziennikarskiej falangi. Cała prasa zagraniczna, z małym bardzo wyjątkiem dzienników, będących w ścisłych stosunkach z rządem pruskim, potępiała proces i stawała w obronie Fryderyka III i jego pamiętników, nie mówiąc już o prasie francuzkiej, która w pierwszym rzędzie ujmowała się za swym niegdyś szlachetnym nieprzyjacielem i zwycięzcą. W Niemczech, znaczna część prasy liberalnej, która nie ubiegała się o łaski ks. Bismarcka dla swojego stronnictwa, dzienniki niezależne, wolnomyślne, od czasu do czasu nawet niektóre

pisma zachowawcze i głosy wszystkich pokrzywdzonych narodowości broniły żarliwie strony, którą uważały za napastowaną niegodnie. Czuć jednak było nie raz w tych obronach, pod jak ciężkim obuchem pozostaje tam myśl politycznie niezależna i opinia publiczna. Wśród tej polemiki „Kieler Zeitung“ przypomniła ludzkie i szlachetne usposobienie Fryderyka III, przytoczywszy wyjątek ze znanego jego pamiętnika o wojnie prusko-austryjackiej w 1866 r. „Przygotować pole bitwy — pisał ówczasowy następca tronu — straszna to rzecz; niepodobna opisywać kalectw, jakie przedstawiają się oczom. Bądź co bądź, wojna jest przecież czemś tak przerażającym, że ten, kto ją wywołuje jednem pociągnięciem pióra, siedząc spokojnie i przy zielonym stoliku, ani przeczuwa nawet co czyni“. Prawdziwie śmiało w tej walce występował tylko naczelnik parlamentarnej opozycji Eugeniusz Rychter. Jego „Freisinnige Zeitung“, rozbiegając raport kanclerski, oświadczyła stanowczo, że w nim wiele ustępów „Dziennika“ wytłomaczono wprost fałszywie, a w innem miejscu, bez ogródki powiedziała: „Do tegośmy więc doszli, że bohatera z pod Königgrätz, Wörth i Sedanu, cesarza Fryderyka, ogłaszają urzędowe organy jako wroga państwa. Czelnością i łgarstwem przechodzi to już wszystko, co dotąd ośmielono się podawać narodowi niemieckiemu w prasie oficjalnej“. Ale najbardziej przekonującą obroną czci krzywdzonego cesarza i najwymowniejszą odpowiedź na te wszystkie napaści wyszła z łona magistratu Berlina. Na posiedzeniu *ad hoc* zwołanem, rada miejska stolicy *Rechtsstaat'u*, tej głównej kuźni urzędowej pocisków zniesławiających zmarłego, uchwaliła wystawić własnym kosztem monumentalny pomnik Fryderykowi III, a nadto, ustanowić legat jego imienia z funduszków dostarczonych przez gminę berlińską w ilości najmniej pół miliona marek i oznaczenie celu tego legatu pozostawić uznaniu cesarzowej Fryderykowej.

Wystąpienie ks. Bismarcka, około którego wszystko się teraz obracało, stało się aktem tak głośnym, że zasługuje, ażeby mu się bliżej przypatrzeć. Raport kanclerza państwa, w którym idzie o wielką rację stanu i cześć zmarłego cesarza, złożony bezpośrednio jego synowi i panującemu monarsze, należy do rzędu aktów tak wielkiej wagi, że musi być dokumentem pod względem formy swój i treści lapidarnym. Do takich aktów, i jeszcze ogłaszanych publicznie, przywiązywaną jest zwykle tak wielka wiara urzędowa, że o paradoksach, o naciąganiu faktów, o mylnych, a tém więcej przekształconych cytatach, o podstępnych insynuacyach, o sofistycznem i wątpliwój wartości rozumowaniu nawet mowy być w nich nie może. Nicogłędność, któraby naraziła dokument podobnej doniosłości na jakikolwiek uzasadniony pod tymi względami zarzut, kompromitowałaby poprostu tak wysoko postawione osoby i samą sprawę. Chcąc pamiętniki ze wszystkich stron zaatakować i unicestwić je wszelkimi sposobami, ks. kanclerz stawia w swym raporcie odrazu aż trzy przypuszczenia:

naprzód: że cały dziennik jest sfalszowany, następnie: że tylko niektóre jego ustępy są podrobione albo przeinaczone, a wreszcie: że jeżeli jest prawdziwym, to zanotowania w nim są błędne i z prawdą niezgodne, albowiem następca tronu nie mógł wiedzieć o istotnym położeniu rzeczy. Wprawdzie są to tylko przypuszczenia, ale raport tak żarliwie każdego z nich dowodzi, jak gdyby wszystkie trzy uważał za stanowcze twierdzenia, które przecież, jako takie, wyłączałyby się wzajemnie; jeżeli bowiem dziennik jest sfalszowany, to nie ma co mówić o błędach popełnionych w nim przez następcę tronu i na odwrót. Zresztą, nie idzie już o to, chociaż, w każdym razie, jest to zabiegliwość w takim akcie wadliwą, bo jej za wiele, i taka zbyt duża gorliwość grozi niebezpieczeństwem, o jakim mówi przysłowie, że „qui embrasse beaucoup mal étreint“.

Ale przechodząc do szczegółów i zaczynając przegląd tego raportu od rzeczy mniejszej wagi, widzimy, jak kanclerz zbija to, co pod d. 13 lipca zapisano w dzienniku, mianowicie, że Bismarck uważa pokój za zapewniony, a zbija oświadczeniem, że „J. Kr. Wysokość wtedy już wiedział, iż wojnę uważałem za konieczną“. Dowodzeniu temu brak ścisłości, albowiem z przywiedzionej przez kanclerza przyczyny, bynajmniej nie wypływa koniecznie pożądany przez niego skutek. Co innego jest przecież pragnąć czegoś i uważać za konieczne, a co innego powiedzieć, że się stało inaczej, gdy tego „inaczej“ jest osobna przyczyna. Jedno wcale nie wyłącza drugiego, jedno nie przeczy drugiemu i oboje mogą stać w zgodzie przy sobie. Mógł kanclerz uważać wojnę za konieczną, potrzebną, (nothwendig) mógł o tém wiedzieć następca tronu, ale za tém wcale jeszcze nie idzie, żeby ks. Bismarck nie mógł powiedzieć iż uważa pokój za zapewniony a następca tronu tego zapisać. skoro właśnie przyczyna wojny ustała, bo ks. Hohenzollern zrzekł się kandydatury do trony. Ten sam ustęp dziennika zbija kanclerz w dalszym ciągu raportu jeszcze tém, że następca tronu zgodził się z nim zupełnie w tym punkcie, jak to pod d. 15 i w dzienniku jest zapisane, że „pokój i ustępstwa są już nie możliwe“. To drugie zdanie z dziennika cytuje kanclerz dosłownie i w cudzysłowie. Gdyby w dzienniku stało istotnie tak jak raport zacytował, to jeszcze nie dowodziłoby także niczego. W chwili tak gorącej, kiedy naprężona sytuacja polityczna zmieniała się prawie co godzina, dwa dni stanowiło wielką różnicę, a zapatrywania się kanclerza i następcy tronu, stosownie do nagłych zwrotów ogólnego położenia, mogły być inne w d. 15 Lipca niż były w d. 13 t. m., tak, że to, co następca tronu zanotował pod datą późniejszą, nie zbija wcale tego, co zapisał o dwa dni wcześniej. Ale zachodzi tu coś gorszego: cytata z dziennika jest nierzetelną. Następca tronu nie powiedział wcale, że pokój i ustępstwa są już niemożliwe, tylko pod d. 15 lipca dosłownie zanotował iż się przekonał „że ustępstwo dla miłości pokoju już niemożliwe (ein Nachgeben um des Friedens willen bereits unmöglich). Ustępstwo, ustępstwo dla pokoju jest niemożliwe ale nie sam pokój.

przecież wielka różnica. Mogły Prusy dalsze ustępstwa ze swej strony uważać za niemożliwe, ale to jeszcze nie dowodziło niemożliwości utrzymania pokoju, bo Napoleon mógł się także zrzec żądanych rękojmi, mogła zajść poważna obca interwencya lub inne okoliczności i wybuch wojny mógł być wstrzymany. Zresztą, nie idzie już o takie lub inne rozumowanie, tylko o fakt mylnéj cytaty. Rozumie się, że dla kanclerskiego dowodzenia byłoby wygodniej, gdyby w dzienniku było zapisane tak, jak mu było potrzeba. Żałował zapewne redaktor raportu, że tam stało inaczej i poradził sobie jak mógł, chociaż to wcale nieładnie. Podobnych sztuczek dopuszczają się niekiedy obrońcy albo oskarżyciele pospolici, ale robią to zrzędniej i oględniej, żeby nie popaść w zarzut złą wiary.

Trudno dalej na razie zrozumieć, dla czego kanclerz poruszył inny jeszcze punkt, także pod d. 15 lipca zapisany w dzienniku i nazwał nieprawdą zanotowanie, że król wówczas (to jest jadąc z następcą tronu, ks. Bismarckiem i ministrem Roon'em z Brandenburga do Berlina) nie miał nic istotnego do przytoczenia przeciwko mobilizacyi, i dla czego w raporcie tak obszernie wywodzi, że wtedy król właśnie nie chciał zgodzić się na nią, bo spodziewał się jeszcze utrzymać pokój i że dopiero na dworcu w Berlinie, przeczytawszy mowę Olivier'a, postanowił mobilizację. I tu także twierdzenia raportu nie obalają wiarogodności notatki dziennika, bo przecież mógł król, właśnie na skutek argumentacyi kanclerskich, nie mieć podczas drogi nic do przytoczenia przeciwko uruchomieniu, a jednak nie wyrzec go ostatecznie. Czy owo „nie mienie nic przeciwko mobilizacyi“ wyrażał król milczeniem i brakiem odpowiedzi, jak to zdaje się wynikać z notatki następcy tronu, czy też przeciwnie: oświadczył wyraźnie, że się na ten środek nie zgadza, jak twierdzi kanclerz, na to nie ma żadnego dowodu. Główny świadek Wilhelm I a nawet Roon nie żyją, pozostaje więc tylko uwierzyć na słowo téj ze stron, która przedstawia większe rękojmie prawdomówności. Ale właściwie nie o to chodziło kanclerzowi; inny był cel ostentacyjny a inny ukryty. Zastanowiwszy się albowiem bliżej trzeba przyjąć do wniosku, że cała kunsztowna budowa tego ustępu o mobilizacyi miała głównie na widoku zatarcie ważnej zasługi następcy tronu, jaką wtedy położył, skłoniwszy króla energiczném nastawianiem do uruchomienia całej armii, zamiast jak chciał zrazu, dwóch tylko jej korpusów, o czém jest wzmianka właśnie w tém samym miejscu dziennika. Nie wypadalo jednak wprost temu zaprzeczyć, robi to więc raport ubocznie, nic o téj wzmiance nie wspomina, obchodzi ją w około i wyjaśnia, że król p r o p r i o m o t u zdecydował całkowitą mobilizacją, wtrąca jakby od niechcienia, że już poprzedniego dnia następca tronu zgodził się z kanclerzem na to całkowite uruchomienie, a teraz zawiadomił o tém obecnych oficerów—i wyszło na czysto, że następca tronu był po prostu tylko heroldem tego, co król sam przez się zdecydował i czego ich obudwóch ks. Bismarck nauczył.

Jaki miał cel ks. Bismarck zaprzeczając usilnie temu, aby następca tronu w swym dzienniku mógł napisać, że „ma przecucie, iż po tej wojnie musi nastąpić pauza w rzeziach i krwi przelewie“ — tego trudno odgadnąć, zwłaszcza, że nie mogło być chyba pożądanym dla kanclerza wrażenie, jakie na każdym uczciwym człowieku muszą zrobić wyznania, połączone z tém zaprzeczeniem. Ktokolwiek zna — dziś zna już świat cały — ludzkie i humanitarne usposobienie Fryderyka III, jego zamiłowanie pokoju i nieprzezwyjężony wstęret do okropności wojny, ten bez wahania się uwierzy, że mógł te słowa napisać, że je napisał, a wiary tęg nie podkopie żadne urzędowe zaprzeczenie. Te słowa, wyrażenie takięg nadziei, nietylko odpowiadały zupełnie szlachetnemu charakterowi zmarłego cesarza i tylokrotnie wypowiedzianym na przyszłość zamiarom i projektom zwiastuna pokojowęg ery, ale zapisane w chwili rozpoczynającęg się rzezi na polach Francyi, były naturalnég wylaniem się boleści przyjaciela ludzkości z powodu, że musi brać udział w tęg nowęg hekatombie i pocieszaniem się nadzieją lepszeg przyszłości. Gdyby coś w takim zacnym duchu humanitarnym miał był wygłosić ks. Bismarck, napewno niktby temu nie uwierzył, albowiem wielki organizator wojen i niepokojęw nazbyt pomiata ludźmi, żeby miał żywię podobnie ludzkie nadzieje, i być może dla tego nie chciał dać wiary, żeby je przelał na papier i następcę tronu. Ale każdy uwierzy temu, do czego kanclerz przyznał się w swym raporcie z oburzającą otwartością, że miał przekonanie, iż ta wojna pociągnie za sobą cały szereg wojen przez lat sto, a mimo to uważał ją za konieczną i trzeba dodać: przygotował ją i popchnął do nięg dwa najucywilizowańsze narody. Niema co mówić słiczne sobie wydał świadectwo. Niechże teraz pamięta dobrze Europa i ludzkość, czém ją obdarzył geniusz bismarckowski na wiek cały.

Ks. kanclerzowi zdaje się być nie możliwém, żeby następcę tronu napisał, że mu się udało nareszcie wyjednać udzielenie Żelaznego Krzyża i nie Prusakom, albowiem rzecz miała się wprost przeciwnie, gdyż jeszcze w miesiąc po dacie tęg notatki ks. Bismarck sam musiał go prosić i nalegać na niego wielokrotnie, nawet w imieniu króla, żeby tym orderem zaszczycał i niepruskich wojskowych, — i znowu widzimy, jak ta zasługa następcy tronu względem wojsk południowo-niemieckich przechodzi niechcący na rachunek kanclerza. I w tym razie łatwo było wystąpić z zaprzeczeniem, bo na najpewniejszego świadka — króla nie może już powołać się obżalowany. W tęg więc kwestyi każdy musi sam sobie zdanie wyrobić, opierając się na danych wiadomych. Jeżeli zaś tęg weźmie się na uwagę, z jednęg strony: jak to następcę tronu cieszył się z udziału wojsk tych w bitwach i zwycięztwach, jak uznawał, iż nie można patrzeć na wszystko okiem Prusaka, jak sam czuł się być tylko

Niemcem, jak nie chciał robić różnicy pomiędzy Niemcami państw różnych i jak usilnie się starał, żeby wyższe nawet stanowiska w Alzacy i gdzieindziej były obsadzone i nie-Prusakami, a z drugiej: że przeciwnie, król i ks. Bismarck tchnęli wyłączością pruską, że ten ich partykularyzm ujawniał się na każdym kroku, że te starania następcy tronu u kanclerza były zawsze bezskuteczne, który dziś jeszcze traktuje po macoszemu Niemców południowych, jeżeli nie oblekli się całkowicie w skórę pruską,—jeżeli słowem: porówna się i zestawi z sobą to wszystko, nie będzie trudnym wydanie sądu, który nie może chyba wypaść na korzyść twierdzeń raportu kanclerskiego.

Najsilniej jednak, bo aż gwałtownie i namiętnie, zbija ks. Bismarck największą zasługę następcy tronu, jego udział w utworzeniu cesarstwa, która wyszła na jaw ze starcia pomiędzy nimi, zapisanego szczegółowo w „Dzienniku“ pod datą 16 listopada. Widać tu zaraz, że kanclerz broni własnej, największej sprawy, swój niepodzielny dotąd z nikim wielkości. Ciekawy to sposób prowadzenia samoobrony, gdyż polega na żarliwym, a takiem wystąpieniu w obronie czci i rozumu przeciwnika, żeby mu odjąć jedną i drugi wraz z laurami zasłużonemi. Zarzuciwszy, przedewszystkiem, „Dziennikowi“ błąd chronologiczny, gdyż, jak utrzymuje raport, żywa dyskusya o przyszłości Niemiec i stanowisku cesarza miała miejsce 3-go września, nawet wcześniiej, w Wersalu zaś, 16-go listopada, nie było już o tém mowy, powiada ks. Bismarck z oburzeniem: „Twierdzenie „Dziennika“, jakoby J. K. Wysokość mógł zamyślać o użyciu siły (Gewalt anzuwenden) przeciwko naszym związkowym sprzymierzeńcom i o ewentualnem złamaniu wiernie przez nich dotrzymywanych i krwią ich przypieczętowanych traktatów (Verträge zu brechen)—jest potwarzą względem świętej pamięci cesarza. Tego rodzaju myśli zarówno ze stanowiska poczucia honoru jak i polityki niegodne, mogły w otoczeniu J. K. Wysokości mieć przedstawicieli, ale były za nieuczciwe żeby w jego sercu, i za niezręczne żeby w jego politycznym rozumie, odgłos znalazły“. Bardzo to piękne i z mocą powiedziane, tylko idzie o drobnostkę: gdzie to ks. kanclerz wyczytał w „Dzienniku“, że następcę tronu chciał użyć siły, gwałtu, i zamyślał o zerwaniu traktatów? Tego tam niema nigdzie, a w rozmowie z 16 listopada, kiedy kanclerz zapytał następcę tronu, czy ma państwu południowo-niemieckim pogrozić (dass man drohe)? otrzymał tylko odpowiedź: „owszem: wystąpmy mocno i rozkazująco (treten wir fest und gebietend auf) i zaraz o kilka wierszy dalej, jakby zapobiegając mylnemu tych słów tłómaczeniu, dodał jeszcze wyrażnie, że nie potrzeba używać siły (nicht nöthig Gewalt zu brauchen), albowiem, nic łatwiejszego jak przez obecnych w Wersalu księżąt ogłosić cesarza a nawet uchwalić konstytucyą, i to by-

I a b y p r e s s y a (eine Pression), którój nie mogliby się oprzeć“. To przecie wyraźne i jasne, gdzież tu więc zamysł zmuszenia siłą i złamania traktatów? Takich intencji podsuwać nie wolno za pomocą nicowania autentycznych wyrazów i naciąganego ich tłómaczenia, bo właśnie tego rodzaju podstępne insynuacje dla wprowadzenia w błąd historyi, są niegodne poważnego, urzędowego dokumentu, w którym miejsce znalazły.

Ale to dopiero faktyczna strona tój części raportu: pójdźmy teraz do jej strony moralnej. Gdyby z góry była niezbita pewność, że „Dziennik“ jest sfałszowany, gdyby sąd już uznał go za taki, gdyby wreszcie ks. kanclerz przedstawił publicznie dowody niewątpliwe tego fałszu, nie razilyby może te wszystkie myśli niezręczne, niegodziwe, nieuczciwe, jakimi obdarza autora pamiętników, jako ich fałszerza. Nie miał przecież z nikąd takiej pewności, bo gdyby ją miał, gdyby naprzykład posiadał przyznanie się winowajcy do fałszu lub prawdziwy autograf dziennika, mogący przez porównanie zadać kłam publikacji p. Geffcken'a, byłby się na to odrazu powołał i sprawę wygrał. Mimo to, nie mając żadnej pewności, żadnych tój wagi dowodów, występuje z zarzutem fałszu i swoje to wystąpienie opiera jedynie na prostém zaprzeczaniu, na przeinaczaniu wyrazów i na bardzo ryzykowném, obelżywém, a gołosłowném rozumowaniu. Tak postępując, czyliż nie mógł przypuszczać, co stało się rzeczywiście, że sąd nie uzna fałszu, nie skarże p. Geffcken'a nawet za niedyskrecyą, i że opinia publiczna uwierzy stanowczo w autentyczność ogłoszonego „Dziennika“? Zbyt przezornym jest ks. kanclerz, żeby tego nie przewidywał, a zatem żeby nie przewidywał i tój ewentualności, że te wszystkie jego zniewagi mogą spaść, jak też i spadły, na głowę Fryderyka III. Rozumie się, że byłoby stokroć gorzej, gdyby wiedział, że maltretowana przez niego publikacja jest rzetelną i autentyczną. I to ma być obroną czci zmarłego cesarza?! Słusznie raport nazywa potwarczem i te „myśli niegodne i nieuczciwe“, wyprowadzone z fałszywego założenia, opartego na nierzetelnej cytacie i przypisane autorowi „Dziennika“. Teraz można zapytać: kto jest winnym tój potwarzy i do kogo właściwie stosuje się art. 189 kodeksu karnego o znieważeniu pamięci zmarłych, powołany w raporcie kanclerskim? Obrażona miłość własna ks. Bismarcka uniosła go tak daleko, że zapomniał o swych arcymonarchicznych przekonaniach i o szacunku, przynależnym cesarzowi, o którym mówił i cesarzowi, do którego przemawiał; o koniecznej w najzwyczajniejszych nawet stosunkach oględności, gdy się mówi do syna o jego ojcu, a cóż dopiero, gdy się to światu ogłasza w dokumencie tak wielkiej wagi, przechodzącym na własność historyi. Ale ponad wszystko chodziło o odjęcie następcy tronu należnego mu udziału w zasłudze, którą legenda przypisała wyłącznie ks. kanclerzowi: trzeba więc było za jaką bądź cenę owe

energiczne wystąpienie w Wersalu przyszłego Fryderyka III-go,—które, być może, zdecydowało o losie cesarstwa—przedstawić w tak złém świetle, tak je oszpecić i obrzydzić, żeby już nikt nie chciał w nie wierzyć, chociażby się nie udało zrobić Dziennika apokryfem.

Pomijamy inne szczegóły, jak pominęliśmy w uwagach nad dziennikiem cesarza niektóre ich ustępy, także inkryminowane, żeby ich zbyt często nie powtarzać, tém bardziej, że spotkamy się jeszcze z ich obszerniejszym rozbiorem w akcie oskarżenia, a przejdziemy do korony tego kanclerskiego dzieła, i dla tego, zapewne zamieszczonęj na czele raportu.

Dziwić się należy, że ks. Bismarck, po tém, co zaraz z góry wypowiedział, trudził się jeszcze rozbiorem i zbijaniem różnych szczegółów Dziennika. Jeżeli ktoś zada przeciwnikom odrazu cios śmiertelny, to następne powierzchowne uderzenia stają się już tylko bezpożytecznym okrucieństwem; chyba, że sam niedowierza skuteczności takiego ciosu, zwłaszcza gdy idzie o zadanie śmierci moralnój. Czyliż bowiem, w przekonaniu wszystkich, nie jest takim zamierzonym ciosem śmiertelnym dla czci i pamięci Fryderyka III to odkrycie przed światem, że następca tronu pozostawał w r. 1870 po za obrębem politycznych negocyacji, gdyż kanclerz nie miał pozwolenia królewskiego do mówienia z nim o tajnych kwestiach polityki pruskiej, dla tego, że król obawiał się niedyskrecyi dworu angielskiego, przepełnionego wówczas sympatjami dla Francyi? Pomimo dyplomatycznego omówienia tej rewelacyi wszyscy zrozumieli, jak zabójczym jadem był zatruty pocisk, rzucony przez nią w następcę tronu. Już kiedy zabijać, to na śmierć: wszak wiemy jak ks. Bismarck lubi „saigner à blanc“. Więc król i ojciec tak dalece niedowierzał synowi, że musiał trzymać go z daleka od spraw państwa i ukrywać przed nim tajemnice stanu, żeby ich nie wydał Anglikom, a ci, naturalnie, Francuzom, z którymi właśnie prowadzono wojnę. Więc zwycięzca z pod Königgrätz, Wörth i Wissenburg'a, bohater uwieńczony w dwóch narodowych wojnach, prawdziwy humanista i człowiek przejęty najszlachetniejszymi ideami, książe najbardziej lubiany, szanowany i najpopularniejszy z całej rodziny królewskiej, podnoszący do wysokości kultu ideę jedności niemieckiej i cesarstwa i niemal fanatycznie jęj poświęcony, dziedzic korony i przyszły cesarz, uważany był za zdolnego do popełnienia zdrady stanu, jaka zwykle, zwłaszcza w czasie wojny, bywa śmiercią karana. A przecież wszystko to, nie używając właściwych nazw i wyrazów, wypowiedział raport kanclerski w tym okrągłym frazesie. Jestto mistrzowska sugestya myśli, która ks. Bismarckowi robi sławę znakomitego hypnotyzera. Cel tego odkrycia widoczny: następca tronu, będąc trzymany z daleka od tajnych spraw politycznych, mógł być o niektórych rzeczach mylnie lub niedokładnie informowany, i dla tego, oczywiście, mógł wiele rzeczy mylnie popisać w swoim dzienniku, a co gorsza, konieczny i szkodliwy jeszcze

wniosek, że przecież nie można wierzyć temu, co pisał człowiek, nie zasługujący na zaufanie i podejrzany o zdolność dopuszczenia się tak ciężkiego kryminału. Ale nie idąc nawet tak daleko,— chociaż raport kanclerski do wszelkich w tym rodzaju wniosków upoważnia—gdyby następca tronu, bezpośredni o albo przez żonę, chociażby tylko z nieoględności i przez lekkomyślność, mógł być zdradzić tajemnice stanu swojego państwa przed dworem angielskim, wiedząc przecież, iż z tamąd może się dostać do Francji, byłaby to również zdrada stanu, tylko z okolicznościami łagodzącymi, a podsunięte podejrzenie, iż mógłby być chociaż w ten sposób zawinić, było nie mniej zabójczym ciosem moralnym dla księcia takiego stanowiska. Ubierając te rewelacye w formę na pozór dyskretną, zrobiono ją przecież tak elastyczną, że ona nadaje się do różnych wniosków i przypuszczeń, od bardzo złych do najgorszych, i to właśnie powiększa szpetność tej całej insynuacyi.

Ale raport przeciągnął strunę: pękła więc i pocisk nie doszedł celu. Skutek zamierzony nie nastąpił, gdyż opinia publiczna zaraz zrozumiała intencye tych pseudo-odkryć i w najszkodliwsze z nich nie uwierzyła; to zaś, co było w nich prawdopodobnym, że następca tronu był usuwany od spraw państwa, przyjęła do wiadomości z żalem i wstrętem. Raport wywołał oburzenie, tylko nie przeciw obżałowanemu nieboszczykowi, a nadto, sam z siebie dał powód do różnych powątpiewań: czy istotnie król nie ufał synowi? czy rzeczywiście zakazał kanclerzowi mówić z nim o tajnych sprawach politycznych? gdzie dowód, że następca tronu mógł być zdradzić się z niemi przed Anglią? Kanclerz twierdzi, że nie ufał, to przecież nie wystarczy, gdyż proste i niczém nie wsparte twierdzenie oskarżyciela nie jest żadnym dla sądu dowodem. Wprawdzie, po wojnie z Francją zaczęły, pod jakimś fatalnym wpływem, obojętnieć stosunki między ojcem a synem, ale właśnie podczas tej wojny, w 1870 r., były zupełnie dobre, nawet serdeczne, jak to widać z wielu ustępów „Dziennika“, nie kwestyonowanych przez kanclerza, i nigdzie, oprócz także gołosłownych w prasie gadzinowej oskarżeń, nie można znaleźć wiarogodnego świadectwa tej nieufności. Dalej ks. Bismarck wcale nawet nie twierdzi, żeby mu król zakazał mówić z następcą tronu o tajemnicach stanu, tylko bardzo ostrożnie nadmiernia, że nie posiadał do tego upoważnienia, a to przecież nie wszystko jedno. I tu zaraz nasuwa się pytanie: czy takie upoważnienie było potrzebne, czy kanclerz żądał go i czy mu król odmówił? Stanowisko księcia jako następcy tronu, jego wiek zupełnie dojrzały, rozum, zasługi i charakter obowiązywały kanclerza, żeby przed nim nie robił sekretów, jako przed tym, którego, zwłaszcza przy bardzo podeszłym wieku króla, najbardziej obchodziły wszystkie a tém więcej najważniejsze sprawy państwa, i z któ-

remi należało koniecznie obznajmiać go zawczasu: wątpić przeto należy czy do mówienia z nim o nich potrzebował osobnego upoważnienia. Wypływało to z natury rzeczy i chyba tylko zakaz musiałby być wyraźny, ale o nim nie ma i wzminki. Wiemy przecież, że kanclerz nie był zgoła tak skrupulatnym, że był zazdrosnym o siebie, lubił działać sam i otaczać się tajemnicą, nawet przed królem, skoro swoje machinacje, prowadzące do wojny z Austryą, tak długo przed nim ukrywał. Pomijał więc następcę tronu na własną odpowiedzialność i nie mógł być do tego upoważniony, skoro król zdumiał się i nie chciał wierzyć, gdy mu następcą tronu oznajmił, że go nie zawiadomiono wcale o układach o pokój z Francją w Wersalu. Czyżby król następcę tronu, a ojciec syna miał poprostu tylko mistyfikować? W tym razie, jak i w powyższej kwestyi co do nieufności, można powołać się na „Dziennik“, kiedy i sam raport, gdy mu z tém wygodniej, powołuje się na jego świadectwo i przyznaje mu wiary. Istotnie, z tym raportem kanclerskim nie wiedzieć czego się trzymać: raz uważa on „Dziennik“ za sfałszowany, drugi raz przypuszcza, że może być autentyczny, to wreszcie niektóre tylko jego części poczytuje za podrobione; to mu zaprzecza, to sam powołuje się na niego, słowem podano w tym raporcie uprzejmie wszystko, co kto lubi, byle tylko chciał uwierzyć, że „Dziennik“ kłamie, bez względu na to, kto go napisał. Jest w tém jakieś zagmatwanie, dziwna mieszanina kontrastów, z jakimi spotyka się zwykle tylko przy obronach złej sprawy. Raport nie dowiódł wcale, żeby król istotnie niedowierzał synowi i zabronił mówienia z nim o tajemnicach stanu, a jeżeli następcą tronu był usuwany od spraw państwa, to ten rezultat i jego przyczyny muszą być zapisane na wyłączne dobro kanclerza i jego nadzwyczajnego wpływu na króla, którym, to jest królem, umiał się zawsze, jak i w tym razie, zręcznie zasłaniać. Gdzie narzecie dowód i z czego raport kanclerski wywnioskował, że następcą tronu był zdolnym zdradzić się z tajemnicami stanu przed dworem angielskim? Czy dla tego, że miał za żonę królową angielską, że szanował liberalne instytucje Anglii i pragnął ich dla własnego kraju, że marzył kiedyś, w odległej przyszłości, jak to zanotował w swym „Dzienniku“, o ścisłém z nią przymierzu Niemiec, słowem, że sympatyzował z Wielką Brytanią? Więc z powodu tych sympatii miał być podejrzanym o możliwość popełnienia zdrady stanu, z której Anglia nie odniosłaby korzyści, a mogłaby skorzystać tylko Francya, z którą toczył bój olbrzymi o jedność Niemiec i cesarstwo, których tak pragnął. Taka insynuacja, gdybyjéj wypublikowanie nie było wyraźnie tendencyjnym, byłaby wprost nedorzeczną, chociaż i tak tego charakteru nic traci. Wszakże tyle interesów się krzyżuje, tyle wojen toczy między państwami, których monarchowie połączeni są bliskimi związkami pokrewieństwa, a czyż wolno — podejrzewać ich o wydawanie przed przeciwnikiem tajemnic, a tém bardziej coś podobnego ogłaszać? Wszakże sam ks. kan-

clerz, w czasie tej wojny z Francją sympatyzował nadzwyczajnie i manifestacyjnie z Rosyją, wszakże dziś związany jest nadzwyczaj ściśłem przymierzem z Austryją, a czyliż godziłoby się podejrzyc go o możność wydania się przed niemi z sekretem, szkodliwym dla Niemiec? Coby też ks. Bismarck powiedział, gdyby komuś, takiego jak on stanowiska, przyszło to do głowy i gdyby o tém w urzędowym dokumencie napisał i takowy ogłosił? Czyżby tego ks. kanclerz nie uznał za potwarz najczarniejszą? Z takim ogniem igrać nie wolno, bo można się bardzo przypalić.

Machiavelli wygłosił kiedyś zasadę, że w polityce błąd jest gorszym od zbrodni: brzydka to zasada, ale ma licznych wyznawców w sferach, do jakich ks. kanclerz należy. Otóż, możnaby się zapytać: czy wszystkie te skandaliczne rewelacye raportu były istotnie potrzebne dla dowiedzenia, że to, co autor „Dziennika“ napisał, jest nieprawdą? Zdaje się, że chyba nie wszystko było konieczne. Rzeczywisty punkt ciężkości tego dowodzenia leży w tém, że następcą tronu był po za sferą spraw państwa, że więc nie miał o nich autentycznych wiadomości, mógł być tylko błędnie i niedokładnie informowany, i dla tego pozostawił w swym „Dzienniku“ niedokładności i błędy; które pozbawiają go wiary. Ta część odkryć wystarczała; była ona bolesną, ale jeszcze nie drażniła do żywego. Byłoby to tak samo, jak i jest w raporcie, tylko gołosłowne twierdzenie, ale dałoby się łatwiej wmówić w opinię publiczną, bo nie zachodziło za daleko. Dalsza, w najwyższym stopniu skandaliczna rewelacya o nieufności ojca do syna i o możliwości wydania tajemnic stanu, była już całkiem zbyteczną. Motywami tamtych, ich dowodem nie jest i być nie może, gdyż sama jest także tylko gołosłownym twierdzeniem oskarżyciela, zarówno niczem nie uzasadnioném: jedyny możliwy świadek, cesarz Wilhelm I nie żyje, a Wilhelm II był wtedy trzynastoletnim dzieckiem, nie mógł więc o tak drażliwym przedmiocie nic wiedzieć, ani mieć o nim własnego zdania. Nietylko zatem rewelacya ta głównego założenia nie wsparła, ale je osłabiła. osłabiła tamte odkrycie, bo swoją szpetnością wywołała oburzenie powszechne, niewiarę do wszystkiego, co utrzymywał raport, i stała się, jak powiedzieliśmy, tym przesadzonym ładunkiem, który rozerwał broń tak zjadliwą i zamach na pamiętniki udaremnił. Nie dowiódł więc raport i nie wmówił niczego, bo chciał dowieść i wmówić za wiele. Jeżeli nareszcie, odkrycia „Dziennika“ miały zaszkodzić interesom państwa, to kwestya, czy odkrycia raportu kanclerskiego nie zaszkodziły im więcej? Bardzo wiele z tych wiadomości i szczegółów, zamieszczonych w pamiętniku bez widocznego celu, a które kanclerz za szkodliwe odkrycia uważa, były już dawno ogółowi znane, i chociażby dla tego, jak zobaczymy przy akcji oskarżenia, nie miały przez co zaszkodzić.

Inaczej zupełnie wyglądają nowe i dotychczas niaznane odkrycia w raporcie, porobione świadomie i umyślnie, przez które najwier-

niejszy, jak się mianuje, sługa Hohenzollernów, odsłania tajemnice rodzinne domu cesarskiego, które przecież nie podwyższają uroku i nie podnoszą dynastycznej powagi. A wszystko to robi się pod tytułem obrony czci Fryderyka III-go, dla wykrycia i ukarania winowajców potwarczych publikacji! Leczyć złe domniemane, i leczyć bezskutecznie złém jeszcze gorszém—dziwna to, zaprawdę, medycyna polityczna. Taką kurację potępiła już terazniejszość i, rzecz ciekawa, coby téż powiedziała przyszła opinia publiczna i historia, gdyby się kiedyś znalazł jaki niemiecki humorysta i przetrwestował przedostatni ustęp raportu kanclerskiego w taki, mniej więcej, sposób: „W interesie obodwóch zmarłych poprzedników i samej W. C. Mości leży, aby nigdy nie był ujrzał światła dziennego ten raport obelżywy, gdyż pomięć zmarłych monarchów Wilhelma i Fryderyka zbyt drogim jest skarbem dla narodu i dynastji, i należy jego strzedz od skalania przez przedstawianie i publikacją takich *Immediatbericht*ów, mających na celu zemszczenie się za obrażoną miłość własną i nasycenie zastarzałej nienawiści, a zwracających się w pierwszej linii przeciwko cesarzowi Fryderykowi“.

VIII.

Tymczasem sprawa kryminalna przeciwko p. Geffcken'owi o zdradę stanu potoczyła się właściwą koleją, w warunkach bardzo dla niego niedobrych. „Dziennik“ Fryderyka III był istotnie sam z siebie interesujący i ciekawy; ale właściwie dopiero raport kanclerski nadzwyczajnie podniósł jego znaczenie, wytworzywszy z niego wiele kwestji stanu, wysokiej polityki i pokładłszy kropkę nad *i* tam gdzie jej brakowało albo gdzie nawet trudno było dopatrzeć się i samej litery. Dobrze wytresowana prasa kanclerska wysławiała ten raport, powiększała ważność przestępstwa publikacji albo sfalszowania „Dziennika“ i szkodliwość tych czynów dla państwa, a tém samém i stopień karygodności obwinionego. Sąd, a właściwie urząd prokuratorski i organy policyjno-sądowe rozwijały wielką energią, szczególnie pod względem rewizji domowych, zabierania papierów, korespondencji prywatnych i. t. p.; z ukończeniem jednak sprawy, pomimo że obżalowany był uwięziony, nie spieszo się bardzo. Po wyrokach, wydanych na hr. Arnima, na J. I. Kraszewskiego i w tylu innych sprawach podobnych, gdzie wchodziły w grę będące zawsze na zawołanie racya stanu albo osobistość ks. Bismarcka, co zresztą w Niemczech uchodzi niemal za jedno, a przy dotychczasowej uległości sądów na jego skinienie, zdawało się, że p. Geffcken ciężko odpokutuje za swoją śmiałość i niespodziankę, zrobioną dla historii. Sądy bywały dotąd tak posłuszne, ks. kanclerz tak oburzony, jego raport tak piorunujący, tak usilnie domagał się ukarania, że mimowolnie przypominało się znane z roczników kryminalistyki zakwa-

lifikowanie pod sąd wojenny ks. Joachima Murata przez Ferdynanda neapolitańskiego w sposób lakoniczny, ale dosadny: „Jeneral Murat ma być stawiony przed sądem wojennym: skazanemu zostawić dwie godziny czasu dla przyjęcia religijnej pociechy“. Rozumie się, że o tak krwawym wyroku nie mogło być mowy, ale nacisk raportu kanclerskiego, powołanie w nim tylu przestępnych alternatyw i groźnych artykułów kodeksu, spotęgowany upoważnieniem cesarskiem, nakazującym dochodzenie kryminalne, kazał przewidywać, że p. Geffcken nie ujdzie surowej kary. Tymczasem po trzechmiesięcznym śledztwie i więzieniu obwinionego, zapadł w najwyższym Sądzie Państwa następujący w tej sprawie wyrok, a właściwie:

Konkluzya (Beschluss).

„W sprawie karnej przeciwko tajnemu radcy sprawiedliwości b. profesorowi, dr. pr. Fryderykowi-Henrykowi Geffcken'owi z Hamburga, o zdradę kraju, wytoczonej na wniosek nadprokuratora państwa,

Pierwszy departament kryminalny Trybunału Państwa na posiedzeniu nie-publicznem z dnia 4 stycznia 1888 r., zważywszy:

Ze wprawdzie na podstawie pierwiastkowego śledztwa, osiągnięte zostały dostateczne poszlaki, że obwiniony Geffcken, we wrześniu 1888 r., za pośrednictwem wychodzącego w Berlinie czasopisma „Deutsche Rundschau“, zeszyt 1 październik, r. 1888, mianowicie w artykule zatytułowanym: „Z Dziennika cesarza Fryderyka 1870—71“: w ustępach, aktem oskarżenia nadprokuratora państwa pod I. 1 do 15; II. 1 do 2; III. 1 do 2; IV. 1 do 2; V. VI. 1 do 3 wytkniętych — ogłosił wiadomości, których zachowania w tajemnicy przed innymi rządami wymagało dobro państwa niemieckiego;

Ze jednak nie ma dostatecznych zasad do uznania, ażeby tenże Geffcken miał przeświadczenie (Bewusstsein), iż rzeczony artykuł zawiera w sobie tego rodzaju wiadomości, postanowił:

1. Obwinionego Geffcken'a w zarzucie zdrady kraju (Art. 92 Nr. 1 kodeksu kryminalnego) od odpowiedzialności uwolnić (auser Vervolgung zu setzen),

2. Obwinionego z więzienia wypuścić.

3. Koszta postępowania sądowego na kasę państwa włożyć.

Lipsk 4. stycznia 1889 r.

Sąd Państwa, Pierwszy Senat Kryminalny.

Dr. Wernz. von Gess“

Wyrok ten był: dla wszystkich rzeczywistą niespodzianką, dla sądów niemieckich rehabilitacją w opinii publicznej, dla obwinionego wygraną, dla pamięci cesarza Fryderyka tryumfem, a dla wystąpienia ks. Bismarcka zupełnym *fiasco*. Groźny *Immediatbericht* kanclerski, reskrypt cesarski, nakazujący dochodzenie krymi-

nalne i oto aż o zbrodnię stanu, alarmujące wrzaski prasy gadzino-
wój, śledztwo przeprowadzone z wcale nie konstytucyjnym naciskiem,
słowem, głośny na całą Europę proces polityczny, w którym wyto-
czono przeciwko obwinianym aparaty najcięższego kalibru, mające
zmiażdżyć p. Geffcken'a i zaćmić cześć zmarłego monarchy, wyszedł
na horacyuszowskie *Parturunt montes*... zrodził mysz dla ks.
Bismarcka i przypomniał bajkę J. X. biskupa warmińskiego, zakoń-
czoną sensem moralnym: „gdzie nadto przygotowań, tam nic z dya-
logu“.

Tym razem najwyższy trybunał państwowy w Lipsku otrząsnął
się ze zwykłej powolności sądów prusko-niemieckich w sprawach,
gdzie kanclerska racya stanu była stroną interesowaną, nie na tyle
przecież, ażeby motywa jego wyroku nie dawały powodu do żadnych
już nad nim uwag i nie obudzały chociaż odległych reminiscencyi
przysłowia o wykręceniu się sianem. Sąd lipski nie mógł i nie chciał
ukarać p. Geffcken'a, wydał więc na niego wyrok uniewinniający,
który ogólnym oklaskiem przyjęła niezależna opinia publiczna; nie
miał jednak dość cywilnej odwagi ażeby nieosłodzić tej gorzkiej dla
ks. Bismarcka pigułki i nie powiedzieć, że ogłoszone przez obwinio-
nego wiadomości należało zachować w tajemnicy dla dobra państwa.
Ta *fiche de consolation* była wprawdzie niczém w obec
kłęski, jaką poniósł kanclerz przez główne i rzeczywiste rezultaty tej
sprawy i wyroku, i wynagradzała mu zaledwie kosztą procesu, na
jakie skarb państwa naraził, zawsze przecież przez takie orzeczenie
trybunał państwowy postawił się w tém położeniu, że musiał szukać
motywów do uwolnienia obwinionego tam, z kąd ich—przy względzie
na naturę sprawy i osobistość p. Geffcken'a, najmniej można się było
spodziewać. Więc doktor praw, profesor prawa państwowego, poseł
i rezydent polityczny, mąż stanu i dyplomata, autor wielkich mani-
festów cesarskich i głęboko pomyślanych memorandów w przedmio-
cie najważniejszych zadań państwa, ogłaszając dziennik cesarza Fry-
deryka, niewiedział co czyni i został uwolniony od kary dla tego tyl-
ko, że nie miał przeświadczenia, ażeby rzeczony Dziennik zawierał
w sobie tego rodzaju wiadomość! Istotnie trudno się pogodzić z tém
zrępszczeniem prawném; trudno przyjąć, ażeby p. Geffcken mógł
nie wiedzieć, czy jego publikacya mieści w sobie lub nie mieści wia-
domości, które dla dobra państwa nie powinny być ogłaszane. Za-
sadniiej możnaby zgodzić się na to, że obwiniony miał zupełne prze-
świadczenie, iż wybrane przez niego wyjątki z Pamiętnika w niczém
państwu niemieckiemu nie zaszkodzą i dla tego śmiało ogłoszone być
mogą; czy miał także przekonanie że podobają się i nie zaszkodzą ks.
kanclerzowi — to inna kwestya... Cokolwiek zresztą, dałoby się
powiedzieć tém motywum wyroku, stało się ono przecież jedynym
środkiem wyjścia z błędnego koła, jak tylko sąd przez uprzejmą kon-
cesyę dla ks. kanclerza zamknął sobie drogę do innych, racjonal-
niejszych i pewniejszych zasad uwolnienia. W każdym razie nie

zmniejsza to doniosłości samego wyroku, którego główny punkt ciężkości leży w czem inném, tylko rehabilitacya niepodległej sprawiedliwości sądów niemieckich byłaby zupełniejszą, gdyby trybunał lipski zechciał być uniknąć tego kompromisu przekonań.

„Piękny dyalog”, jaki ks. kanclerz, na wzór „majstra jezuitów” Krasickiego, chciał Niemcom na swój beneficjusz wyprawić — najzupełniej się, jak powiedzieliśmy, nie udał. Przygotowana z taką paradą i takim kosztem moralnym maczuga *Immediatberichtu* pękła i strzaskała się na samym „prog” sprawiedliwości, gdyż sąd państwowy nie dopuścił procesu nawet do Rozprawy Głównej i przez prostą decyzją oskarżenie oddalił. Sama już ta forma załatwienia sprawy przekonywa o bezzasadności jej wytoczenia, a krótkie to postanowienie sądowe, dotyczące formalnie jednej tylko osoby, przez zupełne jej uwolnienie od odpowiedzialności przesądza zarazem wiele kwestyi pierwszorzędnych, i bogate jest w wielkiej doniosłości następstwa. Żadne z dowodzeń, wniosków i żądań osławionego raportu kanclerskiego nie zostało śledztwem uzasadnione, a przeciwnie, bliższe i dalsze wyniki dochodzenia sądowego i wyroku zwróciły się przeciwko ks. Bismarckowi i przekonały właśnie o tém czego sobie wcale nie życzył. Najgłówniejszy zarzut, że ogłoszony w „*Deutsche Rundschau*” dziennik cesarza jest sfałszowany, okazał się płonnym, gdyż skrupulatnie przeprowadzone śledztwo wykazało, że jest najzupełniej autentycznym: runęło więc całe kunsztowne rusztowanie wywodów kanclerskich, oparte na tém pierwszym przypuszczeniu. Drugie z kolei przypuszczenie, że jeżeli nie cały dziennik to przynajmniej niektóre jego ustępy, mianowicie, rozumie się, te, które najbardziej kanclerzowi zawadzały, zostały podrobione, — uległo temu samemu, tak zasłużonemu losowi. Trzecia nareszcie alternatywa, że autor cesarski, nie mając udziału w sprawach państwa, mógł o nich być mylnie informowany, i skutkiem tego błędne wiadomości w swym dzienniku pozamieszczać, ta alternatywa skandaliczna, dla usprawiedliwienia której nie cofnął się raport kanclerski nawet przed insynuacyami, stawiającemi zmarłego monarchę w rzędzie *Reichsfeindów*, zdolnych popełnić zdradę stanu, — okazała się wprost niegodną rozbioru sądowego i śledztwa, w którym zresztą po zgonie cesarza Wilhelma I, przyszłoby chyba badać w charakterze wiarogodnego świadka już tylko głównego oskarżyciela i jeden skandal popierać drugim skandalem. Ks. Bismarck spodziewał się wykrycia i ukarania wielu winowajców i zgniecenia tym sposobem odrazu wielu przyjaciół szlachetnego Fryderyka III: sąd uznał tylko jednego obwinionego w osobie p. Geffcken'a, ale i tego od wszelkiej odpowiedzialności uwolnił. Po ogłoszeniu wyroku, wszystkie przeciwne polityce ks. kanclerza stronnictwa, które mniej lub więcej pomyślnie walczyły z nim na gruncie pamiętników i *Immediatberichtu*, wydały jeden okrzyk tryumfu, a prasa zagraniczna, mianowicie angielska, widziała w tym wyroku słuszny odwet za prze-

śladowania, jakich ofiarą był Fryderyk III za życia. W oczach wszystkich wyznawców humanitarnych zasad zmarłego, otaczająca jego pamięć aureola zajaśniała silniejszym blaskiem z pośród czernideł kanclerskiego raportu, które musiały odpaść w następstwie orzeczenia sądowego. Wyrok najwyższego trybunału Niemiec, w tej sprawie wydany, stwierdził jakby wielką urzędową pieczęcią autentyczność pamiętników i wszystkiemu, co w nich ukoronowany męczennik zapisał, nadał cechę wiary publicznej, nie przyznawszy słuszności żadnemu z poczynionych im zarzutów. Wielka zasługa następcy tronu w utworzeniu cesarstwa niemieckiego, wykryta przez ogłoszenie jego dziennika i zredukowanie do skromniejszych rozmiarów legendy bismarckowskiej, podług której miało ono być wyłącznym dziełem kanclerza, — stały się prawdą historyczną. Osławiony raport kanclerski pozostał bezsilnym narzędziem zemsty, na którego czele widnieje niczém już nie zatarta i nawet powodzeniem nieokupiona plama w postaci obelżywój dla Fryderyka III *quasi* rewelacji. Moralna, a po części i polityczna porażka ks. Bismarcka stała się więc w tej sprawie zupełna, a była tém dotkliwszą, że w tej grze hazardownej stawił na kartę zbyt wiele względów etycznych i wciągnął do niej zbyt wysoko stojące osoby, nie policzywszy się z sumieniem publiczném, które w tej walce zwyciężyło. Ale przegrywając sprawę z p. Geffcken'em, przegrał ks. Bismarck daleko więcej: przegrał on w tej trzeciej i ostatniej, pośmiertnej instancyi swój ćwierćwiekowy proces z Fryderykiem szlachetnym.

Nie byłby przecież wszechwładny kanclerz samym sobą, gdyby na tym wyroku poprzestał i uszanował wymiar sprawiedliwości, który nie odpowiadał jego widokom. Obrażona pycha i miłość własna wzburzyły gniew niemieckiego Jowisza i jako zwykle źli doradcy, zwłaszcza dla męża stanu, nie pozwoliły mu zachować moralnej i umysłowój równowagi. Drogi legalnej do obalenia tego wyroku już nie stało: trzeba więc było, bez względu na przepisy prawa, uciec się do środków nadzwyczajnych, ażeby osłabić jego wpływ na opinię publiczną i podkopać jego moralną doniosłość. Sprawiedliwość okazała się tym razem nie uległą żelaznej woli kanclerza: zasłużyła więc żeby ją publicznie za to ukarać. Zbyt już daleko zabrnął on z tą sprawą, zbyt ciężkiej doznał porażki, a z drugiej znów strony, zbyt mu się dotąd wszystko udawało, żeby nie miał raz jeszcze spróbować szczęścia, w sposób ryzykowny i zuchwały. Przedewszystkiem więc prasa gadzinowa, a na jój czele usłużna zawsze *Post*, rzuciła się na wyrok najwyższego trybunału państwa, krytykując go surowo i zarzucając mu małoduszność i brak godności. Nie ma co mówić: piękny to systemat rządowy, pod którym wyroki sądów mogą być w ten sposób szykanowane, i gdzie godność sądownictwa miałaby polegać na służalczej uległości choćby dla takiego jak ks. Bismarck potentata. Dalej zaraz otrzymał dymisyą minister sprawiedliwości Friedberg, który nie chciał czy nie umiał nagiąć sądu lipskiego do

uległości. Upadek tego zaufanego przyjaciela Fryderyka III był także jednym dowodem więcej bezwzględności, z jaką ks. Bismarck łamie i zaciera wszystko co pozostało po ukoronowanym humaniście. Ten samlos zagroził i p. Simson'owi prezesowi tego właśnie sądu państwa, który wydał ów wyrok nienawistny. Wreszcie, jednocześnie z podaniem do wiadomości publicznej samego wyroku, zdumione zostały Niemcy i Europa ogłoszeniem w *Reichsanzeiger* ze całego aktu oskarżenia w sprawie przeciwko p. Geffcken'owi i dwóch, usprawiedliwiających ten nadzwyczajny sposób postępowania. urzędowych dokumentów, które tu zamieszczamy:

Raport kanclerza państwa złożony Jego Cesarskiej Mości.

„Berlin 13 stycznia 1889 r.

Powołując się na mój najpokorniejszy raport (*Immediatbericht*) z dnia 23 września r. z., mam zaszczyt najpoddanniej przedstawić W. C. Mości decyzję trybunału państwa, zapadłą d. 4 stycznia r. b. w sprawie tajnego radcy sprawiedliwości dr. Geffcken'a. Podług tej decyzji sąd uznał, że na podstawie pierwiastkowego śledztwa osiągnięte zostały dostateczne poszlaki, że obwiniony przez swoją publikacją w „*Deutsche Rundschau*”, ogłosił wiadomości, których zachowanie w sekrecie wymagało dobro państwa niemieckiego. Obwiniony został jednak uwolniony od odpowiedzialności, ponieważ, podług zapatrywania się sądu, nie było dostatecznych zasad do uznania, że działał z przeświadczeniem o karygodności swojego postąpienia. Najpoddanniejszy mój raport z 23 września r. z. spowodowany był tą okolicznością, że ogłoszenie dziennika ś. p. cesarza Fryderyka, którego sprawca nie był jeszcze wówczas wiadomy, posłużyło dla znacznej części prasy krajowej i zagranicznej do takich przekręceń, w skutek których wzrosła widocznie szkodliwość tej niebaczonej publikacji dla państwa i królewskiego domu. Analogiczne przekręcanie faktów i sądowego postępowania oraz zasad jego rozwinięcia i umorzenia w tej sprawie ma miejsce i teraz w antypaństwowej prasie krajowej i zagranicznej dla rzucenia podejrzeń na godność i bezstronność tych władz cesarskich, do których w państwie wymiar sprawiedliwości należy. Ma ono na celu przedstawienie postępowania urzędu prokuratorskiego i sądu państwa w świetle stronniczego i tendencyjnego prześladowania. Z tego powodu stało się potrzebą sądownictwa W. C. Mości, ażeby dać możność rządowi związkowemu i opinii publicznej członków rzeszy wyrobienia sobie w ł a s n e g o i nie sfalszowanego przez prasę antypaństwową sądu o tym postępowaniu. Dojść do tego można tą tylko drogą. jeżeli cały materiał, jaki był podstawą konkluzji prokuratora i sądu państwa, zostanie podany do wiadomości tych wszystkich, którzy mają uzasadniony interes w tem, żeby zachowanie się władz sądowych państwa przekonywało, że wszędzie jest odpowiednie i prawe. Cel ten, podług mego najpokorniejszego zdania, byłby osiągnięty, gdyby W.

C. Mość raczyła rozkazać ogłosić w *Reichs-Anzeiger* ze Akt Oskarżenia i, za pośrednictwem rady związku, zakomunikować rządowi związkowemu cały podstawowy materiał do oskarżenia dr. Geffcken'a wraz z tym moim najpoddanniejszym raportem, dla dalszej ich oceny w duchu powyżej wyrażonym.

Gdyby więc nastąpiło najwyższe zgodzenie się z tém mojem przekonaniem, ośmielam się najpokorniej upraszać o najmiłościwsze podpisanie załączonego projektu reskryptu. *v. Bismarck.*

Do najjaśniejszego Cesarza i Króla."

Co do tego raportu, mówiąc już tylko nawiasowo, niepodobna w tém zaraz miejscu pominąć uwagi, która nasuwa się koniecznie. Aczkolwiek został on zredagowany nader przebiegle, zbłądził przecież widocznie zbytnią łatwo wiernością w naiwność czytającego ogółu. Powtórzyć w tak krótkim przeciągu czasu raz po raz jedną i tę samą sztuczkę, w jednej i tej samej sprawie, i myśleć że się nikt na nią nie pozna — to już chyba żart i niegrzeczne lekceważenie ludzi. Nie upłynęło przecież i czterech miesięcy od ogłoszenia *Immediatberichtu*, w którym ks. kanclerz wystąpił z taką ogromną ostentacją w obronie czci i pamięci Fryderyka III, ażeby pod tą maską, jak widzieliśmy przy rozbiórce tego osławionego dokumentu, wypowiedzieć i zrobić wszystko dla ich zbezczeszczenia i odjęcia wszelkiej zasługi znienawidzonemu przez siebie nieboszczykowi, a przeprowadzenia obrony swojej miłości własnej przeciwko rewelacyom pamiętnika. Teraz ucieka się słowo w słowo do takiej samej obłudzie: bierze pod szczególną opiekę i obronę godność i honor sądu państwa w Lipsku, których nikt, prócz prasy gadzinowej, nie napada, i pod tym pozorem nielegalnie ogłasza akt oskarżenia odrzucony, mający, w tém położeniu rzeczy, stać się oskarżeniem nie p. Geffcken'a tylko już sądu samego i zmaltretować wyrok, który ks. kanclerzowi znowu tyle krwi napsuł. Czy się ta sztuczka z powtórzeniem udała — zobaczmy to później. Nie bierzemy, bynajmniej za złe ks. kanclerzowi, że jak tyłu innych jego fachowych kolegów, posługuje się maksymą Talleyranda, iż mowę na to dano człowiekowi ażeby mógł ukryć myśli swoje, — ale chcieliśmy tylko zaznaczyć, że zbyt często szafuje tą fałszywą monetą, żeby tego i prostaczkowie nie dostrzegli.

Przedstawiony przy tym raporcie projekt reskryptu cesarz, rozumie się, podpisał, — i oto jego osnowa:

„Wskutek raportu z dn. 13 b. m. polecam Panu ażebyś zakomunikował rządowi związkowemu i „Reichs-Anzeigerowi” wiadomości urzędowe w sprawie kryminalnej przeciwko profesorowi Geffcken'owi dla dostarczenia tym rządowi i członkom rzeszy możności wytworzenia sobie własnego zdania o postępowaniu władz sądowych państwa w rzeczonej sprawie. W tym celu postanawiam, ażeby akt oskarżenia przeciwko d-owi Geffcken'owi w „Reichs-Anzeigerze” ogłoszony i wraz z aneksami zakomunikowany został radzie związku, celem ich ocenienia w duchu pańskiego raportu.

Berlin 13 stycznia 1889 r.

Wilhelm J. R. v. Bismarck.”

„Akt oskarżenia.

Przeciwko tajnemu radzcy sprawiedliwości, b. profesorowi dr. pr. Fryderykowi Henrykowi Geffcken'owi z Hamburga i tam urodzonemu d. 9 grudnia 1830 r. ewangelikowi, żonatemu, mającemu czworo dzieci, posiadającemu order: wielki krzyż orderu belgijskiego Leopolda, pruski korony II-ój klasy z gwiazdą i krzyż wielkiego komtura oldenburgskiego orderu Piotra i Pawła.

Wydawane w Berlinie przez literata d-ra Juliusza Rodenberg'a, a redagowane przez księgarza—nakładcę Elwin'a Paetel'a, czasopismo „Deutsche Rundschau” ogłosiło weszycie październikowym, który wyszedł d. 20 września 1888 r., na miejscu naczelném, artykuł zatytułowany: „Z dziennika cesarza Fryderyka 1870—71 r.” zaopatrzone następującą uwagą ¹⁾:

Publikacya ta zrobiła ogromne wrażenie. Była ona, jak to notorycznie wiadomo, natychmiast, a nawet ciągle, wyzyskiwaną przez nieprzyjazną rządowi prasę krajową w celach stronnicych, a przez wrogą Niemcom prasę zagraniczną do rzucania podejrzeń na politykę państwa niemieckiego.

Pierwotne podejrzania fałszerstwa nie potwierdziły się. Redaktor i nakładca Paetel, odmówiwszy początkowo wszelkich wiadomości o osobie, która nadesłała manuskrypt, gdy mu jednak przedstawiono że tu idzie o zbrodnię przewidzianą art. 92 kodeksu kryminalnego, wymienił oskarżonego jako ową osobę. Ten ostatni, który 23 września 1888 r. udał się był z Hamburga na Helgoland, z kąd po odbytej d. 28 t. m. w jego mieszkaniu rewizyi, d. 29 t. m. na żądanie swjej rodziny powrócił i zaraz został uwięziony—złożył w przedmiocie swojego autorstwa i źródła z jakiego czerpał następujące tłumaczenie:

S. p. cesarz Fryderyk, któremu był znany z czasów jednoczesnych studyów w Bonn, i który, w epoce między 1856 a 1868 r., gdy obwiniony był hanzeatyckim ministrem-rezydentem w Berlinie, następnie w Londynie a nawet i później, okazywał mu wielką życzliwość, — zaprosił go był w lutym 1873 r., kiedy był profesorem uniwersytetu w Strassburgu do Wiesbadenu, gdzie J. Wysokość przebywał wówczas na kuracyi, i tam podczas tych odwiedzin, w końcu lutego lub początku marca 1873 r., dał mu do przejrzienia „Dziennik“ wypadków wojennych z 1870—71 r. i pozwolił zabrać takowy z sobą do Karlsbadu, dokąd właśnie obwiniony miał wkrótce udać się na kuracyę. Po trzech mniej więcej tygodniach, odesłał następcy tronu do Berlina ten „Dziennik“ wraz z dziękczynném pismem od siebie. Z tego „Dziennika“, obejmującego około 700 stronic, z a p i s a n y c h całkowicie najdostojniejszą ręką J. Wysokości, zrobił sobie wyciąg na 20 gęsto zapisanych stronicach, a za-

¹⁾ Jest już zamieszczona wyżej przy tekście „Dziennika.“

wierający przeważnie wiadomości polityczne—większa część „Dziennika“ składała się z wiadomości wojskowych—ze skróceniami, wszakże bez żadnych dodatków lub zmian. Jakkolwiek powierzenie sobie tego „Dziennika“ uważa on za szczególny dowód zaufania Jego Wysokości, a do sporządzenia z niego wyciągu nie żądał i nie otrzymał pozwolenia, mimo to sądził, że uczynić to ma prawo. Przy tém jednakże uważał za rzecz zupełnie naturalną, że nie powinien być nikomu mówić o „Dzienniku“, i wtedy już miał jak i teraz ma jeszcze przekonanie, że ś. p. cesarz, ówczasowy następca tronu, nie byłby mu powierzył dziennika gdyby mógł być przewidywać, że za jego życia obwiniony cośkolwiek z tego dziennika osobom trzecim udzieli albo ogłosi. O wypadku, żeby następca tronu mógł umrzeć wcześniej od niego, nie myślał zgoła, robiąc ten wyciąg z „Dziennika“, i chciał tylko zachować sobie pamiątkę po tém, co czytał. Po śmierci jego cesarskiej mości cesarza Fryderyka, w sierpniu 1888 r. zdecydował się ogłosić jego „Dziennik“, przygotował wyciąg z manuskryptu, zmniejszony o cztery do pięciu stronicy przez opuszczenie ustępów, które uważał za drażliwe i takowy przesłał do druku wydawcy „Deutsche Rundschau“. Cel, do jakiego zmierzał przez tę publikacyą, nie był wcale polityczny, lecz historyczny (?); chciał mianowicie, w obec dość rozpowszechnionego mniemania, jakoby cesarz Fryderyk był szlachetnym ideologiem, podnieść jego polityczne znaczenie, a mianowicie tę okoliczność, że przy tworzeniu cesarstwa był on siłą czynną (motoryczną — die treibende Kraft). W każdym razie nie miał z nikąd upoważnienia do tej publikacyi, a mianowicie nie spodziewał się również ażeby ją mógł otrzymać od jej cesarskiej mości cesarzowej Fryderykowej, gdyby ją o to był prosił.

Zanim tłumaczenia się obwinionego co do celu tej publikacyi zostaną poniżej ocenione, należy w tém miejscu zaznaczyć co następuje: Nie ulega wątpliwości że publikacya ta przedstawia się jako wyciąg z prawdziwych notatek nieboszczyka cesarza Fryderyka. Podług objaśnienia urzędowego ministerstwa domu królewskiego, w królewskim archiwum domowém znajdowały się trzy egzemplarze dziennika najjaśniejszego cesarza i króla Fryderyka, z których dwa są identycznymi i widocznie sposobem mechanicznym sporządzonemi kopiami własnoręcznych notatek jego wówczas cesarskiej i królewskiej wyscości następcy tronu, kiedy tymczasem egzemplarz trzeci jest zmienioną redakcyą owych pierwszych notatek, i składa się z pewnej ilości osobnych zeszytów, których pojedyncze karty zapisane są po jednej stronie ręką kancelisty, a na stronie drugiej, pozostawionej przez niego pustą, znajdują się obszernie dopiski i dodatki ręką jego cesarskiej wysokości poczynione, i ten właśnie egzemplarz zawiera w sobie notatki takie, jakie weszły do artykułu wydrukowanego w „Deutsche Rundschau“. Ten przecież ostatni egzemplarz nie mógł być właśnie powierzony obwinionemu, gdyż, podług jego stanowczego zeznania,

„Dziennik“ jaki posiadał, był całkowicie napisany ręką jego cesarskiej wysokości.

Wzmiankowana wyżej ręka kancelisty będzie najprawdopodobniej ręką zmarłego w styczniu 1887 r. Krug'a, burgrabiego dworu następcy tronu. Podług zeznania jego żony i brata, ś. p. cesarz, który miał w nim szczególne zaufanie, powierzał mu często przepisywanie tajnych papierów, mianowicie dziennika o wojnie 1866 r., o podróży na wschód i o wojnie 1870—71 r. Te ostatnie, własnoręczne notatki, były bardzo obszerne i oddane zostały Krug'owi do przepisania późnóm latem 1871 r. Gdy pierwsze przepisanie pojedynczych kartek zostało najdostojniejszą ręką poprawione, musiał Krug sporządzić nowy tego odpis i takowy, na wiosnę 1872 r., od najdostojniejszego nieboszczyka cesarza, owczasowego następcy tronu, który w nim wiele poprawił, wykreślił i zmienił—otrzymał raz jeszcze do przepisania na czysto. Podług opowiadań Krug'a następcą tronu zawsze sam niszczył zwracane sobie notatki i poprawiane kopie. Ten ostatni odpis na czysto będzie tekstem wyżej wspomnianego trzeciego egzemplarza, który, jak wykazują świadkowie nie przedstawia się bynajmniej jako właściwy dziennik. Jeżeli egzemplarz, który oskarżony przeglądał i z którego zrobił wyciąg, był cały napisany najdostojniejszą ręką, w takim razie najjaśniejszy pan poprawił raz jeszcze ów egzemplarz i zaopatrzywszy go obszernymi dopiskami, na jego podstawie sporządził własnoręcznie nowy egzemplarz. Gdzieby się przecież ten egzemplarz znajdował nie zdołano się dowiedzieć. Twierdzenie obrony, jakoby ś. p. cesarz darował Krug'owi jeden odpis dziennika z roku 1870—71, odparte zostało świadectwem wdowy Krugowej. Podług tegoż zeznania, zmarły jój małżonek otrzymał był od ś. p. cesarza tylko metalograficzną odbitkę dziennika z r. 1866 i 1869 (podróż na wschód), co zaś do dziennika z 1870—71 r. to jój powiedział, że ten dziennik nigdy ogłoszonym nie będzie. Również i przytoczony przez obrońcę argument, że najjaśniejszy pan nie myślał trzymać w tajemnicy osnowy dziennika z 1870—71 r., okazał się niefortunnym, gdyż z podanych w tym przedmiocie świadków, zeznali:

B. minister stanu, generał piechoty von Stosch: że w 1886 czy też 1887 r., owczasowy następcą tronu mówił mu, iż nie może mu pokazać swego dziennika z 1870—71 r., gdyż takowy zawiera w sobie zbyt wiele szczegółów osobistych; zresztą dziennik ten nawet przed wpływem długiego szeregu lat nie może dojść do wiadomości publicznej, ponieważ obejmuje za wiele szczegółów politycznych; zaś literat, tajny radca dr. Freytag:

W czasie między 1873 a 1876 r. odwiedził on w Poczdamie ówczasowego następcę tronu, przez którego był zaproszony, albowiem podczas wojny 1870—71 r. przebywał przez pewien czas w jego głównej kwaterze, i właśnie podczas tych odwiedzin, z polecenia następcy tronu, otrzymał od sekretarza gabinetu v. Normann'a do

prze czytania dziennik z 1870—71 r. napisany ręką kancelisty. Po odczytaniu tego dziennika oświadczył on panu v. Normann oraz następcy tronu, że publikacja tego dziennika jako też w ogólności i udzielanie go osobom trzecim, jak się to działo z poprzednimi dziennikami, pod żadnym pozorem nie powinny mieć miejsca, a nawet usilnie prosił o to następcę tronu. Do objawienia takiego zapatrywania się skłoniły go przeważnie wiadomości zawarte w dzienniku—zgodne zresztą zupełnie z poglądami wyrażanymi ustnie przez następcę tronu podczas wojny o tworzeniu się cesarstwa, gdyż ogłoszenie takowych uważał za stanowczo niemożliwe, tak ze względu na dobro państwa jak i na powagę dostojnego ich autora. Następca tronu podzielał to jego zapatrywanie się. Publikacja ta, w całej swój osnowie, stanowi przestępstwo, przewidziane § 92 nr. 1 Kodeksu kryminalnego.

W szczególności należy tu wziąć na uwagę co następuje: Wyciągi z „Dziennika“ obejmują w sobie notatki o układach toczonych przy powstawaniu konstytucyi cesarstwa, o stanowisku rządów pojedynczych państw związkowych względem tych układów i o zapatrywaniach, jakie przeważały u króla i następcy tronu pruskiego, u króla bawarskiego oraz u innych książąt związkowych co do zachodzących stosunków.

Wyciągi te zawierają także uwagi o stosunkach Niemiec do rządów zagranicznych, do kuryi papieskiej, do Rosyi, Anglii, Luksemburga, Belgii i Francyi. Ogłoszone fakta należą do rzędu tych, których zachowanie w tajemnicy potrzebném jest dla dobra państwa niemieckiego. Przy badaniu konieczności zachowania téj tajemnicy nie tyle chodzi o to czy ogłoszone fakta pojedyncze są obiektywnie prawdziwe, ale raczój o to, że podał je do wiadomości pruski następca tronu, późniejszy cesarz niemiecki, albowiem powagę tym notatkom nadaje w opinii publicznej, a szczególniej u rządów obcych, stanowisko ich autora samo przez się i niezależnie od ich prawdziwości w szczegółach.

I.

Powstanie konstytucyi państwa niemieckiego.

Następujące punkta biorą się szczególniej na uwagę: 1) stronica 9. — 7 sierpnia. Ja obstaję przy tém, że po zawarciu pokoju nie możemy poprzestać na samém torowaniu drogi nowym dążeniom w duchu niemieckim, ale że raczój mamy obowiązek dać ludowi niemieckiemu coś całkowitego, konkretnego (Greifbares) i że dla tego należy kuć żelazo niemieckich gabinetów, dopóki jest jeszcze gorące.

2) str. 14.—30 września. Przemawiam do J. Kr. Mości w sprawie cesarstwa, które się zbliża, ale król uważa je za niebędące obecnie wcale na widoku i powołuje się na zdanie Dubois-Reymond'a,

że imperializm upadł i że w przyszłości może być w Niemczech tylko król pruski wodzem Niemców. Ja zaś dowodzę przeciwnie, że istnienie już trzech królów zmusza nas do wzięcia supremacji przez utworzenie cesarza, że tysiącletnia cesarska albo królewska korona nie ma nic wspólnego z imperializmem nowoczesnym; w rezultacie opór J. Kr. Mości staje się słabszym.

3) str. 15.—10 października. Delbrück przyjechał, Bawaryja przystaje na warunki wejścia do związku północno-niemieckiego z wyłączeniem wojska i dyplomacji. Ministrowie jej nie zgadzają się z sobą, powołują się na rozmaite, często sprzeczne z sobą zdania króla, który półtóry godziny rozmawiał z Delbrück'em o przedmiotach nie mających związku z jego misją.

4) Tamże. Król Wirtembergski pragnie układać się bezpośrednio z nami, aby nie wyglądało że idzie tylko za Bawaryją.

5) str. 17.—3 listopada. Delbrück mniema, że takiego sprzymierzenia, jak Bawaryja, nie można przecież w chwili obecnej przemocą wciągnąć do związku, ja zaś utrzymuję że nie mamy wcale świadomości naszej potęgi, że zatem w obecnej, wszechświato-historycznej chwili, czego naprawdę chcemy to i możemy niewątpliwie, ale, pożałuj się Boże, niewiadomo czego my chcemy i czy kto teraz naprawdę czegoś chce.

6) str. 18.—11 listopada. W. książę napisał przesłiczny list do króla bawarskiego, ale nieotrzymał odpowiedzi. Wirtembergia robi drugorzędne zastrzeżenia przy konwencji wojskowej, prawo awansowania w jej dywizyi szkodzi jej własnym oficerom.

7) Tamże.—12 listopada. Ministrowie wirtembergscy nagle z powodu złych wiadomości, wyjechali, kiedy już chcieli podpisać traktat; jestto intryga Gasser'a; Suckow i Mitnacht są uczciwi. Roon i Podbielski żalą się że o niczem nie wiedzą, Bismarck jest oburzony że taką sprawę powierzono podobnym dwóm partykularystom pruskim.

8) str. 18 i 19.—14 listopada. Rozmowa z Bismarckiem o kwestyi niemieckiej, chce kończyć, ale wzruszając ramionami, wykazuje trudności, co począć z Niemcami południowemi? czy życzyć sobie żeby im pogroźono? Na to odpowiedziałem: „I owszem, nie ma wcale niebezpieczeństwa, wystąpmy silnie i rozkazujaco, a zobaczysz Pan że miałem słuszną utrzymywać, iż pan nie masz jeszcze dość świadomości swój potęgi“. Bismarck odrzucał wszelkie pogroźki i powiedział, że w razie konieczności użycia środków nadzwyczajnych trzeba jak najmniej grozić, to bowiem rzuciłoby te państwa w objęcia Austrii. Otóż, obejmując swój urząd, miał już stanowczy zamiar doprowadzenia Prus do wojny z Austryją, ale tak wtedy jak i w ogóle wystrzegał się mówić o tém z najjaśniejszym panem dopóki nie upatrzył odpowiedniej chwili. I teraz również należy pozostawić czasowi rozwój kwestyi niemieckiej. Odpowiedziałem mu, że nie mogę patrzeć obojętnie na podobne zwlekanie, ponieważ ja

przedstawiam przyszłość, że nie potrzeba używać przemocy można spokojnie wyczekać czy Bawerya i Wirtemberg ośmielią się połączyć z Austryą. Nic łatwiejszego jak przez większość zebranych tu monarchów niemieckich nie tylko ogłosić cesarza, ale nawet uchwalić konstytucyą z naczelnem władztwem, któraby odpowiadała uprawnionym żądaniom ludu niemieckiego, byłaby to pressya, której królom nie mogliby się oprzeć. Bismarck zrobił uwagę, że nikt nie podziela mojego poglądu i że dla osiągnięcia pożądanego celu byłoby właściwszém wywołać taką inicjatywę z łona parlamentu. Gdy powołałem się na patryotyczne usposobienie Badenu, Oldenburga, Wejmaru, Koberga—zasłonił się wołą najjaśniejszego pana. Odpowiedziałem mu, iż wiem dobrze, że dosyć gdy on czego nie chce, żeby to i u króla stało się niemożliwem. Bismarck odparł, że robię mu wyrzuty, chociaż on zna całkiem inne osoby, które na nie zasługują i że przy tém trzeba mieć na względzie wielką samodzielność króla w kwestyach politycznych, który każdą ważniejszą depeszę sam przegląda, nawet poprawia. Bismarck żałuje, że kwestya cesarza i izby wyższej została w ogóle poddaną dyskusyi, gdyż przez to nadzwyczaj obrażono Bawaryą i Wirtembergią.

9) str. 20.—17 listopada. Delbrück jedzie do Berlina na otwarcie parlamentu rzeszy, jest dobrej myśli i sądzi, że nasza taktyka, polegająca na ignorowaniu Bawaryi od dni 14, wyda dobre owoce gdyż prosiła o wznowienie układów.

10) Ibid.—21 listopada. Bismarck powiada... że obadwa królestwa chcą tedy wejść do związku, ale że musi jeszcze wygrać swoje atuty; Roon omal że nie grozi zerwaniem układów z przyczyny zewnętrznych oznak wojskowych.

11) str. 21.—30 listopada. Zredagowany przez Bismarck'a wzór listu króla (bawarskiego) do najjaśniejszego pana, w przedmiocie godności cesarskiej, posłany został do Monachium; wielki książę powiedział mi, że nie byli tam w stanie ułożyć sobie jego osnowy i prosili, aby ją ztąd przysłać, król bawarski list ten przepisał i oto Holstein go przywozi!

12) str. 22.—9 grudnia. Pytanie, czy ten związek, mający być rezultatem ofiar ze strony wszystkich, ma stać się dziełem, któreby dogadało tylko tym, przez których i dla których zostało stworzone. Rozumiem dobrze, jakie to nieskończone kłopoty i trudy czekają mnie kiedyś z powodu dzisiejszych grzechów niedbalstwa.

13) Ibid.—12 grudnia. Telegrafowano do króla bawarskiego ażeby przysłał tu pisma jakie od dawna ma w ręku.

14) str. 24.—31 grudnia. Król oświadcza, że nie chce na jutro żadnego publicznego proklamowania cesarstwa, ponieważ Bawerya jeszcze się nie zgodziła... Bismarck... oświadcza, że bez przystąpienia Bawaryi nie można przedsiębrać żadnej inauguracji.

15) Ibid.—1 stycznia. Król wzruszony wita mnie przyjaznym i poważnym życzeniem, ażeby mi kiedyś danem było doczekać się

i używać pokojowych owoców teraźniejszej pracy. Nie może on, co prawda, pogodzić się z myślą, ażeby zjednoczenie się Niemiec było trwałem, gdyż, niestety, nie wielu książąt myśli i postępuje tak, jakby to było do życzenia, i tylko jeden W. Książę daje im przykład szlachetny.

Wygłoszone tu fakta mają znaczenie w dwóch kierunkach: naprzód, dla stosunku Prus do innych państw związkowych i do cesarstwa, a następnie, dla stanowiska rządów zagranicznych do państwa niemieckiego.

A. Od stosunku Prus do innych państw związkowych zależy oczywiście dobro państwa niemieckiego. Dobro państwa polega przede wszystkim na jedności składających je członków. Ta jedność zostanie zachwiana, jeżeli pojedynczym członkom rzeszy będą udzielane wiadomości, mogące wzbudzić w nich podejrzenie przeciwko przewodniczącemu państwu związkowemu i przeciwko temu, który nosi połączoną z Prusami koronę cesarską. Do takich wzbudzających podejrzenie wiadomości, należą ogłoszone poglądy pruskiego dziedzica korony, dotyczące stanowiska władzy państwa do pojedynczych członków rzeszy, zwłaszcza zaś jego zamysłu zmuszenia (str. 17, 19) państw południowo-niemieckich do pozbawienia się odpowiedniej traktatom samoistności i ich zwierzchnich praw państwa na rzecz cesarza. Wiadomość o takim zamysłu może pomiędzy państwami związkowymi wzbudzić obawę, że podobny zamysł, skoro już raz był bliskim urzeczywistnienia się na pruskim tronie, może się znów ponowić, a taka obawa może im dać do myślenia, czy przyszłość ich nie lepiej się zabezpieczy przez oderwanie się wczasy wraz z innymi państwami.

Zapatrywanie to zostało potwierdzone raportami, jakie posłowie pruscy przy dworach niemieckich poskładali o wrażeniu, wywartem przez ogłoszenie „Dziennika“. Podług zakomunikowanego wynurzenia ministra barona v. Lutz'a, osnowa tej publikacji zrobiła na rządzie bawarskim wrażenie, jakoby zapatrywanie się ówczasowego następcy tronu znaczyło, iż w 1870 r. dla tego tylko poprzestano na tém co osiągnięto za pośrednictwem traktatów, że na razie nie dało się osiągnąć więcej. Saski prezes ministrów oraz ministrowie spraw wewnętrznych i wyznań oświadczyli, że ta publikacja szkodzi idei monarchicznej i obraża panujących, którzy przyjmowali udział w utworzeniu niemieckiego cesarstwa. Wiadomość ze Stuttgartu charakteryzuje właśnie złe wyrządzone państwu niemieckiemu, albowiem publikacja ta stała się powodem nowego niezadowolenia i ścierania się stronnictw. Również wiadomości z Baden'u oraz z Londynu i Wiednia konstatują wyraźnie niebezpieczeństwo, jakie mogłoby wyniknąć z tej publikacji dla stosunków wewnętrznych cesarstwa niemieckiego.

B. Na stanowisko rządów zagranicznych względem państwa niemieckiego ogłoszenie „Dziennika“ wpłynęło

o tyle, że rządy te mogłyby nabrać przekonania, jakoby, na wypadek wojny, nie można było liczyć stanowczo na opór całej rzeszy niemieckiej, i jakoby jej rozpadnięcie się nie było bezwarunkowo niemożliwem. Niebezpieczeństwo z tego powodu dla państwa niemieckiego jest podwójne: wzmocnienie skłonności wojowniczych tych państw, które walkę z Niemcami uważają za jeden z celów swęj polityki, i osłabienie zaufania członków związku w trwałość cesarstwa niemieckiego. W tém miejscu szczególniej brane są na uwagę: zapatrywania się króla pruskiego na jedność Niemiec, okoliczności zaszłe podczas redagowania listu króla bawarskiego, przewlekania i z mozółem pokonywane trudności, jakie napotymano przy urzeczywistnieniu planów, i nagana, jaka im się dostała od głównie interesowanych osób, za ich rzekome niedokładności.

Domniemanie, że w ogłoszeniu tych faktów leży niebezpieczeństwo dla cesarstwa niemieckiego, stwierdzone zostało w tym razie raportami poselstw przy dworach zagranicznych. Wiadomości z St. Petersburga konstatują widoczny objaw złośliwej radości nieprzyjaciół Niemiec oraz ich zadowolenie ze spostrzeżenia, iż nowopowstałe cesarstwo niemieckie ma swoje bardzo słabe strony, że z trudnością zaledwie, jak to okazuje się z dziennika, doprowadzona do skutku jedność niemiecka jest tylko powierzchowną, i że dla tego może kiedyś znowu łatwo się rozpaść. Te same wiadomości pouczają, że prasa panslawistyczna stara się znowu, na podstawie wyciągów z dziennika, podawać w podejrzenie kierunek polityki niemieckiej i podniecać nieprzyjaźń przeciwko Niemcom. W wiadomości z Paryża zestawione są poglądy prasy, wyrażającej wpływowe opinie publiczne, z których okazuje się, że z tych „*Révélations précieuses*“ widać „*le pied d'argile du celosse*“, że tam cieszą się iż cesarstwu brak jest trwałości, który odejmuje mu siłę związkową i małym państwom niemieckim poddaje myśli zrzucenia z siebie przy sposobności jarzma pruskiego.

(C. d. n.).

Klemens Eugeniusz Dziewulski.

(RYS BIOGRAFICZNO-NAUKOWY)

PRZEZ

B P.

„W postaci miał coś, co przypominało orła, lub sokoła i wysoko zawsze kierował wzrok swój i loty.
(Znatowicz).

Niby piorun z jasnego prawie nieba spadł pocisk w grono wychowawców b. Szkoły Głównej z pierwszego okresu jej istnienia, jak cios ręką przeznaczeń zadany rozległ się, wśród naszego naukowego społeczeństwa, zgrzyt równającej plonujące pole kasy, wzorem hiobowej wieści rozniosły w dniu 31 sierpnia b. r. warszawskie pisma codzienne wszelkich barw i odcieni, o zgonie jednego z członków społeczeństwa.

Nióśł w dani pracę i wiedzę, ofiarność i szlachetność, ciało i duszę, i oto—spadło zeń brzemień; był atrakcyjnym punktem dla wielu uprawiających u nas przyrodoznawczą niwę i odjętym mu został ten wielki atrybut; badał i spodziewał się i już przyszłość doń nie należy; kochał i cierpiał, aż naraz zanikł w nim te dwa stygmaty ludzkiej istoty!

Zmarł Klemens Eugeniusz Dziewulski.

Niepowetowany to cios dla rodziny, smutek dla towarzyszków, strata dla nauki, żałoba dla naszego społeczeństwa. Przebrzmiały zgodnie wzniesione hymny pism codziennych i tygodniowych na cześć zmarłego, odszedł liczny zastęp inteligencji od wrót cmentarnych, przywiedły już wspaniałe wieńce złożone na jego trumnie, pozostał nieutulony żal małżonki i ciężka żałobna dola 7-ga dzieci, z których jedno nie oglądało jeszcze oblicza swego rodzica! Trwa, i długo jeszcze trwać będzie serdeczne

wspomnienie druhów Eugeniusza i wdzięczna pamięć jego uczennic i uczniów a napis na grobowym kamieniu widomie i trwale zaznaczy ślad pobytu jego wśród nas, niby odcisk jego stopy na ziemskim globie!

Ten, który swym zgonem wywołał szereg podobnych objawów, musiał zdobyć niezaprzeczone do nich prawo, położył widocznie zasługi po nad zwykłą miarę. Sądźmy, że obowiązkiem naszym, wyprowadzić genezę tych praw, przekazać potomnym zasługi ich posiadacza, aby następnie uchylić czoło przed tym chorążym naukowego zastępu wielu przyrodnawców naszych i wreszcie wskazać przyszłym adeptom—jaką koleją dążył i jakimi pobudkami kierował się przedwcześnie zgasły obywatel.

Ziemia podlaska, Siedlce, była miejscem jego urodzenia, 23 listopada 1842 r. datą ujrzenia dziennego światła, ród z Dziewul pod Zbuczynem — szczeniem; ojcem był Franciszek a matką Maryanna z Mierzwińskich.

Ojciec, dawny podporucznik 22 pułku piechoty linjowej b. wojska polskiego, dzierżawił wówczas wieś rządową Holi w dzisiejszym powiecie włodawskim, to też pierwsze lata dzieciństwa spędził ś. p. Eugeniusz u téjże Holi, w Siedlcach bowiem matka jego bawiła tylko specjalnie u swój rodzicielki. Ojciec pomimo, że nie odebrał wyższego wykształcenia, cenił naukę, szukał towarzystwa ludzi świątłych, chętnie czytał i jak na owe czasy posiadał znaczny zbiór książek. Żywego temperamentu, dużej energii, zapalony myśliwy, znawca koni, pełen humoru i jowialności; nie grywał w karty i pijał tylko wodę. Matka żywego również usposobienia, czulego serca, delikatna w obejściu ukończyła pensyą w Warszawie przed r. 1830.

Wśród takiego najbliższego otoczenia wychowywał się Eugeniusz wraz z braćmi Saturninem i Henrykiem; niejednokrotnie słyszał z ust ojca opowiadania o niedawnej przeszłości, wzmianki o bohaterach świeżo zamkniętej doby, lub gawędy o walkach pod Grochowem, Chodczą, Łagowem i Pińczowem, w których ojciec brał bezpośredni udział. Eugeniusz wcześniej nauczył się czytać samodzielnie, według wskazówek ekwojskowego oficjalisty, następnie pozostawał pod kierunkiem Tymoteusza Zielińskiego z gimnazjalnym wykształceniem, a syna znanego niegdyś dobrze i cennego powszechnie na Podlasiu unickiego księdza.

Wpływ rodziców na początkowe wychowanie był raczej bezwiedny niż obmyślany; matka osoba nerwowa, delikatna, niewiele się dziećmi zajmować mogła, ojciec jak widać z tego cośmy już o nim powiedzieli, nie myślał o teoriach, natomiast oboje świecili żywym przykładem prawości, gościnności i miłosierdzia. To wszakże jest niewątpliwem, że ojciec odznaczał się stanowczością a przytém zostawiał dzieciom wiele swobody; co raz postanowił było nieodwołalne, nigdy dzieci nie karał, a jednak słowa ojca by-

ły dla nich świętymi, w ich bowiem pojęciu, ojciec był wzorem doskonałości.

W 1852 r. Eugeniusz został oddany do gimnazjum w Lublinie, i znalazł się w tych samych murach, w których niegdyś uczyli jezuici i po których niby w spuściznie zachowała się tradycja szkolnictwa. Nic téj tradycji snuła się aż do czasów reorganizacji szkół w kraju i przeniesienia gimnazjum do nowego gmachu. Zaznaczyć wypada że z gimnazjum — lubelskiego w obu okresach wyszło wielu młodzieńców, którzy później stali się wybitnymi osobistościami w kraju. Pozwolimy sobie kilka z nich wymienić: Dr. Ignacy Baranowski, prof. akademii petersburskiej dr. Mierzejewski, vice prezes izby sądowej a poprzednio zaszczytnie znany profesor Holewiński ukończyli gimnazjum przed 1860 rokiem zaś filolog Lucyan Malinowski, publicysta Władysław Olendzki, poseł na sejm galicyjski Józef Męciński matematyk Wł. Gosiewski, przyrodnik Gr. Chmielewski trzej Suligowscy inżynier lekarz i prawnik, chemik Br. Znatowicz i świetni pisarze jak Al. Świętochowski, Al. Głowacki (Prus) lub pełen pomysłów Jul. Ochorowicz a niepodobna wyliczać wszystkich wydatniejszych byli współczesnemi z Dziewulskim, lub wyszli w krótkce po nim z murów lubelskiego gimnazjum. Bo téż jacy ludzie byli w niej przewodnikami młodzieży? Oto po większej części powołani pedagogowie, ufní w swą wiedzę nauczyciele, miłujący młodzież mentorowie.

Za czasów Dziewulskiego, dyrektorem gimnazjum był Józef Skłodowski, ojciec znanego wielom Władysława nauczyciela gimnazjum w Warszawie, był to człowiek sprężysty a dobrego serca, nieco szorstki w obejściu i zbyt może skory do używania represaliów a jednak pełen wyrozumiałego pobłażania w sprawach ważnych. Współpracownikami byli między innymi: filolog Paweł Dębowski, sędziwy dziś magister b. Aleksandryjskiego Uniwersytetu, Jakób Daniewski, ks. Koziejowski, filolodzy bracia Jezierscy.

W niższych klasach gimnazjalnych. D. nie wyróżniał się od innych kolegów postęпами w naukach, dopiero w wyższych przy rozdziale na matematyczny i filologiczny zdolności matematyczne poczęły się w nim coraz wydatniej ukazywać. Całą duszą zajmował się wykładami fizyki i matematyki profesora Daniewskiego i czynił w tych przedmiotach wielkie postępy a wdzięczną pamięć o Daniewskim zachował do końca życia. Natomiast przedmioty filologiczne a zwłaszcza przyswajanie sobie obcych języków przychodziły mu trudniej, a pewien wstręt do nich był poniekąd powodem bardzo niemiłego dlań wypadku. Za czynne wmięszanie się do agitacji przeciw jednemu z nauczycieli języków nawet nie obcokrajowcowi, otrzymał zły stopień ze sprawowania a skutkiem tego pozostał w klasie 6-jej na rok drugi. Ów rok 1858 był

nieszczęśliwym dla 16 letniego młodzieńca, bo w tymże postradał matkę, która po długich cierpieniach zmarła, jak się zdaje na raka. Ukrócony za swą butę, tém gorliwiej zabrał się do nauki; z nagrodami przeszedł następne klasy tak, że w 1860 r. opuścił ławy szkolne z prawem wstąpienia do uniwersytetu bez wstępnego egzaminu, a mówiąc nawiasem takie odznaczenie otrzymało trzech uczniów na 50 kończących szkołę. Nie od rzeczy będzie zaznaczyć, że D. wcześniej rozpoczął pracę publiczną, bo już na parę lat przed skończeniem gimnazjum był nauczycielem w szkole rzemieślniczo-niedzielnój, a obok tego dawał korepetycje, aby ulżyć nakładom ojca, któremu finansowe sprawy coraz gorzej iść poczynały. Ponieważ zamiarem ojca było, aby synowie otrzymali najwyższy stopień wykształcenia, przeto pokonawszy, jak się dało trudności, wysłał Eugeniusza wraz z drugim bratem do Kijowa, gdzie obaj uczęszczali rok jeden do uniwersytetu. Skoro bowiem rozeszła się wieść o utworzeniu szkoły głównej w Warszawie, podążyli tu, powodowani prawdopodobnie większą łatwością utrzymania się a może i innymi względami.

Zaznaczyć wypada, że wspomniana powyżej trudność w przyswajaniu sobie obcych języków, pochodząca może w części w braku odpowiednich ćwiczeń w dzieciństwie, pozostała D. na całe życie. Pomimo bowiem przeświadczenia w latach późniejszych o potrzebie ich dla uczonego, pomimo kilkakrotnych usiłowań w celu władania językami, nie osiągnął nigdy poważnych rezultatów; zżymał się nad gramatycznymi prawidłami, niecierpliwił nad składnią i ten sam szybko orientujący się matematyk, ten drobiazgowy badacz zjawisk i konstruktor skombinowanych przyrządów, tracił panowanie nad sobą przy studiach językowych, obruszał się nawet słysząc, że któremuś z kolegów łatwo przychodzi z niedowierzaniem przyjmował podawane mu przez innych tłumaczenie specjalnych naukowych terminów.

Jak powiedzieliśmy D. podążył do Warszawy, gdzie w 1861 roku widziemy go wśród licznych słuchaczy świeżo otwartej i rok tylko trwającej szkoły przygotowawczej; w następnym roku znajdujemy go na wydziale fizyko-matematycznym Szkoły Głównej w sekcji czystej matematyki, oddającego się z zapałem studjom na wyższą algebrę, rachunkiem różniczkowym i całkowym, teorią liczb, kosmografią, fizyką doświadczalną i teoretyczną. W ciągu czteroletnich studyów uwielbia on wykłady prof. Aug. Frączkiewicza, dla którego pracy naukowej jest z bezgranicznem uznaniem i podziwiał technikę prof. fizyki Ad. Prażmowskiego, który czas długi był adjunktem warszawskiego obserwatorium. Poważanie technicznej, ręcznej pracy wyrobiło się w D. tak wielkie, że z pewnym zachwytem przypatrywał się często czynnościom zwykłego robotnika, jeżeli ten spełniał swoje zadanie szybko i dokładnie.

Koleżeńskie stosunki warszawskiej almae matris były bardzo rozwinięte, to też Eugeniusz, żywy z natury, prawy, pracowity i energiczny, wyróżniał się między innymi pewną atrakcyjną siłą i zbliżał ku sobie tych, którzy pielęgowali takie same jak on ziarna miłości nauki, idee przyrodniczej wiedzy, hasło postępu.

Nie wielkie to gronko stanowi dziś część tych wydatnych sił, jakimi wiedza matematyczna i przyrodnicza ujawniły się w piśmiennictwie naszym w okresie ostatniej ćwierci stulecia.

Po ukończeniu egzaminów i napisaniu rozprawy „o Dijamagnetyzmie“ na stopień magistra w r. 186 $\frac{1}{2}$, D. wystąpił z prośbą o mianowanie go preparatorem przy katedrze fizyki doświadczalnej i zajęcie to niezwłocznie otrzymał dzięki zwróconej na się uwagi fakultetu tak wynikami egzaminu, jak i samodzielnością napisanej rozprawy. Pomieszczono go też na liście tych, którzy mieli być wysłani za granicę w celu uzupełnienia studyów, lecz okoliczności nieokazały się przyjaznymi, bo zupełnie inni skorzystali z tego zaszczytu a nie ci których pierwotnie wybrał fakultet.

Na otrzymaném stanowisku D. rozwinął wielką gorliwość w przyprowadzeniu do możliwie dobrego stanu przyrządów fizycznego gabinetu, z których wiele pochodzących jeszcze z czasów pierwszego uniwersytetu, było niemożliwych do użycia. Stopniowo pod jego kierunkiem i bezpośrednim czynnym udziale, gabinet fizyczny zyskiwał porządniejszy wygląd. Ile ta praca pochłoneła mu czasu i sił mógł ocenić tylko ten, który znał stan gabinetu przed i po zawiadywaniu Dziewulskiego. A przecież to była tylko część zajęć, bo przygotowanie doświadczeń na prelekcye, wypróbowanie przyrządów, utworzenie jakiegoś na prędce szły w parze z systematycznym porządkowaniem gabinetu. Na stanowisku preparatora pozostał D. i po przemianie Szkoły Głównej na uniwersytet aż do r. 1882.

W ciągu tego 16-sto letniego peryodu swego życia D. dał dowody co można zrobić u nas przy energii i dobrym przykładzie, i jak pielęgnować ziarna wiedzy, aby nierozproszyły się po świecie, lecz zebrane na jedną acz szczupłą niwę, wydały poważne i pożyteczne plony; największe zasługi zmarłego pochodzą z tego okresu. Czujemy znaczną trudność w opisie przebiegu prac i działalności jakie rozwinął, niepodobna nam być naraz różnokierunkowemi w piórze, jak był jednocześnie różnodziałalnym ś. p. Dziewulski, jesteśmy jak malarz batalista, który może tylko chwytając pędzlem i przedstawiając na płótnie pojedyncze, ważniejsze momenta walki, gdy tymczasem ona w rzeczywistości rozgrywa się ciągle, jednocześnie na froncie i skrzydłach.

Suche wyliczanie dat a obok nich prac D. byłoby bez wątpienia najłatwiejszym dla piszącego, lecz okazałoby się nużącym dla czytelnika a z pewnością i nie zwróciłoby na siebie należytej uwagi. Wolemy przeto na wzór batalisty ograniczyć się na kre-

sleniu oddzielnych szkiców działalności zmarłego, mało krepując się datami a zwłaszcza chronologicznem ich następstwem. Bo zresztą czyliż życie jednostki na globie nie jest rodzajem muij lub więcej rozległej, dłuższy lub krótszy czas trwającej batalii. Prawda, że bywa ono niekiedy ceremonialnym marszem zakłócanym nadprogramowemi ewolucjami, w obu jednak razach kończy się tragicznie. Śmierć ostatnim jego wyrazem.

Porządkowanie gabinetu, samodzielnie rozpoczęte badania o przenoszeniu cieczy i cząstek ciał stałych pod wpływem strumieni elektrycznych, rozpoczęcie obserwacji nad nachyleniem magnetycznym w Warszawie, udzielanie prywatnych lekcji, odczyty publiczne o powietrzu, w resursie obywatelskiej i znów o analizie spektralnej, wykłady wieczorne na kursach dla kobiet w zakładzie p. Schmidt, przypadają w pierwszym ośmioletnim okresie publicznej działalności Dziewulskiego i zwracają na niego uwagę naszego naukowego świata, nęcą oczy i uszy publiczności, zaostwiają pióra dziennikarskich sprawozdawców i wywołują niejedno przyspieszone tempo w serduszkach słuchaczek. I oto w jednej z nich powstaje gorętsze uczucie, objawia się postanowienie bliższego poznania sympatycznego profesora, pełnego werwy uczonego a dodajmy i dorodnego młodzieńca. Okoliczności sprzyjają jój zamiarom; 19 lipca 1874 r. zawartym został związek małżeński między Eugeniusem Dziewulskim i panną Anielą Krauze. W związku tym pełnym wzajemnej miłości niezakłóconym nigdy żadną rozterką, w ciągu piętnastoletniego trwania, zrodziło się siedmioro dzieci, z których dwaj najstarsi synowie, już gimnaziści czynili chlubę ojcu postępami w naukach a najmłodsza latorośl nie ujrzała jeszcze dziennego światła. W drugim okresie trwającym lat dwanaście widzimy D. w rozwoju całej energii męskiej, pełnego wiary w raz powzięte idee i urzeczywistniającego niektóre pomysły. Przedstawia nam się przedewszystkiem inicjator i organizator poważnych wydawnictw naukowych jak Pamiętnik fizyograficzny, od 1881 r. (osiem tomów) Wszechświat od 1882 r., biegniemy za nim w Tatry a potem w rypińskie i lubartowskie, gdzie bada wszystkie ważniejsze jeziora i mierzy ich głębokość, udajemy się do sali ratuszowej na odczyty o indukcji galwanicznej na dochód osad rolnych, niektórzy z nas są jego uczniami w szkole handlowej otwartej w r. 1875, inni słuchają jego wykładu fizyki dla lekarzy i farmaceutów w sali uniwersyteckiej (w 1879—1881 r.) miłośnicy nauk przyrodniczych odczytują we „Wszechświecie“ jego artykuły o telefonii i stacjach telefonicznych a on tymczasem przyjmuje żywy udział w zjeździe lekarzy i przyrodników w Krakowie w 1881 r. i Pradze w 1882.

Pod koniec tego okresu D. rozpoczyna szereg samodzielnych a dokładnych badań nad zagęszczeniami optycznemi mieszanin wody i alkoholu, wykonywa je w pracowni uniwersytetu warszawskiego a Akademia umiejętności ogłasza w VIII tomie swego pa-

miętnika wr. 1833. W końcu drugiego okresu w r. 1881—2 udał się D. do Berlina gdzie w ciągu 9 miesięcy słuchał wykładu znakomitych uczonych jak Helmholtz i Kirhof, bądź też w pracowni pierwszego obznajmiał się z przyrządami dokonywał wiele prób z dziedziny fizyki molekularnej; tu prawdopodobnie rozpoczął owe nowe studyum nad przewodnictwem elektrycznym mieszaniny alkoholu i wody. O tej ostatniej pracy złożył tylko tymczasowe sprawozdanie drukowane we Wszechświecie w r. 1885.

Gdy mimo wszelkich wysiłków ujrzał, iż jeden z celów do jakich dążył w życiu—katedra uniwersytecka niemożliwym jest do osiągnięcia, z pewnym rozgoryczeniem opuścił mury uniwersyteckie i odtąd rozpoczyna się dlań okres trzeci, trwający lat siedem.

Przy nowo powstającym wydziale gazowym w magistracie D. otrzymuje miejsce inspektora, czuwa troskliwie nad wypełnieniem nowego kontraktu jaki z miastem zawarło towarzystwo desauskie, śledzi postępy jakie dokonały się w gazownictwie na zachodzie, urządza pracownią chemiko-fizyczną zastosowaną do badań gazu oświetlającego, ujmuje w pewien systemat jakość i ilość oświetlenia różnych części miasta a znajdując zawsze poparcie prezydenta, szybko zaprowadza reformy bez względu na krzywienie się strony interesowanej. Przy powstawaniu projektu uczczenia pamięci b. rektora Szkoły Głównej Mianowskiego, projektuje utworzenie muzeum i pracowni fizycznej, a gdy projekt ten się nie utrzymuje i powstaje w 1882 r. kasa zapomogi imienia Mianowskiego, Dziewulski dopiero we dwa lata staje się członkiem jej komitetu. Gdy w 1885 r. zakładano pracownię fizyczną przy muzeum dla przemysłu D. dawał rady, wskazówki, lecz zarządzającym pracownią jak chcą niektórzy z nekrologistów nie był nigdy, jak również nie był jednym z inicjatorów kasy.

Już to w ogóle zaznaczyć nam przychodzi, że w artykułach pism codziennych i tygodniowych natrafialiśmy na mnóstwo szczegółów niezgodnych z prawdą, pośpiech w kreśleniu był tego powodem. Nie twierdzimy, aby i w niniejszym studyum wszystkie wzmianki były bezwzględnie prawdziwemi, możemy tylko zapewnić, że co tylko można było sprawdzić z dowodami, lub z wiarogodnymi twierdzeniami osób bliskich ś. p. Eugeniuszowi, tośmy sumiennie dokonali.

Lecz wróćmy do obrazu z trzeciej epoki, pomimo oddaniu się ze zwykłą energią nieznanym sobie obowiązkom inspektora gazowego, D. niepochozny w ogóle do pióra, umieszcza wybornie nakreślone artykuły popularne o „świecie elektrycznym (1883 r.) o „energii (1884) i pracowni skreślone życiorysy: A. Prażmowskiego, (1885 r.) St. Przystańskiego (1887) Dr. Jana Jędrzejewicza i dr. Z. Wróblewskiego (1888). Po strasznym wypadku podczas podczas pożaru przy ulicy Freta, pisze artykuł w 1886 o sy-

gnałach pożarnych, w tymże roku umieszcza we Wszechświecie artykuły o „Wzmocnionej lampie gazowej i o lampie żarowej Auer'a. Aby skończyć z literacko-profesorskimi pracami zmarłego dodamy „Wstęp do wykładu o elektryczności“ drukowany w 1887 i „Świeca naftowa Chardora“ (1888).

Widocznie zatem w trzecim okresie począł pisywać więcej a to skutkiem nowych obowiązków i braku odpowiedniej fizykalnej pracowni. Pisanie, a raczej wypisywanie się przychodziło D. z trudnością, żywem słowem władał biegle, dosadnio a często i obrazowo i nie lękał się widoku publiczności, gdy jednak chciał wcielać swą myśl piórem, spostrzegał, że ono nie wyrażało tego co pragnął; poprawiał, dawał do przepisywania, znów zmieniał, a zawsze nie pozostawał zadowolonym z ostatecznego rezultatu piśmiennej pracy. Natomiast, gdy widział potrzebę zainterpelowania kogoś w naukowej sprawie, wyciągnięcia go na słowo, pobudzenia do ogłoszenia prac, chwycił za pióro i pisywał bardzo wiele, a tak to jakos czynić potrafił, że pokonywał najoporniejszych i teka redaktorska zapełnioną była. Ruchliwość D. w tym kierunku była nie do opisania i jęj to głównie zawdzięczyć należy powstanie u nas stacyi meteorologicznych w 1886 r. Bezpośrednim inicjatorem ich był ś. p. D. a chociaż sprawa urzędzeń stacyi i zawiadywanie stacyą centralną musiała się dostać komu innemu w udziale, tém nie mniej Dziewulski położył w niej najpoważniejsze zasługi. Tymczasem zarody ciężkiej, śmiertelnej choroby szybko rozpoczęły wzrastać wiosną r. b. Sądzone z początku, że to objawy silnej malaryi, która nie raz już lecz w mniejszym stopniu dręczyła dzielnego pracownika, zdawało się, że wyjazd w górskie okolice zbawiennie wpłynie na chorego; ten chwytając się podsuniętej myśli, wyjeżdża w połowie czerwca do ulubionego Zakopanego, niestety! aby tylko ujrzyć zdala sąsiedni Gewont i myślą podążyć ku jeziorom, które badał. Stan chorego staje się naraz groźniejszym, opiera się on jednak radom swego lekarza, aby wracał do Warszawy i dopiero powaga doktora Chałubińskiego skłania go do opuszczenia Zakopanego. W połowie sierpnia wraca do rodziny a rankiem 31 sierpnia rozstaje się z tym światem przeżywszy niespełna lat 47. Rak wątroby dokonał dzieła zniszczenia.

Pogrzeb śmiertelnych szczątków odbył się w d. 2 września przy udziale bardzo wielu osób z pośród świata uczonego, literackiego i redaktorskiego; na własnych barkach dźwigali trumnę przystrojoną we wspańiałe wience i starzy weterani nauki i towarzysze zmarłego i płonki przyszłości. Nad grobem stanął stały druh i współpracownik Bronisław Znatowicz i w krótkiej, ale serdecznej przemowie uczcił pamięć zmarłego. Tak mówić może tylko najszczerzy przyjaciel i prawy człowiek: „Żegnaj nam druhu

miły, wodzu przezorny i mężny. Jakżeś nas bardzo zasmucił odchodząc. Niechaj utuli cię na swém łonie ta matka, dla której byłeś synem jednym z najwierniejszych. Żegnaj raz jeszcze. Cześć i spokój twojej pamięci“.

A teraz przyzwijmy do słabo skreślonych przez nas obrazów życia i działalności ś. p. Dziewulskiego kilku znanych publicystów, aby nam objaśnili ten i ów szczegół. Możemy to uczynić bez wyboru prawie a dowiemy się od E. Jachowicza, że w osobie zmarłego „ubyl naszymu społeczeństwu człowiek wielkiej zacności, obywatel prawości nieskalanéj, kolega wylany dla kolegów, przyjaciel wierny dla druhów swéj myśli, dobry mąż i ojciec“. W. Korotyński dopowie nam, że tego co uczynił przedwcześnie zgasły, dla skierowania nauki polskiej na właściwą drogę, już by nawet Trentowski nie nazwał: chlebem niedopieczonym myślenia wydobywanym z pieca głowy naszéj“ zaś p. Straszewicz w Athaeneum dokończy „nie tylko sam chciał i umiał pracować, ale do stworzonych przez siebie ognisk potrafił przyciągać innych, potrafił przekonywać i wlewać w serca zapał własny. Równie ważnym, a wiele sympatyczniejszym tytułem do serdecznego wspomnienia i głębokiego żalu jest gorliwość Dziewulskiego w niesieniu pomocy każdemu, o kim zasłyszał, że pomocy potrzebuje a może pożytecznie pracować dla ogółu“. A od siebie dodamy kształceniem dzieci zajmował się bezpośrednio, przyjmował niekiedy udział w ich zabawach i figlach; skromnych wymagań dla siebie, był hojnym dla drugich, zżymał się i za zbytek uważał zalecone mu w ostatnich tygodniach szampańskie wino, ale nie rachował się z groszem, gdy szło o pomoc koledze o wsparcie krewnego, lub o zareprezentowanie, poza obrębem kongresówki, swojskiej nauki lub uczonego rodaka.

Oto tytuły do hołdów pośmiertnych, oto prawa do ziemskiej nieśmiertelności.

Naukową spuściznę po Dziewulskim ocenił w Nr. 36 Wszechświata p. Stanisław Kramsztyk w słowach „nie imponują ilością, ale zalecają się dokładnością i ścisłością. Już pierwsza jego praca o przenoszeniu cieczy i cząstek ciał stałych w nich zawieszonych pod wpływem strumieni elektrycznych (Pam. Tow. Lek. War. tom 63) świadczy korzystnie o bystrości obserwacji autora i o umiejętności wysnuwania wniosków z doświadczeń“. Rozprawa p. t. „Zagęszczenia optyczne mieszanin wody i alkoholu“ (Pam. Ak. Um. w Krakowie r. 1883) jest wynikiem starannych i dokładnych badań doświadczalnych. Sprawozdanie o przewodnictwie elektrycznym mieszanin alkoholu i wody było pomieszczone w IV tomie Wszechświata, rezultaty dostrzeżeń magnetycznych ogłosił w Wędrowcu w 1874 oraz w II tomie Pamiętnika Fizyograficznego.

Wyniki uciążliwych badań i pomiarów jezior tatrzańskich są podane w szeregu rozpraw:

Rybie jezioro w Tatrach polskich (Pam. Tow. Tatrzańskiego t. IV). Morskie oko powyżej rybiego jeziora (tamże t. V). Pięć stawów w dolinie Rostoki (Pam. fiz. t. I) czarny Staw Gąsienicowy pod Kościelcem (tamże t. II). „Są to jedyne opisy naukowe tych słynnych zbiorowisk wód górskich, których sławę szerzyli dotąd tylko poeci i turyści. W podobny sposób zbadał i opisał jeziora Rypińskie (Pam Fizyj. t. I). W monografiach jezior zstawił D. doskonałe wskazówki dla wszystkich którzyby w ślady jego idąc, do zbadania hydrografii krajowej przyłożyć się chcieli“.

18 Września 1889.

Z WYSTAWY PARYZKIEJ.

V *).

Etnografia.— Dział wystawy ministerstwa wojny i marynarki. — Napoleon I i pamiątki jego epoki.—Dział higieniczny.—Dział ekonomii społecznej: „Magasin bon marché“, „Cercle ouvrier“, Tow. Czerwonego krzyża. — Zagraniczny dział sztuk pięknych, mianowicie malarstwa angielskiego, Stanów Zjednoczonych Am. p., skandynawskiego (Szwecya, Norwegia, Dania) holenderskiego, belgijskiego, szwajcarskiego, niemieckiego, węgierskiego, czeskiego, rosyjskiego, polskiego, greckiego, włoskiego, hiszpańskiego, rumuńskiego.

Francya upokorzona skutkiem ostatniej wojny, obcięta od strony Wogezów, pozbawiona dwóch pierwszorzędných fortec Strasburga i Metz, pragnęła tegoroczną wystawą dać poznać światu, że mimo klęsk poniesionych, nie upadła jeszcze tak nisko, jak ją o to pomawiają nienawistni sąsiedzi. Nie dość jej było na tém, że w dziełach przemysłu prześcignęła wytwornym smakiem współzawodniczące z nią ludy, że na polu sztuk pięknych zostawiła wszystkie za sobą; pamiętała ona dobrze, co jej zresztą przypominano, że sztuka i literatura nie uchroniły Grecyi od upadku, że w obec pysznych pomników Romy, nie wypadły tarany z rąk barbarzyńskich Gotów i Wandalów. Pragnęła też Francya błysnąć przed oczy ludom innymi dowodami żywotnej siły swojej. Ukazała im bogate kolonie, rozrzucone po czterech częściach kuli ziemskiej, ukazała im również kraje, nad któremi w ostatnich czasach rozciągnęła cywilizacyjny protektorat. Z szczególném też staraniem urządziła, na esplanadzie Inwalidów wystawę wszystkich zamorskich posiadłości. Nie poprzestając na zbudowaniu arabskich pałaców, godnych czarodziejstw Alladyna, i owych pysznych pagod, których cuda znały tylko milczące sfinksy Indo-chińskiej pustyni, nie poprzestając, mówię na tém, aby ożywić te pałace i pagody, zgromadziła z Afryki całe chmary algerskich arabów i kabyłów, całe roje maurów tunezyjskich, negrów

*) Ciąg dalszy.—Patrz zeszyt za m. wrzesień r. b.

z Gabonu, z Kongo i Senegalu; z Azyi powołała tłumy żółto skórych tubylców Anamu, Kambodży i Kochinchiny. z Ameryki kreolów, osiadłych na Antylach, z Oceanii kanaków kaledońskich. Chcąc pokazać życie tylu rozmaitych plemion, zbudowała całe ich wioski. Wszystko to w dziwny sposób ożywiło wystawę tegoroczną i wycisnęło na nią etnograficzną pieczęć.

Pospieszmy zatem na esplanadę Inwalidów. Z pola Marsowego, pociąg parowy za pociągiem przewozi tu nieprzeliczone tłumy. Kolej wazka opiera się prawie o rozłożyste drzewa, tworzące piękną aleję na wybrzeżu Sekwany. Wagony otwarte po bokach, biada temu kto by wyciągnął rękę albo wychylił głowę. Aby uchronić od wypadków, pomieszczono wzdłuż drogi tysiące tablic, jedna dotyka drugiej. Na każdej napis wielkimi literami ostrzega o niebezpieczeństwie. Oprócz francuzkich, są tu napisy hiszpańskie, włoskie, rumuńskie, angielskie, rosyjskie, szwedzkie, holenderskie, greckie, arabskie, chińskie i japońskie, nie ma tylko niemieckich ani polskich. Brak pierwszych, pokazuje brak taktu ze strony Francyi, lecz jak wytłumaczyć brak drugich, czy zupełnym zapomnieniem, że istnieją polacy, czy przekonaniem, że wszyscy umieją po francuzku.

Pociąg staje, ruszamy za tłumem. Szeroka aleja, wysadzona drzewami, prowadzi od rzeki do gmachu Inwalidów. Po prawej stronie Francya, pysznym gmachem, z bramą najeżoną basztami, długim rzędem namiotów i pontonów pokazuje historią militaryzmu swego, po lewej stronie błyszczą Azya i Afryka, przedstawia je obie szereg jaskrawych pałaców, minaretów i pagod, a bardziej jeszcze rojowisko różnoplemiennych ludów. Tu smagły arab owinięty białym burnusem, tam tunezyjczyk w turbanie czerwonym, w westce błękitnej a z nogami bosemi. Dalej chmara młodych anamitów w kapeluszach nakształt parasola, z twarzą bladą, żółtą, oczyma ukośnemi, w szafirowych bluzach, szamerowanych pletnią ognistą, w jakieś kabalistyczne godła, stoi przy wózkach, gotowa do posługi zmordowanym przechodniom. Wśród tłumu dwaj czarni jak heban abisyńscy, strojni w czerwony kaftan i szerokie szarawary, rozprawiają coś z sobą. polyskując białkiem oka i rzędem białych zębów. Przed każdym pałacem i pawilonem, czuwa na straży zbrojny oddział odpowiedniego plemienia: tu cypoje z Chandernagoru, tam czarni spahizy z Senegalu. Nad straganami siedzą murzynki z Gwadelupy, sprzedają kokosy, figi, banany i konfekta, jakich nazwać nawet nie umiemy. Jednym słowem tak etnograf jak i lingwista, ma tu obszerne pole do naukowych badań, a tłum nie mniejsze pole do podziwu.

Ale czas nam rozpocząć choćby pobieżny przegląd tych egzotycznych pałaców i pagod, które w ciągu roku wyrosły jakby cudem z pod ziemi, a z których za kilka tygodni nie będzie już śladu na esplanadzie. Szereg ich rozpoczyna okazały pałac algierski.

Najznakomitsza z kolonii francuzkich, wystąpiła z nieporównanym blaskiem, pełną ręką rzuciła w oczy światu bajeczne skurby,

mnożące się w miarę coraz to liczniej napływających z Europy osadników. Budową pałacu kierował uczony archeolog Ballu, zebrał on wzory ze słynnych w Algierze meczetów i alkazarów, stworzył z nich pełną różnorodności a dziwnie harmonijną całość. Biały ten pałac z wysokim minaretem, ślicznie odbija w pośród zielonych palm, kaktusów i olbrzymich aloesów, wieńczących go od frontu. Maurytańska brama, wyłożona błękitną ceramiką prowadzi nas do wielkiej sieni. Sama ta sień, oświetlona z góry, przybrana lekką balustradą, wiernym jest powtórzeniem słynnego meczetu Abd-el-Ramana. W pośrodku rosnąca liście wielka, zielona palma, pod cieniem jej Algerya wykuta z marmuru, w postawie bajecznej pomony, w prawej ręce trzyma winograd, w lewej wiązkę pomarańcy i daktyłów. Po rogach sieni kłaby z palm rozpościerają szeroko swe wachlarze.

Ztąd galeria oświetlona szeregiem różnokolorowych okien, wprowadza do trzech sal, ozdobionych z orientálną wytwornością. Trzy prowincje Oran, Algier i Konstantyna wystawiają w nich swoje płody. Wyliczyć wszystkich niepodobna, widzimy tu kolumny z białoróżowego marmuru, jakiego góry atlas dostarczały niegdyś swym rzymskim władzcom, na pyszne pałace i świątynie, widzimy całą faunę miejscową, poczynawszy od lwów i tygrysów, do antylop z długim połyskującym włosem, widzimy najpiękniejsze ziarna i owoce, miękkie jedwabie i pajęczne włókna, przepyszne kobierce i makaty, siodła i rzędy haftowane złotem, jaja i pióra strusiów starannie hodowanych. Wszystko to znaleźmy już z poprzednich wystaw, ale w czym się objawia prawdziwy rozkwit kraju, to w sztucznych oazach, urządzonych na pustyni, dzięki umiejętnemu nawodnieniu, to w ogromnych plantacjach palm daktylowych, na bezpłodnej dotąd Saharze, a nakoniec w nowo pozakładanych winnicach, z których wino wystawione w tysiącach butelek, stanowi dziś najważniejszą gałąź handlu.

Na szczególną uwagę zasługuje galeria obrazów, pomieszczona w osobnej sali. Są to utwory francuzkich malarzy; osiadłych, w słonecznym Algierze. Wszystko tu naznaczone miejscowym piętnem, i ciepłe krajobrazy, i typowe postacie z cerą ogorzalą, i sceny z życia tak narodów arabskich, jak kabyłów, przyrosłych do strzechy domów. Wyborny obraz przedstawia szkołę; dziatwa algierska, ubrana po wschodniemu, w czerwonych fezikach, rozsiadła się malowniczo na ziemi, każdy chłopiec trzyma tabliczkę w ręku. Na pierwszym planie siedzi stary arab, w turbanie białym, obwinięty białym burnusem na czerwonej sukni z brunatną cerą i brodą posiwiałą, przewrócił grzbietem do ziemi małego swawolnika, podniósł mu nogi w górę, zamierzył pręcik, snać gotów ochłostać mu pięty. Chłopiec płacze, towarzysze widocznie przerażeni.

W kilku witrynach zebrano tu monety i różne starożytne zabytki z rzymskich czasów, i dawniejsze narzędzia z epoki kamiennéj i brązowéj.

Długa zewnętrzna galeria, ciągnie się od pałacu; w niej złotni-

cy, tkacze i różni przemysłowcy wyrabiają swój towar—inni sprzedają go przechodniom.

W głębi po za pałacem algierskim, uderzają naprzód w oczy namioty arabskich koczowników z Sahary, w jaskrawe pasy czarne i czerwone, dalej widać jakąś szarą budowlę, z gołębnikiem na wierzchu, drzwi otwarte, wchodzimy. Przed nami szeroki plac, a w koło budy ulepione z ziemi, posyite suchą trawą. To wioska algierskich kabyłów. Każda chata podzielona na dwie izby, w pierwszej rozrzucone warsztaty tkackie i narzędzia do pracy, na sznurach rozwieszona odzież. Tędy przechodzi wieczorem cały dobytek: owce, psy, osły i muły, do stajenki złączonej w tyle z chatą. Druga izba służy za sypialnię, jedynym tu sprzętem szerokie ławy, jedyną pościelą słomianki i rogoże. Dwie rodziny i sześciu robotników, to cała ludność wystawionej wioski. Mężczyźni noszą długi biały burnus i czerwoną czapkę na głowie, kobiety spódnice obcisniętą szerokim pasem z długimi końcami, głowę obwiązują fularem. Chodzą zazwyczaj bosy, ale na rękę i nogach dzwonią im jakieś srebrne obrożki, w uszach kolczyki srebrne.

Przed chatą siedzi skulona gromadka dzieci, wyciąga do przechodniów miseczkę, wołając *b a k c z y s z, b a k c z y s z*, na rozmaite tony. W izbie kobiety tkają wełnę w pierwotnych krosnach, mężczyźni wyrzynają figurki z drzewa, kowale kują żelazo, każdy pracuje jak kto może.

Etnografowie widzą w kabyłach gałąź aryjskiego plemienia, zabłąkaną na północne wybrzeża Afryki. Nic też wspólnego niema kabył z koczownikiem arabskim. Podczas gdy arab gotów zawsze na wojenne przygody, dręczy bez litości kobietę, obciąża ją pracą nad siły, sam zaś pędzi życie próżniacze, kabył pracuje w krwawym pocie czoła, zamięłowany w życiu rodzinném, kocha dzieci i żonę. O ile arab lubi popisywać się strojem i butną postawą górować nad innymi, o tyle kabył gardzi zbytkiem, nie wstydzi się dziurawego burnusa, nie pochyli głowy przed bogatym, ale w biednym żebraku uszanuje równego sobie.

Dwa namioty arabskie w odmiennym świetle przedstawiają życie koczowniczych Beduinów. Zajęły je dwie rodziny, każda mniej więcej składa się z dziesięciu osób. Przed jednym namiotem siedzi kilku arabów, palą fajki, dumnym okiem patrzą na przechodzące tłumy. Gromadka dzieci płąsa na dworze. Pod namiotem smutniejszy obraz: tam kobieta mozoli się bez chwili spoczynku, pierze, gotuje, przędzie wełnę, tka w krosnach, karmi dziatki, i nigdy piosenka nie wybieży z jej skołatanej piersi, zaniedbana w odzieży, przegnębiona pracą, znieważana codziennie, żyje z dnia na dzień bez promyka nadziei, bez uśmiechu na ustach, biedna czuje się przykuta do życia jakąś fatalną siłą.

Ale wróćmy do głównej ulicy. Za pałacem algierskim, błyszczą niemniej wspaniały pałac tunezyjski. Zbudował go młody architekt, nazwiskiem Saladyn, kto wie czy nie potomek Saracenów, tak przynajmniej wnosić można z jego rozmiłowania w architekturze maurytańskiej. Każda część budowy wierną jest reprodukcją jakiegoś słynnego pałacu lub meczetu rozwalonego w gruzy. Werendy i muszarabie, które tu widzimy, wydarte z odwiecznych domów tunezyjskich. Wśród dziedzińca, wyłożonego mozaiką, otoczonego leciuchną kolumnadą, wytryska fontanna, przybrana wieńcem palm zielonych. Prześliczny salonik Beja, zdobny w arabeski i wschodnie draperye, wyłożony pysznym kobiercem, z mięką sofą w pośrodku, przypomina, że Tunis posiada jeszcze nominalnego władzcę, wystawa bowiem cała urządzona staraniem protektoratu francuzkiego, ma głównie na celu pokazać dobroczynne owoce tój opieki. Widzimy je w wystawionych płodach rolniczych, w rozwieszonych dokoła planach, fotografiach i tablicach, świadczących o czynności administracyi francuzkiej.

Z tych wszystkich objawów odrodzenia w kraju, gdzie powódź muzułmańska zatarła ślady stóp Annibalów i Scypionów, z tych wszystkich objawów, powtarzamy, jeden w cudowném świetle przedstawił się tu oczom i myśli naszej. I któż nie zgadnie, że mówimy o apostołskich pracach kardynała Lavigerie, arcybiskupa Algieru, biskupa Kartaginy.

W chwili, kiedy Bej, mocą traktatu przyjął protektorat Francyi, katolicy mieli w Tunizyi, kilka ledwie kapliczek. I otóż w przeciągu dwóch miesięcy kardynał wybudował tu kościół, a w ciągu dwóch lat szpitale, kaplice i szkoły wyrastały niby z pod ziemi, na głos tego nowego Piotra pustelnika. Założone jego staraniem kolegium S-o Karola, wychowuje trzystu uczniów, bez różnicy religii i narodowego pochodzenia. Instytucya ta zapełniła osobną wityrnę okazami swój niezmordowanej działalności.

Pod wpływem pocieszającej myśli, opuściliśmy pałac, a oto wpadamy w najgwarliwszy jarmark, istne rojowisko pszczół. To bazar tunezyjski, Arabcy, negry, żydzi, chwytają przechodniów, każdy zachwala swój towar, ten furkocze w uszy wachlarzem, tamten błyska w oczy bransoletką lub broszą, inny zaleca wyroby z konchy i kości słoniowej, safiany i tkanki wschodnie. Do tego gwaru dodajmy mdły zapach olejku różanego, pomięszany z wonią smażonych w pobliżu przysmaków, z dźwiękiem minorowej muzyki, dobiegającej z kawiarni, gdzie siedm tancerek tunezyjskich wyprawia jakieś automatyczne płasy. Widzieliśmy podobne w ulicy Kairu, poprzestaśmy więc na tém.

Idziemy dalej, aż tu z boku dobiega jakiś straszliwy krzyk: dzwonki brzęczą, bęben przybija na gwałt.

— Co to jest? pytamy konstabla.

— To teatr anamicki, odpowie nam, w tej chwili rozpoczęło się widowisko.

Trzebaż nam to zobaczyć. Posuwamy się za tłumem, po chwili spostrzegamy jakiś szalet w stylu chińskim, pociągnięty żółtą farbą, na frontonie wiją się czerwone smoki z paszczą szeroko rozwartą. Wchodzimy we drzwi, siadamy na przeciw estrady. Po lewej ręce orkiestra bosa wygrywa jakąś dziwną melodyą, jeden uderza pałeczkami w cymbałki, drugi potrząsa tamburynem, trzeci dmie w trąbkę, czwarty pociąga smyczkiem po strunach szczególnego instrumentu. Po prawej ręce piąty bije pałką w ogromny kocioł. Na estradzie tymczasem jakieś czupiradło w potwornej masce, wydobywa z gardła piskliwe tony. Snać mężczyzna przebrany w czerwoną spódnicę przedrzeźnia głos niewieści. Nie ma wcale kobiet w teatrze anamickim. Druga postać niemniej dziwna, w dolmanie kwiecistym, rozprawia z pierwszą basem, z pod maski długie wąsy spadają aż do pasa. Czego chcą, czemu krzyczą, trudno wiedzieć: sprawa toczy się podobno między korsarzem, a uprowadzoną branką, rzecz wzięta z odwiecznej tradycyi. Liczna a niemniej hałaśliwa drużyna zapelnia w końcu scenę.

Ogłuszeni wchodzimy do poblizkiego pawilonu anamitów, zbudowanego w stylu chińskim, na wzór słynnej pagody w Tonkinie. Teatr anamicki dał nam najgorsze wyobrażenie o estetycznych pojęciach tego ludu. Wszystko co tu widzimy przedstawia się inaczej. Snać rozmaite gałęzie sztuki, nie tak ściśle złączone z sobą jak nam się wydawało. Ciż anamici, tak rozmiłowani w swym barbarzyńskim teatrze, umieją artystycznie inkrustować drzewo figurkami z konchy, wytwornie wymodelowanemi. Dość powiedzieć, że wystawione tu szafy ocenione po dwa tysiące franków, małe skrzyneczki po ośmset. Ściany ozdobione też w koło oryginalną ceramiką.

Główną osobliwość wystawy anamickiej, stanowi ogromny Buda, umieszczony pod baldachimem. Ten spiżowy olbrzym w siedzącej postawie, zajmuje ośm metrów szerokości. Francuzka armia uwiozła go z twierdzy Hanoi, gdy ją zdobyła szturmem. W oczach anamitów, posąg ten przedstawiał od wieków opiekuńcze bóstwo, wzbraniające ludom obcym przystępu do ich ziemi. Potęga jego nie odparła przecież Francuzów.

Za pałacem Tonkinu i Anamu, bije w oczy inny, nierównie większy i ozdobniejszy, pałac centralny kolonii francuzkich. Jest to osobliwość w swoim rodzaju. Dumna z zamorskich posiadłości swoich Francya chciała, jak mówiliśmy wyżej, blaskiem ich zaimponować światu. Zebrała też razem wszystko, co w nich błyszczy, co szczególnie wyciska na nich piętno. Jak niegdyś patriarchy Noe zabrał do arki po parę zwierząt wszelkiego rodzaju, tak dziś metropolia Francuzka, zgromadziła charakterystyczne okazy kolonii, rozrzuconych po kuli ziemskiej. W budowie gmachu widoczny eklektyzm. Tu ciężka kopuła uwydatnia Indye, tam wieżyczka wsparta

na lekkich słupkach, z daszkiem nakształt parasola, przenosi nas do Kochinchiny, okrągłe łuki arabskie przypominają Algier. Azja przemaga jednak nad Afryką jaskrawo czerwonym kolorytem. Ale wnijdźmy do wnętrza. Przy samym wstępie uderza w oczy ogromna piramida, złożona z kilkudziesięciu posągów Budy i innych bożyszcz mniej lub więcej potwornych. Największy siedzi skulony u podnóża, z rękoma złożonemi do modlitwy, dwadzieścia innych rąk wyrasta mu od ramion. Inny ma głowę słonia z trąbą spadającą do kolan, innemu z czoła wyrastają ogromne rogi. Te bożyszcza, nagromadzone tu razem, ze wszystkich świata krańczyn, przypominają starożytny Panteon rzymski.

Wnętrze pałacu dzieli się na odrębne pawilony, każdy z nich osobna zajmuje kolonia. Jesteśmy nasamprzód w owych Indjach, w których posiadaniu Francya pozwoliła ubiedz się Anglii, zachowawszy mały kęs ziemi nad Gangesem.

Tu na ścianach rozwieszono pyszne kobierce i złotolite makaty z Chaudernagru, kaszmiry z Pondiszery. Z witryn bucha aromat myrry i benzoesu, połączony z gryzącą wonią pieprzu, ziół i balsamów aptecznych.

W dziale senegalskim biją w oczy ogromne kły słoniów i hipopotamów, lwie i tygrysie skóry, złote i ceramiczne wyroby. Podobne do tych płody Gabonu i nowo przez Brazję zdobytych, posiadłości nad Kongo. Martynika przynosi wielką obfitość kawy i trzciny cukrowej, nowa Kaledonia bryły złota, srebra i innych kruszców; wyspa Reunion wielką moc wanilii. Madagaskar ziarna i drogiecenne włókna swoje. W obec tych ostatnich płodów, stanęła nam w myśli postać naszego konfederata Beniowskiego, który przed stu laty opanował dla Francyi tę wyspę, tak niebacznie przez nią z rąk wypuszczoną, a której mała zaledwie częśćka powróciła dziś do niej.

Zgromadzono w pałacu centralnym, mnóstwo okazów flory i fauny z czterech stron kuli ziemskiej. Widzimy tu ogromne gorylle i węże pytony, z jaskrawo centkowaną skórą. Nieznane kwiaty i liście zapełniają zielniki, oręże mniej więcej barbarzyńskich tubylców, ułożone w trofea, pokrywają ściany obok licznych obrazów, i chromolitografii. Z pomiędzy manekinów dwa szczególniej ściągają uwagę, wódz kanaków w ryszunku wojennym i czarny senegalczyk, tkający płótno w krosnach.

Przy każdym dziale wystawione okazy szkolne świadczą o usiłowaniach, podjętych w kierunku wychowania publicznego. Dpomaga tu dzielnie, zawiązane świeżo w Paryżu towarzystwo Alliance Française, zajmujące się propagandą języka francuzkiego w koloniach i w ogólności zagranicą, gdziekolwiek sięgnął wpływ Francyi.

W wielkiej ulicy za pałacem centralnym wznosi się pałac Kochinchiński. Jest to wielka pagoda. Według miejscowego zwyczaju, część jej tylko przeznaczona na obrzędy religijne, większa

część na publiczne zebrania. Kształt budowy przypomina chińską architekturę. Na szczycie wysokiego dachu ciągnie się fryza, długa na dwadzieścia metrów, wysoka cztery metry, złożona z mnóstwa wyrzeźbionych figurek, czerwonych, złotych i błękitnych, ze smoków, antylop i innych emblematów. Fryza ta fajansowa wykonana była w Sajgunie, równie jak wszystkie części pagody, wyrzeźbione z drzewa, sprowadzone tu i ułożone w całości. Budynek czworoboczny, składa się z czterech galeryi i z wewnętrznego dziedzińca, a raczej sali pod gołem niebem. W pośrodku mała sadzaweczka, do koła niej smoki i palmy w porcelanowych wazonach. Galerye, pokryte malowidłem, obejmują płody, podobne do chińskich: jedna galerya w głębi, pełna dziwacznych posągów, jest miejscem poświęconem modlitwie.

Tę kochinchińską pagodę przytłacza ogromem swoim inna, pomieszczona tuż obok, przedstawiająca Cambodżią i jej odwieczną cywilizacją. Mówimy tu o pagodzie Angor-Wat, z ogromną wieżą, wysokości czterdziestu metrów. Gmach ten odbudowany wiernie, według szczątków starożytniej świątyni, przedstawia tylko jej przedsionek, całość bowiem gmachu, zajmowała 1300 metrów długością 800 szerokości. Plac Inwalidów nie mógłby jej pomieścić. — Przed trzydziestu laty, ów pomnik zagrzebany był wśród pustych lasów, odkrył go dopiero francuzki przyrodnik Monhot i wskazał go archeologom jako przedmiot godny najściślejszych badań.

Piramidalny dach składa się z siedmiu kondygnacji, na każdej rzeźbione inne sceny, walki konnych i pieszych zapaśników. Symboliczne rzeźby — pokrywają cały fronton, oplata je olbrzymi wąż o siedmiu strasznych głowach. Z pośrodku dachu wyrasta w górę wieża, w kształcie olbrzymiej infuły, cała pokryta rzeźbą i setkami szkarłatnych języków.

Wchodzimy do pagody po kilku wschodach, wśród lwów z rozwartą paszczą. Na ścianach wewnętrznych pomalowany szereg płaszczyk bajaderek. Wszystko, na czem spocznie oko nasze, tak oręże jak narzędzia muzyczne, palankiny i sprzęty, są tu zabytkiem odwiecznej cywilizacji kmersów, nad której objaśnieniem pracują dziś pilnie starożytnicy.

Za pagodą Angor-Wat, zamożny kolonista francuzki, od lat kilku osiadł w Tonkinie, wybudował wioskę a raczej rzemieślniczą osadę anamiczną. Wyobraźmy sobie czworobok, ogrodzony parkanem bambusowym, w koło ciągną się domki, wsparte na słupkach, oplecione trzciną, pokryte suchą trawą i liśćmi bambusów. Pierwszy dom na lewo, większy i ozdobniejszy w guście chińskim, przeznaczony dla bonzów, którzy odprawiają nabożeństwo w swój pagodzie.

W innych domkach pracują anamici, każdy uprawia swe rzemiosło. Jeden wyrzyna zgrabne ramki w arabeski i liście, drugi inkrustuje drzewo konchą perłową, wyciętą w kształcie figurki, ptaszki lub zwierzątko, trzeci wyrabia bębenki i różne narzędzia mu-

zyczne, inny haftuje makaty na suknie lub materyi. Dalej złotnik fabrykuje szpilki, sprzączki i drobne świecidełka, tkacz w krosnach, złożonych z prostej ramy, wyrabia wzorzysty adamaszek, słowem widzimy tu wszelki prosty materiał, drzewo i kość słoniową, jedwab i wełnę, stal i złoto, przeistoczone w oczach naszych na przedmiot potrzeby albo zbytku. Przy wuijściu na przeciw domu bonzów, jest inny obszerniejszy od zwykłych, mieszka w nim lekarz, sprowadzony z Tonkinu. Z niemałym podziwem patrzymy na tak niezaprzeczone dowody cywilizacyi. Trudno nam tylko zharmonizować to wszystko z barbarzyńskim teatrem anamitów.

Z pomiędzy kilku wiosek afrykańskich, mniej więcej podobnych do siebie, zajęła nas szczególnie wioska czarnych Pahoninów z nad Congo. Szalały w niej ubogie, uplecione z liści palmowych, osiedleni tu negry wyrabiają zrzecznie drobnostki z kości słoniowej. Sprowadził ich słynny podróżnik Savornian Brazza, który nie orężem, ale słodkiem obejściem i namową zniewolił tubylców w odkrytym przez siebie kraju i zdobył dla Francyi znaczną posiadłość w Afryce środkowej. Mianowany zarządcą nowej kolonii, przywiązał się szczerze do swych murzynów i pozyskał wzajemną ich miłość. Uradowani z przybycia do Paryża, na ręce komendanta swego, pisują negry listy do krewnych, opowiadają doznane tu wrażenia. Ogłoszono kilka tych listów pełnych naiwnej prostoty.

„Powiedz tym, co nas chcieli zatrzymać w domu, pisze jeden, że mimo złych przepowiedni, podróż nasza odbyła się wybornie. Zaden z nas nie chorował. a tu nam wszystkim dobrze. Jadamy co dzień mięso. A niech Mbico wybuduje mi dużą chatę, żebym ją zastał jak powrócę. Zapłacę ją moim towarem. bo tu zarobię nie mało“.

„Jesteśmy w Paryżu, pisze drugi. W tém mieście tak wielka moc ludzi, że biali ściśnięci w niém istnie jak kłosa kukurydzy na polu. Pan Brazza jest tutaj z nami. A powiedzcie tam wszystkim, że jak powrócimy, to będzie tyle rzeczy do mówienia o tém, co się widziało, iż nie mało ubiegnie miesięcy nim dojdziemy do końca“.

Francya chlubi się kolonią swoją nad Congo, zdobytą bez krwi rozlewu, słusznie też chlubi się kanakami z Oceanii, którzy pod wpływem jęj, z dzikich ludożerców, stali się ludem łagodnym i spokojnym. Widzimy na wystawie ich wioskę, złożoną z pięciu szop, w kształcie wysokich stogów siana, ogrodzoną płotem bambusowym. U wrót stoją jakby na straży dwa posągi, zwane Toboons, wyciosane z drzewa, pomalowane czarną i czerwoną farbą. Wyobraźmy sobie głowę straszna, na klocu zaledwie ociosanym, oczy wązkie, długie, nos płaski zajmuje całą szerokość twarzy, z grubych ust wychodzi czerwony język. Na każdym dachu, sterczy podobny dziwołag, są to widocznie jakieś opiekuńcze bożyszcza. W pośrodku wioski, zatknięty na placu wysoki maszt, a na nim głowa potworniejsza od wszystkich z ogromnym nosem i długimi kudłami, przybrana pękiem piór

czerwonych. Tę głowę zanoszą kanaki wrogim ludom, znaczy to wypowiedzenie wojny.

We wnętrzu chaty wielki słup podtrzymuje dach posyty liśćmi trzciny. Wokoło tego słupa, przybita broń, proce, strzały, maczugi i t. p.

Ludność wioski składa się z siedmiu mężczyzn i trzech kobiet, przewodzi nad nimi wielki wódz, ma przy sobie nieodłącznego czarownika, który jak mówią sprowadza deszcz lub słońce.

Odzież mężczyzn ogranicza się zwykle na chustce czerwonej, okręconej w koło głowy, z pękiem piór zatkniętym na wierzchu: kobiety okręcają się tylko pasem utkany z trawy miejscowej. Tu włożono na wszystkich odzież uropejską, rodzaj bluz, w których bardzo im niedogodnie. Twarz mężczyzn z rozdętem nozdrzem, kędzierzawą czupryną i bujnym zarostem, wcale nie estetyczna, rozjaśnia ją tylko błyszczące oko. W ogólności kobiety nierównie dorodniejsze.

Oprócz tych wiosek, pokazujących różnoplemienną ludność kolonii francuzkich, obszerną przestrzeń zajmuje tu wieś, zaludniona przez tubylców z wyspy Jawy, posiadłości holenderskiej. Urządzeniem jej i sprowadzeniem mieszkańców w liczbie sześćdziesięciu, zajął się Francuz Bernard, osiadły od lat kilkunastu na Jawie. Ograda wieś ładny parkan z trzciny bambusowej. Wchodzimy przez bramę, przystrojoną w górze pękami liści palmowych, po bokach zaś wieżyczkami w białe i czerwone pasy, z daszkiem chińskim w formie parasola. Kilkanaście palm przedstawia miejscową roślinność, pod cieniem ich rozrzucone domki, wszystkie z bambusu, różnią się kształtem między sobą. Niektóre zbudowane na wysokich palikach, wchodzi się do nich po drabinie. Takie budują zwykle nad rzekami: wysokość ich zabezpiecza od powodzi.

Zwykła chata składa się z izby i werendy. W izbie ziemia wysłana rogożą — całym tu sprzętem ławki lub stołki bambusowe. Pod werendą pracują mężczyźni i kobiety, po większej części plotą kapelusze z włókien palmowych; pod jedną, kobieta skrupiona na ziemi, maluje na rozwieszonym perkału jakieś smoki z rozwartą paszczą, fantastyczne liście i owady. W innej chacie stara kobieta gotuje ryż przy ogniu.

Ludność Jawy mieszana, przeważa tu jednak typ mongolski, widać to z żółtej cery, rysów płaskich, i oczu osadzonych ukośno. Mężczyźni obwiązują głowy chustką na kształt turbanu; noszą krótkie spodnice i kaftany. Ubiór kobiet odróżnia się żywym kolorem i świecidłami.

W głębi widać dom obszerniejszy, obwieszony w chorągwie, nazywa się Pandoppe. Mieszkają w nim cztery bajaderki z haremu sultana. Te na wielkiej estradzie po kilka razy dziennie, wyprawiają tańce przed oczyma cisnącego się tłumu. Przygrywa im dziwna orkiestra, złożona z instrumentów, których ani nazwać ani

określić nie możemy. Jest to coś nakształt cymbałków i długa trąba i małe tamburyno, wszystko to razem tworzy jakąś smętną melodyą. Tańce bajaderek zarówno smętne i poważne. Dwie mają na głowie złociste kaski, dwie uwieńczone w diademy z piór czarnych, brwi ich i rzęsy silnie pocernione, usta zabarwione czerwoną, świecą jak koral nad rzędem czarnych zębów, którym snać betel nadaje hebanowy kolor. Długa suknia ich, przerabiana w wielkie kwiaty, zachodzi pod szyję; ręce obnażone do ramion malują szafranem, zdobią mnóstwem bransolet; od pasa aż do ziemi spadają lekkie szarfy. Spokojny ich taniec a raczej powolne dreptanie, wcale nie utrudza nóg, ręce za to w ciągłej są ewolucyi. To podrzucają szarfy, to znów do taktu z muzyką wykręcają się na rozmaity sposób. Widoczny to szczytek igrzysk religijnych, podobne ruchy wyprawiają bonzowie przed ołtarzem. Najstarsza tancerka ma lat szesnaście—najmłodsza zaledwie rok dwunasty.

Kolonie francuzkie, przedstawione długim szeregiem pagod i minaretów, a żywotniej jeszcze rojowiskiem różnoplemiennych ludów, zapełniają z lewej strony połowę esplanady, drugą zajęła metropolia. U wniścia od rzeki, naprzeciw pałacu algierskiego, dwa ministerstwa, w o j n y i m a r y n a r k i, u r z ą d z i ły w y s t a w ę s w o j ę, w ogromnym gmachu na ten cel zbudowanym. Kiedy w roku zeszłym rząd przeznaczył na to 800,000 franków, dzienniki wykrzyknęły chórem: „Godziż się rzucać przed oczy wrogom, strategiczne pomysły nasze?“ Mimo tych protestacyi, urządzono wystawę pełną blasku, imponującą ogromem i liczbą nagromadzonych przedmiotów, lecz ukryto starannie wszystko, co ukryć należało. Kartusze i karabiny systematu Lebela, nie zajęły tu miejsca, jak gdyby nie istniały.

Dwie bramy prowadzą w głąb dziedzińca, jedna z tych bram warowna, najeżona basztami. W dziedzińcu pełno namiotów, ambulansów, dział obłężniczych ogromnego kalibru i t. p.

Wchodzimy do pałacu. W rozległej sieni z obu stron monumentalnych wschodów, stoją niby na straży dwaj konni rycerze, w stalowych pancerzach, ze spuszczoną przyłbicą, z oszczepem do góry podniesionym. Przechodzimy na dole długi szereg sal i galerii. Na ścianach rozwieszone mapy, na ogromnych stołach leżą plany fortec, wykonane wypuklorzeźbą, w witrynach świeci tysiące matematycznych narzędzi, wszystko to nadzwyczaj ważne dla specjalistów, do nas przemawia tylko liczbą.

Pierwsze piętro nierównie ciekawsze dla profanów. Mamy tu w okazach całą historią rycerskiego rzemiosła we Francyi, od epoki starożytnych Gallów, a nawet od czasów głębiej sięgających w przeszłość, nieobjętych chronologią, kiedy kamień szlifowany jedyunym był orężem, skóra zwierząt jedyną zbroją. Każda sala przedsta-

wia odrębną epokę, tu widzimy szereg zapaśników okutych w żelazo, tam rycerstwo z czasu krucyat, w pancierzach z demasceńskieję stali, z rękojeścią u szabli, wykutą misternie w znak krzyża. Dalej witryny, pełne różnobarwnych mundurów, rozmaitych krojem i ozdobami. Na ścianach rozwieszono portrety wszystkich wodzów, których imiona błyszczą w militarnych dziejach Francyi. Tu znów sztandary, wypłowiałe od skwarów i słoty w dalekich po świecie pochodach. Wśród tych uderzył nas sztandar pułku artyleryi, ze straży cesarza Napoleona, barwy zbladłej, lecz złote litery zachowane wybornie, świadczą kędy on bywał. Obok Kairu, Berlina, Medyolanu wypisana na nim Warszawa.

Osobną salę zapełnił sobą bohater wieku, Napoleon. W pośrodku posąg spiżowy przedstawia go w młodości jako porucznika w pułku artyleryi. Na przeciwległej ścianie, w pośród trofei z trójkolorowych sztandarów, umieszczono za szkłem pamiątki po cesarzu: włosy, małeńki krzyż legii honorowej i szpadę, która służyła mu w Egipcie, a którą później darował generałowi Drouot. W dwóch wielkich witrynach wystawiono rozliczne przedmioty, zachowane w muzeum miasta Chateauroux: mundur, kapelusz, pistolety, szelki, sztucer obozowy, ordery, lunety, kilka złotych tabakierek — listy i autografy z różnych czasów. Pamiątki te złożył w Chateauroux generał Bertrand, który jak wiadomo towarzyszył cesarzowi na wyspę Św. Heleny, podzielał z nim troski i prześladowania, pielęgnował go w chorobie a nakoniec zamknął mu oczy.

W tejże sali umieszczono portrety słynnych wodzów z epoki napoleońskiej: Masseny, Mortier'a, Davoust'a, a wśród nich księcia Józefa Poniatowskiego. W innej znów sali widzimy wielki obraz Werneta, przedstawiający księcia Józefa w chwili, gdy się rzuca w fale Elstery. Obraz ten zreprodukowany litografią, jeśli w Paryżu utracił dawną popularność, zdobi przecież ubogie gospody a nawet chaty wieśniacze na całej przestrzeni Francyi, od Wogezów po Pireneje.

W roku 1878 Napoleon nie znalazł miejsca na wystawie paryskiej. Siłny być musiał opór, skoro go nie złamał wpływ prezydenta ówczesnego, marszałka Mac Mahon. Była to krzycząca niesprawiedliwość. Powetowano ją w tym roku, jak tylko w części. Jeniusz bohatera rozświeca blaskiem swoim historią militaryzmu francuzkiego. Blask ten nie dość tu jednak zestrzelony w jedno ognisko. Spotykamy mnóstwo pamiątek po Napoleonie, rozrzuconych tu i owdzie w różnych salach. Do tych należą mundury i oręż, szpada młodego niegdyś porucznika artyleryi, inna, która w ręku wodza błyskała pod Mont-Thabor, kapelusz osmolony dymem w Waterloo, sztandar, który cesarz po abdykacyi w Fontainebleau, podjął z rąk grenadiera uściskał i tym uściskiem pożegnał całą armią. A wieleż tu jeszcze skarbów, zagrzebanych w nawale historycznych pamiątek!

Nie bez walki zapewne organizatorowie wystawy wojskowej, mogli błysnąć przed oczyma narodu, promienistą postacią bohatera, złamali przecież opór. Widoczny to dowód przewagi wojskowego stronnictwa we Francyi.

Za gmachem ministerstwa wojny, wznosi się inny mniejszy a przecież okazały, pomalowany w wieńce kwiatów. Nad frontowymi drzwiami, wyryto napis: *mens sana in corpore sano*. To wystawa higieny.

I tu spotykamy się z wojną. Wprawdzie nieprzyjaciel maleńki, niedostrzeżony ludzkim okiem, nie mniej przeto groźny, a często-kroć roznoszący śmierć i żalobę. Wróg ten znalazł dziś wielkiego zapaśnika. Jak geniusz Napoleona promienieje nad wystawą militaryzmu, tak geniusz Pasteur'a błyszczy nad wystawą higieniczną. Pogromca karbunkułu, filoksery i wściekliczny rzuca dobroczynne światło na zmierzch dziewiętnastego stulecia. Ugrupowano tu różne użyte przezeń środki do zwalczania zabójczych mikrobów.

Wszystko, co ma na celu zabezpieczyć człowieka przeciwko fizycznym cierpieniom, zebrane tu w licznych okazach. Widzimy sposoby ogrzewania i oświetlania mieszkań, odświeżania powietrza, oczyszczania wody, słowem: co tylko może utrzymać ów skarb nad skarby, o którym mówi nasz Jan z Czarnolasu:

Szlachetne zdrowie — nikt się nie dowie,

Jako smakujesz — aż się zepsujesz.

W dziale higienicznym ministerjum spraw wewnętrznych wystawia plany i reprodukcye szpitalów, tak w Paryżu jak i w całej Francyi, ulepszenia dokonane w zarządzie ich wewnętrznym. O ile te okazy zgodne z prawdą, nie do nas o tém sądzić. Czytaliśmy wielokrotnie powtarzaną protestacyą lekarzy paryzkich, przeciwko usunięciu siostr miłosierdzia od opieki nad niemi. Świadcstwo to ludzi kompetentnych a nie podejrzanych o pietyzm, większą ma wagę u nas, niż wszystkie malowane plany, jakimi zapełniona wystawa.

Sala jedna szczególniejnias zajęła. Widzimy tu z jakie sto manekinów dzieciątek: jedne spowinięte, z rączkami jak mumijki śpią w kolebkach i koszyczkach, inne w stojaczkach uczą się stawiać pierą wsze kroki, inne siedzą w wózkach, ssą mleko z fiaszeczek, opatrzonych rurką kauczukową, ubiór dziateczek, forma kolebek i wózków rozmaita stosownie do prowincyi, wszystko to daje ciekawe skazówki nie tylko higienistom, ale i etnografom. Manekiny te wystawia zarząd domów przytulku, który jak wiadomo oddaje podrzutków na wykarmienie wieśniaczkom po wszystkich stronach kraju.

Tę czujność rządu nad higieniczną chodowłą niemowlątek, podnieca wykaz statystyczny, wystawiony tu na wielkiej tablicy, a oznaczający nadzwyczaj słaby przyrost ludności we Francyi,

w przeciągu lat ostatnich. W r. 1888 akta urzędowe zapisały 882,639 narodzeń, gdy tymczasem skonstatowały 837,867 pogrzebów. Przewyżka nowonarodzonych nad zmarłymi, wynosi tylko 44,772 jednostek, kiedy w r. 1887 wynosiła 56,536. Cyfry te przeraziły statystów, gdy je porównali z ogromnym przyrostem ludności w zarenickich krajach.

Ponieważ taki upadek objawia się stopniowo i stale, aby zapobiedz złemu, rząd obmyślił rozmaite środki, do tych należy wielkie ułatwienie naturalizacji cudzoziemców a potem uwolnienie od podatków rodzin, liczących po siedmiu dzieciak. Ekonomisci widzą w tém środek niedostateczny, wymagają téż, aby taki przywilej rozciągnął się do rodzin liczących czworo dzieciak, siedmioro bowiem w rodzinie jest nadzwyczajnym zjawiskiem we Francyi.

Instytucye dobroczynne pod zarządem sióstr i braci zakonnych nie mogły a może i nie chciały brać udziału w wystawie. Z zakładów, nacechowanych duchem chrześcijańskim, przedstawiony tu jedynie przytułek nocny (Hospitalite de nuit), urządzony dziesięć lat temu i utrzymywany przez ludzi dobrej woli. Nie jeden biedak pozbawiony dachu, nie dość, że przez kilka dni niema gdzie położyć głowy, że otrzyma kęs chleba a czasami i odzież, ale co więcej znajduje tu oparcie lub ułatwiony powrót do miejsca rodzinnego. Widzimy krzyż na ścianie. Pod tym krzyżem co rano i co wieczór odbywa się wspólna modlitwa; po czém opiekun zmieniający się kolejno przemawia do biedaków słowem miłości i zachęty.

Dotąd, jak pokazują cyfry, 500,000 nieszczęśliwych znalazło tu przytułek. W ilu sercach zakielkowało Boże słowo, tego obliczyć nie podobna, są przecież dowody, że w nie jednem przyjęło się i wydało zbawienny owoc.

Obok wystawy higienicznej w pobliskim budynku urządzono inną, ściślym z nią połączoną węzłem. Jak pierwsza wskazuje środki, zapobiegające chorobom fizycznego organizmu, tak druga daje poznać środki zaradcze przeciw epidemii groźnej dla społeczeństwa. Mówiny tu o wystawie ekonomii społecznej, reprezentowanej przez wielkie spółki handlowe i przemysłowe, których celem zabezpieczyć dobrobyt stowarzyszonych, szerzyć pomiędzy nimi światło i zdrowe zasady, wychowywać w nich dziatwę. Liczba tych stowarzyszeń wielka dziś we Francyi, ufajmy, że dano jęć będzie zażegnać piorun w chmurze i rozstrzygnąć spokojnie walkę—pomiędzy pracą a kapitałem, siłą wzajemnych ustępstw i wzajemnej ofiary.

Nie podobna nam zatrzymywać się nad organizacją tych towarzystw, wspomnijmy z nich tylko jedno, znane i cenione powszechnie, mówimy o magazynie *B o n M a r c h é*, który dzięki rozporządzeniom ostatniej właścicielki, stał się dziś własnością trzystu sześć-

dziesięciu stowarzyszonych. Jest to, rzec można, mała republika, złożona z prezydenta, z rady wyższej i z parlamentu. Trzy tysiące sześćset osób, licząc w to urzędników i służbę, ma w tém małym państewku stałe utrzymanie, udział w beneficjach, kasę oszczędności, emeryturę dla wysłużonych. Dodajmy do tego dom wypoczynku na wsi, pomoc lekarską, lekcye języków, fechtunku, muzyki i t. p. a co najważniejsza czujną opiekę nad młodzieżą, troskliwość o zapewnienie im obok chleba, uczciwych rozrywek po pracy.

Instytucya ta wystawiła z wdzięcznością dwa marmurowe popiersia organizatorów swoich pana i pani Boucicaut. Poniżej na dwóch wielkich tablicach czytamy wypisane ustawy towarzystwa.

Wiadomo, że pani Boucicaut, przeznaczyła testamentem kilkadziesiąt milionów na różne zakłady dobroczynne, naukowe i artystyczne, pomiędzy temi dziewięć milionów na nowy szpital w Paryżu, kładąc za warunek, że opieka nad nimi powierzoną będzie siostrze miłosierdzia. Twardy to orzech do zgryzienia dla dzisiejszego magistratu, prześladowającego systematycznie wszelkie religijne zakłady.

Do działu ekonomii społecznej należą także liczne modele domów dla rodzin rzemieślniczych, sala rozrywki dla robotników (*cercle ouvrier*), zaopatrzona w dzienniki, przeglądy i książki specyalne, restauracya, gdzie za pół franka można mieć przyzwoity obiad, i tania kuchnia, gdzie za 10 centymów dają skromny ale zdrowy posiłek.

W końcu esplanady, towarzystwo krzyża czerwonego, złożone z kobiet, wystawia bieliznę, różne przedmioty dla rannych i ruchomy ambulans złożony z kilkunastu wagonów.

Powróćmy jeszcze na pole marsowe, do pałacu sztuk pięknych. Mówiliśmy już o świetnej wystawie francuzkich mistrzów w pędzlu, przebiegnijmy teraz działy zagraniczne, pomieszczone w dwudziestu czterech salach. Wśród tych Anglia znakomite zajęła stanowisko. Można śmiało powiedzieć że w ostatnich latach stworzyła szkołę własną. Nie błyszczy ona obrazami wielkich rozmiarów, nie celuje w przedmiotach historycznych, te, które tu widzimy chaotycznie się przedstawiają, trudno dopatrzeć w nich myśli malarza. Tryumfem szkoły angielskiej: marynarka, portrety i obrazy rodzajowe. W tych zwłaszcza ostatnich, anglicy okazali się dziś mistrzami. Umieją oni przedstawić prawdę z pięknej strony, nie wpadając w ckliwą przesadę. Obmyślany temat traktują w dziwnie delikatny sposób. Delikatność ta, nie spoczywa w rzutach pędzla, ani też w kolorycie, leży raczej w duszy artysty i rzuca światło na cały jego utwór. Weźmy naprzykład śliczny obrazek Sanda: *O c k n i e n i e d u s z y*; w postaci młodej kobiety trzy-

mającą w rękę Biblią. W obrazie pod tytułem: *Już ich nie ma!* Faïd przedstawił cały dramat, tém boleśniesz, że na pozór spokojny.—Starzec i dziewczynka stoją na brzegu morskiem; statek tylko co odpłynął, wcale go już nie widać, ale głęboki smutek starca i żal dziewczynki, świadczą że ten statek zabrał co mieli najdroższego. — Wymowny także *Powrót do domu pokutnicy*.

Inny dramat przedstawia Riviere, dramat nie w akcji, ale kipiący w żyłach, gotów lada chwila wybuchnąć czynem. Na ławie śpi znużony robotnik, śpi także buldog, przytulony do kolan pana. Tytuł mówi: *Nie budźcie psa śpiącego!* Nasle przedstawia znów chwilę po dokonanej dramacie. Tytuł obrazu: *Koniec skąpcy*. W splondrowanej izbie leży człowiek zamordowany, przywalony stosem pościeli. Nie dojrząc śladu krwi, trup zakryty przed okiem, ręka tylko wyciągnięta mówi o dokonanej zbrodni.

W ogólności, artyści angielscy unikają przerażających efektów: dramat spełniony pod osłoną, bez gwałtownych wybuchów, tém głębsze sprawia wrażenie.

Jeden z najslawniejszych malarzy angielskich John Milais wystawił kilka rodzajowych, pełnych wdzięku obrazków; między temi *Dziewczynka przy koszyczku wiśni*, i *Chłopczyk puszczający bańki mydlane*. Ten ostatni zyskał największą popularność. Zamówił go u mistrza głośny fabrykant mydła Pears i rozpowszechnił w tysiącach chromolitografowanych prospektów, rozesłanych po świecie z napisem *pear-s-wap* (mydło Peari'a), prospekt uwiadamia, że na żądanie fabrykanta wykonał obraz John Milais, baronet, członek Akademii królewskiej, za 60,000 franków.

Arcydziełem Milaisa na wystawie jest portret Gladstona, wykonany przed laty kilku. Rysy męża stanu drgają życiem, usta gotowe przemówić, z oczu sypią się błyskawice. Pierwszy z krytyków tutejszych Mantz utrzymuje, że to najznakomitszy portret na wystawie, a wiadomo przecież jak francuzcy mistrze Bonat, Carolus, Duran inni, podnieśli wysoko ten dział sztuki.

Portrety kobiet słynnego Herkomera, zachwycają tu znawców; marynarki Hooka pokazują morze w całym przepychu: woda żyje, drga, kipi. Anglicy są tu w prawdziwym swym żywiole. Po raz pierwszy szkoła angielska objawiła się tak samodzielnie. Uderza nas niesłychany postęp, gdy porównamy dzisiejsze jej utwory z temi, jakie na poprzednich wystawach raziły bezmyślnym realizmem lub też tkliwą czułościowością.

W angielskim dziale wystąpił Alma Tadema, holender z rodu, ale od dawna osiadły w Londynie. Wystawił on niewiasty z Amfissy, przedmiot wzięty z epoki starożytniej, jak we wszystkich utworach tego mistrza. Bachantki, zmordowane szalonym biegiem spoczywają na rynku, rzymskie matrony budzą je ze snu, przynoszą

im miód i owoce, i wyprowadzają z miasta swawolne podróźniczki, by im nie mąciły pokoju. Wszystko tu oddane z archeologiczną ścisłością.

W innym świetle przedstawia się sztuka w Stanach-Zjednoczonych: nie dopatrzeć tu cienia oryginalnej szkoły. W liczbie trzystu kilkudziesięciu olejnych obrazów. są niewątpliwie dobre, ale można by śmiało wziąć je za utwory francuzkiego pędzla. Wszyscy malarze (z małym tylko wyjątkiem), wykształceni w Paryżu, podpisują się uczniami Bonata, Fleurego, Geroma i t. d., każdy idzie torem mistrza swego. Ten brak samodzielności nie zraził sędziów konkursowych, przeciwnie nawet, przejęcie się duchem francuzkim poczytano jako zaletę i posypano hojną ręką wieńce amerykańskim artystom. Otrzymali oni sześćdziesiąt medalów i do czterdziestu chlubnych wzmianek. Medal honorowy otrzymał Sargent, uczeń francuzkiej szkoły Carolusa Duran'a, za kilka udatnych portretów. Sceny z życia ludu Gay'a, ucznia Bonata, oddane z poczuciem artystycznym, ale w tym ludzie poznajemy Bretonów; nie tu nie przypomina Ameryki. Toż samo widzimy w bretońskich żniwiarzach i grajkach Mozera, którego obrazy spotykamy od lat kilku w salonie paryżkim.

Skandynawia tak oryginalnie przedstawiająca się na wystawie przemysłowej, też samą oryginalność objawia w dziełach sztuki. Malarze szwedzcy, zarówno jak duńscy i norwegscy, kształcą się po większej części w Paryżu: w pracowniach mistrzów tutejszych zdobywają biegłość techniczną, ale przesiąknięci żywiczną wonią lasów swoich, rozmiłowani w tradycyi domowej, czerpią natchnienie w piersi własnej, i w miłości rodzinnego gniazda. Obrazy ich brane po większej części z życia ludu, noszą piętno czysto narodowe. Najślabiej z nich przedstawiona Szwecya. Wielu malarzy tutejszych, przejęło się i m p r e s s i o n i z m e m francuzkim: rzuca pędzlem wielkie plamy na płótno, nie stapia ich, nie łączy, szukając tylko ogólnego efektu. Odznacza się tu krajobraz Johnsona, przedstawiający mroźną zimę, prawdziwie szwedzką. Piękny obraz rodzajowy Bergha „O zmierzchu“ zjednał artyście medal honorowy.

Miejscowa charakterystyka, silniej odbija pod pędzlem malarzy norweskich. Norman ukazuje krzepkich rybaków w porcie Lofoten; Skramstadt piękne zimowe krajobrazy, Dohl „Niedzielę na wsi“; łodzie pełne wieśniaków, płynące fiordem do kościoła; Werenskiold „Pogrzeb wiejski“, nagrodzony honorowym medalem.

Dział duński niemniej bogaty w sceny z życia ludu. Odznaczają się szczególnie obrazami rodzajowe. Anckera Starzec przed chatą, i dziecię w kolebce, najpiękniejszy ze wszystkich, ukazują majtków nad morzem, ścigających oczyma okręt szamotany burzą. Artysta otrzymał wielki medal.

Holandya pozostała w sztuce wierna dawnym swym tradycyom. Realizm jej spokojny, pełen godności, nie razi nigdy cynizmem ani też niesmaczną trywialnością. Szczególniej tu pociągają trzy obrazy

Izraelsa. Jeden przedstawia robotników morskich, drugi wieśniaków, zebranych w koło stołu, trzeci: dziecię śpiące w kołysce, wszystkie trzy pełne prawdy, przysądzono honorowy medal artyście. — Mnóstwo scen rodzajowych pokazuje pracowite życie ludu holenderskiego, krajobrazy i marynarki, zasługują też na uwagę.

Belgia zajmuje w sztukach pięknych, równie znakomite miejsce, jak i w różnych dziedzinach przemysłu. Trzem malarzom belgiskim przyznał sąd medal honorowy. Jeden z laureatów, Wanters, wystawił bardzo świetny widok Kairu, opromieniony słońcem wschodniem i kilka wybornych portretów. Żałujemy bardzo, że słynny ten artysta nie nadesłał *O d s i e c z y w i e d e ŋ s k i ę j*, pysznego obrazu, który wykonał na dwustuletni obchód zwycięstwa króla Jana. Wdzieliśmy ten obraz w pracowni mistrza w r. 1883, zanim odszedł do Wiednia, gdzie zdołał ozdobić galerią publiczną. Inny medal honorowy otrzymał Stevens, za kilka rodzajowych obrazków, i wielki portret Sary Bernard. Najwspanialszym z ostatnich utworów Stevensa, jest niewątpliwie panorama ubiegłego stulecia, wykonana razem z Gerwazem, o której mówiliśmy w jednej z poprzednich korespondencji. Trzeci laureat Courtens, zwrócił uwagę pięknym krajobrazem, pod tytułem: *D e s z c z z ł o t y*. Wiatr jesienny strąca pożółkłe liście z drzewa, cała ziemia zasłana niemi.

W ogólności krajobrazy belgijskie oddane pięknie, równie jak marynarki. W wielu scenach przy domowym ognisku odznaczony tradycyjny wpływ dawnych flamandzkich mistrzów.

Szwajcarzy mało w sztuce pokazują samodzielności. Malarze ich kształcą się po większej części w Paryżu, odbija to widocznie w ich utworach. Ani bohaterskie wspomnienia Tellów i Winkelrydów, ani czarodziejski widok gór i jezior, nie budzą w nich natchnienia; chętniej malują paryżkie bulwarowe sceny. Są tu przecież wyjątki. Do tych należy prześliczny poranek kwietniowy nad jeziorem genewskim, pędzla pejzażysty Venillon. Z wielkim talentem przedstawił też Burnaud fermę szwajcarską: w podwórku poją się piękne krowy; gospodarz i gospodyni patrzą na dobytek okiem rozradowanem. — Dwa inne obrazy pokazują bydło na paszy wśród wąwozów alpejskich.

Grupa niemieckich malarzy nadesłała około sześćdziesiąt obrazów. Koroną ich *W i e c z e r z a p a ŋ s k a* Neda. Artysta nie szukał efektu; odzież apostołów aż do zbytku uboga i niedbała, stolki proste, dzisiejsze, ale postać Chrystusa pojęta i oddana tak jak jęj nie umiał pojąć żaden z mistrzów teraźniejszych, nie wyłączając Munkaczego. Na obliczu łagodnem, pełnem niewysłowionej dobroci, czuć zarazem niezłomną wolę. Apostołowie pochłaniają go oczyma: w ich rysach i całej postaci uderza różnaitość. Jeden siedzi obok Chrystusa głęboko zamyślony, drugi słuca pilnie, wsparty na rękę; Święty Piotr spokojny, pełen wiary, S-ty Jan pochylił głowę, przygnębiony boleścią. Judasza pozostawił artysta w cieniu, poznać go

tylko można po rudych włosach; ukazany w świetle byłby zmaćił ogólną harmonię. Piękny ten obraz nie bije w oczy, ztąd przyjęto go dość obojętnie, zresztą estetykom tutejszym brak zmysłu do zrozumienia sztuki głęboko religijnej.

Wśród małej liczby rzeźb zwraca tu uwagę ładna pasterka, statuetka z brązu, wykonana przez p. Marcinkowskiego.

W dziale austriackim wiele znajdujemy polskich utworów, a na ich czele bojowe pole Matejki, pełne grup i typów wykonanych mistrzowskim pędzlem. — Każda narodowość wchodząca w skład państwa, przedstawiona tu w narodowym charakterze. Węgrzy mogą pochłubić się wielkimi utworami Munkaczego: opis ich byłby zbyt długim, znane bowiem w Warszawie. Co nas szczególnie uderza w dwóch obrazach Męki Pańskiej—które dotąd widzieliśmy z osobna—to powtórzenie tychże znanych postaci, ale przeistoczonych w duchu. Jeden z najzawziętszych oskarżycieli w scenie przed Piłatem, stoi w obec krzyża głęboko zadumany, drugi odbiega rażony postrachem, trzeci tłómaczy się przed tłumem, jakby mówił: inaczej być nie mogło!

Przedstawicielem Czech jest Brozik. Zacięty stronnik Husa, wybrał z epoki zapasów religijnych dramatyczną chwilę, kiedy protestanci napadają zbrojnie na Hradczyn, wyrzucają przez okno Martinity i innych dostojników cesarskich.

Inny Czech z Teplic, Pajer, w obrazie pod tytułem *Z a t o k a ś m i e r c i*, wziął za przedmiot okropny dramat: *K o n i e c w y p r a w y F r a n k l i n a p o d b i e g u n p ó ł n o c n y*. Pokład okrętu zasłany trupami: jedni pomarli, drudzy padli ofiarą głodu, jeden tylko pozostał. Patrzy na morze rozciągające się szeroko, ozłoczone promieniami słońca. W tém przybliża się ku niemu biały niedźwiedź. Ta pogodna przyroda, w obec nieszczęśliwych rozbitków, dramatyczną stanowi sprzeczność.

Z polskich utworów, zwraca tu uwagę, bardzo piękny portret mężki, pędzla p. Axentowicza, i dwa portrety pastelowe tegoż artysty, wykonane z prawdziwym talentem. Panna Dulemba wystawiła obrazek rodzajowy *S i e r o t k i*, rzewny, pełen prostoty: p. Rychau, portret kobiety, p. Rejzner trzy udatne krajobrazy: *p o r a n e k*, *p o ł u d n i e* i *w i e c z ó r*. Wśród rzeźb widzimy dwa popiersia (profesora D... i p. Z.), wykonane przez pana Pelczarskiego, z wysokim poczuciem artystycznym.

W dwóch salach, obejmujących dział Rossyjski, więcej jeszcze spotykamy imion, utalentowanych ziomków naszych. Biję naprzód w oczy, obraz historyczny p. Gersona: przedstawia Kazimierza Sprawiedliwego w chwili, gdy przywraca w kraju ład zamącony długoletnim bezrządem. Obraz ten znany powszechnie w Warszawie, zbyt długim byłoby wyliczać wielkie jego zalety. Uderzył nas niemniej ogromny karton tegoż artysty, wyobrażający propagandę chrześcijaństwa na Litwie. Jakież tu bogactwo kompozycji, jaka

rozmaitość typów, ile życia i ruchu. Bodajbyśmy jaknajprędzej ujrzeć mogli ten obraz oddany pędzlem. Artysta nasz zbuduje nim piękny pomnik dla siebie.

Pogrzeb Gedymina p. Alchimowicza, pełen efektu zajmuje też powszechną uwagę. Trzej lirnicy, oświeceni brzaskiem dziennym, rozpoczynający pochód, za nimi płaczki a dalej zwłoki ukryte w cieniu leśnym, wszystko to razem przedstawia się w uroczysty i tajemniczy sposób.

Cóż tu nowego powiemy o czterech obrazach p. Chełmońskiego, tryskających życiem i siłą. Oceniała je Warszawa, ocenił je sąd tużejszy, przyznając mistrzowi naszemu wielką honorową nagrodę. Znany również w Warszawie, pełen werwy obraz Huculów, pana Wacława Szymanowskiego: złoty medal przysądzony młodemu artyście, będzie mu dzielnym bodźcem do pracy w rozpoczętym zawodzie.

Wyborny targ na warzywa p. Pankiewicza, nagrodzony również medalem, przeniósł nas żywo za Żelazną bramę w Warszawie. Obraz z życia ludu p. Zarębskiego wraził się głęboko w pamięć naszą. Ten kmiotek modlący się z małym dziewczątkiem, aby Bóg pobłogosławił jego posiewom, oddany z całą prawdą. Powtarzamy w głębi serca: szczęście Boże pocziwój pracy artysty, który po swojemu rozsiewa złote ziarno!

Dodajmy do tego pełnego życia „Harce kozackie“ p. Pawliszuka, „Scenę w klasztorze kapucynów w Rzymie“ p. Wiesiołowskiego, „Przegląd kawalerji polskiej“ p. Rozena, „Powrót Mojżesza z góry Synaj“ p. Popieła, „Kalwaryą“ p. Piechowskiego, dobrego „Samarytanina“ pana Trembacza, „Wywłaszczenie w Galicyi“ p. Zelechowskiego, „studya“ p. Szyndlera, „Scenę wiejską“ p. Wodzinowskiego, „Portret“ p. Przepiórskiego. Sama liczba wystawionych utworów, nie mówiąc już o ich wartości, skoro tu pomieszczone zostały, wszystko to pokazuje, że sztuka polska nie ubogo wystąpiła na popisie międzynarodowym.

Z pomiędzy rosyjskich obrazów „Śmierć Iwana Groźnego“, dramatycznie oddana pędzlem p. Makowskiego, zwraca tu powszechną uwagę, zarówno jak piękne morskie sceny p. Ajwazowskiego.

Rzecz dziwna, dwa narody, które na polu sztuki słonecznym przyświecały niegdyś blaskiem, pozostały w cieniu. Grecya, ojczyzna Apelesa, ubogo przedstawiona. Wśród piędziesięciu jej obrazów jedynie zwraca uwagę sarkastyczną sceną w refektarzu klasztornym, pokazująca mnichów ze śmiesznej strony. W dziale włoskim widzimy ładne widoki gór i jezior w Lombardyi pejzażysty Carcano; piękną noc księżycową na lagunach weneccyanina Zanotti; udatny portret Verdego p. Boldeni; ale za to ileż innych obrazów nacechowanych niesmacznym impresyonizmem. Tysiące artystów wędruje za Alpy, pragnąc wykształcić smak, badaniem arcydzieł, napelniających Rzymskie i Florenckie galerie. Francya utrzymuje w Rzymie szkołę własną, a tymczasem Włosi, wykarmieni od dziecka widokiem naj-

cudniejszych dzieł artystycznych, chwytają ze sztuki francuzkiej to, co wydała najdziwaczniejszego i z czego sama widocznie się otrząsa.

Hiszpania przedstawia się w nierównie lepszym świetle. Do najcelniejszych utworów historycznych na wystawie należy niewątpliwie obraz Pradilla *Poddanie Grenady*. Rzecz odbywa się w warownych bramach grodu, Ferdynand i Izabella, przybliżają się konno z majestatyczną powagą, otoczeni gronem duchownych i świeckich dostojników. Paziowie w aksamicie i pióropuszu prowadzą pyszne ich bieguny. Naprzeciw królewskiej pary, występuje konno Boabdil, wychudły, cały w czerni, trzyma w ręku klucze ostatniej twierdzy w kraju, gdzie przodkowie jego władali siedem wieków.

Tak w sztuce religijnej jak w historycznej Hiszpania zajęła tu przeważne miejsce. Aranda wystawił ukrzyżowanego Chrystusa na szczycie Kalwaryi. Strzępy ciemnej chmury przysłaniają w części oblicze i całą postać Zbawiciela. Owa na pół tajemnicza zasłona, niewymowne sprawia wrażenie.

Nie możemy pominąć tu Rumunii, która tak w sztukach pięknych jak w dziale przemysłowym, objawia rozbudzoną żywotność. Mirea wziął za przedmiot legendę rumuńską i w wielkim obrazie młodego górala na wierchołku skały: podczas gdy utonął w zadumie, spływają ku niemu trzy Wille i złośliwie ścigają go z góry.

Gregoresco w dwudziestu rodzajowych obrazkach, podjął sceny z życia miejscowego. Zwrócił szczególniej uwagę naszą mały obrazek, przedstawiający królową Elżbietę: pisze pochylona nad biurkiem, rysy jej zaledwie dostrzeżone, pokój, pełen kwiatów i zielonych krzewów, wygląda jak ogródek; pracownia ta godna sympatycznej królowej poetki.

W pobieżnym przeglądzie naszym musieliśmy opuścić mnóstwo rzeczy, zasługujących na uwagę, szło nam głównie o najogólniejsze zaznaczenie charakteru, w jakim sztuka objawia się u różnych ludów. W Anglii nosi cechę wyłącznie arystokratyczną; w Belgii rozrasta się szeroko, rzuca na wszystkie strony; w Holandyi przeważa w niej tradycyjny realizm; w krajach Skandynawskich sztuka świadczy o wysoko rozwiniętej miłości domowego ogniska i poszanowaniu pracy rolnej; w Hiszpanii zachowała dawną okazałość, Stany Zjednoczone, Austria i inne państwa złożone z różnych narodowości, nie mogą przedstawiać jednolitego charakteru. Wszędzie sztuka idzie w tymże samym kierunku, w jakim rozwija się przemysł, architektura i wszelkie inne objawy życia narodowego.

Oprócz powyższych wymienionych działów, osobną salę zajmuje dział międzynarodowy. Tu błyszczy portret panny Anny Bilińskiej, przedstawiający ją samą w pracowni z paletą i pędzlem w ręku. Piękny ten utwór zjednał artystce naszej chlubne uznanie i nagrody w Paryżu, Lyonie, Krakowie i Warszawie; do tych areopag wystawy najsluszniej dodał nowy medal.

PISMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Historya literatury polskiej, na tle dziejów narodu skreślona, przez Maryana Dubieckiego. T. II. 474, XXI. Warszawa, 1888.

Krytyka przedstawia u nas zdumiewające nieraz zjawiska: o jednym i tym samym dziele można spotkać w różnych pismach wręcz przeciwne, wzajemnie wyłączające się sądy. Czy to jest zdrowym objawem? Wątpimy. Podług bowiem kardynalnego prawa logiki— z dwóch takich sądów jeden być musi fałszywym.

Przecież różnice w estetycznych lub etycznych na dane dzieło poglądach jeszcze usprawiedliwić się dają, jeżeli płyną ze szczerzego przekonania w piszącym. Zresztą krytyka reklamująca lub natchniona stronnictwymi uprzedzeniami do autora, nie wyrządza jeszcze wielkiej krzywdy czytelnikom, jeżeli się odnosi do dzieł belletrystycznego znaczenia; instykt bowiem wykształceńszej części społeczeństwa zawsze odgadnie, komu słuszość przyznać należy. Ale inna rzecz, gdy idzie o dzieło naukowe. Tu bowiem główną rolę odgrywają fakta, na których pisarz swoje wnioski, poglądy, cały nieraz systemat opiera. Otóż zwykłej miary czytelnik nie jest w możności ich sprawdzić; najczęściej z dobrą wiarą przyjmuje, co mu książka podaje. Gdy więc fakta nie są należycie zbadane, wnioski nie dość uzasadnione, poglądy jednostronne, lub naciągane do przyjętej z góry teorii; wtedy jedynie sumienna krytyka może zapobiedz szerzeniu się fałszów, które, za pośrednictwem dzieła, dostają się do umysłów mniej rozważnych lub nie odpowiednio przygotowanych.

Tymczasem, czy pod tym względem dobrze się dzieje „w królestwie duńskim“, jak mawiał nieboszczyk Hamlet? To wielkie jeszcze pytanie. Przynajmniej wymowną co do tego ilustracją stanowi Historia literatury przez p. Maryana Dubieckiego. Dzieło,

w którym fałsz siedzi na fałszu, napisane bez znajomości prac źródłowych, nawet drukiem ogłoszonych od dawna, co zresztą faktycznie wykazaliśmy przy rozbiorze tomu pierwszego (zob. „Bibliot. Warsz.“ r. 1888, zeszyt lipcowy, str. 108 — 122), uznane zostało przez niektórych krytyków warszawskich i krakowskich za wyczerpujące przedmiot w zupełności i odpowiadające zadaniu, jakie sobie autor założył, poświęcając je: „Matkom, strażniczkom domowego ogniska“. To chyba żart! Ale nie wchodząc już w pobudki, które kierowały piórem, oceniających to dzieło, prosimy postawić się tylko w położeniu czytelnika, który ze sprawozdań i krytyk chce się o wartości pracy p. Dubieckiego przekonać. Rzecz naturalna, iż czytając prawie we wszystkich pismach przychylną dla niej ocenę, nie może przypuścić, by nie posiadała rzeczywistej wartości i każde odmienne, wypowiedziane o niej zdanie musi uważać za objaw osobistej przeciw p. Dubieckiemu niechęci.

Wątpiących jednak o bezstronność naszego sądu odsyłamy do „Muzeum lwowskiego“ i „Kwartalnika historycznego“. Ze sprawozdań, jakie o Historii literatury p. Dubieckiego zamieścili: w pierwszym p. Roman Zawiliński (poszyt II, 1888, str. 663—665), w drugim p. Roman Pilat (zesz. II, 1889, str. 267—275), może się każdy przekonać, iż w oceniu tej pracy zanadto jeszcze byliśmy pobłażliwi i względni.

Obecnie przystępując do rozbioru tomu drugiego, zaznaczamy na wstępie, iż w nim o wiele mniej, niż w tomie pierwszym, błędów faktycznych. Natomiast pełno tu niedomówień, opuszczeń rzeczy zasadniczych, pełno sprzeczności w sądach i niezem nieusprawiedliwionego nieładu. Autor, wierny przyjętej zasadzie i tu daje szerokie tło historyczne, na którym rozwija działalność umysłową narodu. Zapomina tylko, że rozwój naszej umysłowości, zwłaszcza w XVIII i XIX stuleciu, wiąże się jak najściślej z cywilizacją zachodu i że bez dania jej treściwego obrazu niepodobna większości zjawisk literackich u nas objaśnić. W skutek też pominięcia tak zasadniczej kwestyi, wypłynęły wszystkie niedokładności i kontrowersye, w jakie autor z samym sobą nieustannie zachodzi. I tak: raz z przekąsem wyraża się o literaturze francuskiej XVIII wieku i dopatruje w niej wpływów szkodliwych, burzących cały porządek społeczny (str. 16 — 17); to znowu podziwia wzniosłość zasad i głęboki rozum w Staszycu (111 — 113) zapominając, że on jest najwerniejszym odbiciem filozofii owego stulecia. Przyznaje wreszcie wyższość literaturze doby stanisławowskiej nad literaturą epoki jezickiej, a nie mówi wyraźnie, co na jej rozwinięcie wpłynęło, co właściwie z wzorów obcych przyjęła. Zresztą o tej cywilizacji zachodniej dziwne może powziąć wyobrażenie z „Historii literatury“ p. Dubieckiego każdy, a przedewszystkiem młodzież, której tę pracę, jako podręcznik przeznacza. Czyż to bowiem nie na żart zakrawa, by kto w Liście Krasickiego zatytułowanym: „Podróż Pańska“,

szukał charakterystycznych jęj znamion i wnioskował o „duchu wieku, który nie znał granic dla swych reformatorskich zapędów i nie wiedział, co z zachodniej cywilizacji zaszcześcić na naszym gruncie, a co odrzucić, chociaż (jak dodaje autor z powagą) g d z i e i n d z i e j mogło to być dobre!” (str. 33). Otóż pytamy, co by to podług p. Dubieckiego było takim dobrém dla innych? I dowiadujemy się „że stawianie wiatraków po nizinach, a młynów w górze bez wody, wykładanie dzieciom kursu architektury i t. d. Słowem, co Krasicki, wysmiewając rzekome reformy w gospodarstwie, nie liczące się z miejscowymi warunkami, w przystępie dobrego humoru napisał, to p. Dubiecki przedstawił, jako realizowanie wzorów za granicą widzianych.

Istotnie, piękne wyobrazenie z tęg charakterystyki gotowa zrobić sobie młodzież o cywilizacji XVIII stulecia! Może przypuszczać, iż właśnie polegała ona na tak niedowarzonych pomysłach.

To tęg zamiast wycieczek przeciw literaturze francuskiej, co uchodziło jeszcze przed trzydziestu kilku laty, lepiejby zrobił autor, gdyby był scharakteryzował główne jęj cechy i to znaczenie, jakie miała dla naszej literatury w XVIII stuleciu. Właśnie jęj prawdziwość, przestrzeganie miary, przyzwoitości i dobrego smaku; dbałość o poprawność i czystość języka, o jasność i dokładność wysłowienia, mogła być stawianą za wzór tam, gdzie wskutek skażonego smaku i stłumienia rozsądku, sadzono się na dziwactwa w formie, każono język i w rozmyślnym zaciemnianiu stylu widziano główne każdego pisma zalety.

Wprawdzie literatura ta, zwłaszcza filozoficzna, miała swoje strony ujemne; ale bądź co bądź kształciła rozsądek, uczyła myśleć, wprowadzała krytycyzm w naukę i w życie, bez czego niema postępu. Gdzież zresztą mielibyśmy szukać treści, któraby zapelniła tę niezgłębianą próżnię, jaka się wytworzyła w umysłach, wskutek zafowania się uniwersytetu krakowskiego i 150-letniej jezuickiej tresury, jeżeli nie w ognisku wszechświatowej cywilizacji, nauki i poloru, ku któremu ówczesnie zwracały się wszystkie narody, nawet wysoce już posunięte w oświacie? Kto nakoniec winien, że ogół nie przygotowany należycie przez uprzednią umysłową uprawę, nie był zdolny rozróżnić, co w tęg literaturze i cywilizacji było plewą, a co ziarnem pożywnym? Sami z siebie nowych pierwiastków cywilizacyjnych nie byliśmy zdolni wyrobić, bo już w XVI wieku wypuściliśmy z rąk płodną w następstwa ideę Mikołaja Kopernika, którą pochwycili inni i na swój obrócili pożytek. Chcąc się odrodzić, należało zwrócić się tam, gdzie mogliśmy znaleźć naukę i kulturę gotową, a właśnie ostatecznym jęj wyrazem była literatura francuzka, której nasi pisarze nie malpowali bezmyślnie, jak się to dawniej mówiło, lecz brali z nięj to, co było najlepszego. Literatura tęg stanisławowska zasłużyła się dobrze narodowi, bo go wyrwała z dwu wiekowej blisko ciemnoty i nanowo z życiem europejskim

związała; ale też chcąc należycie jej wartość i znaczenie ocenić, a zarazem zasługi jej przedstawicieli wykazać, wypada ją koniecznie nie tylko we własnym rozpatrywać świetle, ale i w świetle od literatury francuskiej tego wieku odbitym. Gdyby się autor na tym stanowisku postawił, byłby uniknął wielu z samym sobą sprzeczności i w swęj historii dał nam dokładniejszy obraz stanisławowskiego okresu. Wtedy, mówiąc o *D o ś w i a d c z y ń s k i e g o p r z y p a d k a c h*, nie byłby nazwał historii o Nipuańczykach dziwną, ani też gorszył się, iż w niej Krasiecki wzorom obcym hołdował (str. 34). Ze owi Nipuańczycy, to wprowadzenie do powieści kardynalnej zasady Rousseau'a, iż człowiek tylko w powrocie do pierwotnego stanu natury może być zupełnie szczęśliwym, to więcej, niż pewna; ale kiedy Rousseau doprowadza ją do absurdu, Krasiecki z właściwym sobie rozsądkiem, umiarkowaniem i taktem, zacieśnia ją do właściwych granic i, co ważniejsza, wyzyskuje na korzyść zasadniczej myśli utworu. Prostu chce on powiedzieć, iż człowiek wychowaniem i wpływami otoczenia zepsuty, przez pracę, wstrzeźliwość i pozbycie się dawnych nałogów, może się odrodzić zupełnie, a że tak jest, dowodzi tego dalsze życie bohatera i jego reformy, zaprowadzone na wzór Nipuańczyków w urządzeniu stosunków włościańskich w Szubinie. Nie było to więc bezwzględnie naśladowanie, ale rozumne oddziaływanie przeciw wpływom paradoksalnego pisarza, który u nas wpływ bardzo wielki na umysły wywierał.

Z tego samego źródła wypłynęło i zbyt wysokie przecenianie zdolności i stanowiska niektórych pisarzy. Mówiąc np. o Naruszewiczu, jako historyku, p. Dubiecki powiada, iż na swęj drodze nie miał żadnych poprzedników, że sam wszystkiemu wystarczał (str. 106). Należałoby ztąd wnosić, iż to był geniusz pierwszorzędny, który wszystko czerpał sam z siebie, nie był winien nikomu. Tymczasem trudno zaprzeczyć, że jeżeli w naszym dziejopisarstwie tak wydatne stanowisko zajmuje, to głównie temu zawdzięcza, iż obok rozległej wiedzy, przyswoił sobie krytykę i metodę badania od historyków zachodnich.

Ale przejdźmy do biografii pisarzy tego okresu i oceny ich literackiej spuścizny.

Przedewszystkiem musimy tu uczynić zarzut, iż p. Dubiecki wiele szczegółów charakterystycznych z ich życia pomija, wskutek czego trudno sobie wyrobić pojęcie o indywidualności pisarza. I tak, o pobycie Krasieckiego w Paryżu, o jego stosunkach z tamtejszymi koryfeuszami literatury, o zbliżeniu się do Poniatowskiego w salonie pani Geoffrin, autor zupełnie przemilcza; powiada tylko, iż Stanisław, zostawszy królem, chciał mieć z Krasieckiego polityczne narządzie (str. 21); ale w jaki sposób? i dla czego Krasiecki stronił od polityki? — nikt się z pracy p. Dubieckiego nie dowie. A przecież milczące, pełne godności uchylenie się od narzucanej mu, a niezbyt

zaszczytnej roli politycznego pismaka, wpłynęło później na oziębie-
nie stosunków pomiędzy nim a królem, a co ważniejsza, na pokrzy-
żowanie planów, gdy szło o przeniesienie się z Warmii na jakie-
bądź w Polsce biskupstwo. Również działalność jego literacka po
ostatecznym podziale kraju nie jest scharakteryzowaną dokładnie.
Autor tylko tytuły dzieł Krasickiego z tej epoki wylicza. Tymcza-
sem, gdy inni tracą rozum, opuszczają ręce, lub zagłuszają się w sza-
lonych orgiach, on jeden czynność gorączkową niemal rozwija
i, jak dawniej bawił, tak obecnie budzi życie, kształci charakter na-
rodu, uczy, wreszcie, o czém autor nie wspominał, wykończy 8-io to-
mowy *Herbarz*, by wiele rodzin, zagrożonych, w prowincjach
odpadłych do Rosyi, zapisaniem na listę *jednodorców*, zna-
lazły w nim swego pochodzenia dowody. Ta epoka po-rozbiorowa
stawia nam Krasickiego w całym blasku obywatelskiej zasługi.
Szkoda takich rysów pomijać!

Również z Historii literatury p. Dubieckiego niepodobna nam
zaznaczyć się z dziełami poety. Jestto zresztą zarzut, który się od-
nosi do większej części objętych nią pisarzy. Autor wylicza ty-
tuły dzieł; ale zamiast krytycznego ich rozbioru, daje nam o nich
najczęściej tylko luźne, niezawsze trafne, za innymi powtarzane
uwagi. O Myszeidzie np. powiada: iż „bohaterami poematu są my-
szy i szeszury, prześladowane przez króla Popiela“ i t. d. (24); kiedy
owo podanie Mistrza Wincentego jest tylko zewnętrzną lupiną, kry-
jącą głębsze znaczenie, bo ośmieszenie całej epoki saskiej. Wszak
poeta nadaje Popielowi rysy Augusta II i III. Nie jest to więc
lekka krotochwila, jak utrzymuje autor, ale w gruncie, poważnie
obmyślana satyra, lubo w formie lekkiej oddana. Zgadzać się
wreszcie z autorem, iż w poemacie wiele aluzyj do ówczesnych sto-
sunków nazawsze dla nas tajemnicą zostaną; nie możemy się od
uwagi powstrzymać, iż należało coś powiedzieć o studjum S. Grusz-
czyńskiego, który się zajmował wyjaśnieniem Myszeidy i do wyro-
zumienia wielu ustępów podał klucz, nad którego zagubieniem autor
swe ubolewanie wyraża. Z powodu znowu *Monachomachii*
p. Dubiecki powtarza za innymi poraz setny stawiany Krasickiemu
zarzut, iż jako biskup, nie powinien był za przedmiot żartu obierać
życia mnichów, zwłaszcza „iż mógł innymi środkami wpływać
na reformę zakonów“ (26). Zarzut to tém dziwniejszy, iż sam
autor przyznaje, że poeta „nie uderzył na zasady, lecz na nadużycia,
na zepsucie i zgnuszenie, które podminowywało wówczas podstawy
społeczne“ (tamże). Jeżeli zaś tak było, to pytamy, czy lepiejby
zrobił, gdyby na to wszystko oczy zamykał? Czy zaś ze swego
stanowiska, jako biskup, mógł tym nadużyciom, konieć położyć? to
już dawniej, na inném miejscu staraliśmy się wyjaśnić. Do prze-
prowadzenia każdej reformy trzeba przedewszystkiem mieć władzę;
tę zaś nie posiadał żaden z biskupów, odnośnie do klasztorów z pod
ich kompetencyi wyjętych, tém bardziej Krasicki, jako biskup war-

miński, od reszty kraju, kordonem pruskim odcięty. W końcu autor robi uwagę, iż Krasicki Jezuitów i Pijarów oszczędzał. To bardzo naturalne. Gdy pisał *Monachomachią* Jezuitów już nie było; Pijarzy zaś, oddani krzewieniu oświaty, mogli w nim tylko wzbudzać szacunek.

Niemniej bezzasadnie autor powtarza za Fr. Ksaw. Dmóchow-skim, że Krasicki *Antimonachomachią* „napisał dla osłabienia wrażenia, wywołanego poprzednim poematem. O takiej intencji nie ma śladu w całym utworze. Występuje tylko gorzka nauka:—Prawiecie się!—którą P r a w d a, na dnie dzbana ukryta, wyrzeka. Inne dowody pomijamy, gdyż je można znaleźć w *Książce jubileuszowej* J. I. Kraszewskiego o przy rozbiore jego studjum: „Krasicki, życie i dzieła“ (str. 396).

Co do s a t y r zamiast gołosłownego przytaczania z nich ustępów, które zresztą każdy w ogólnym zbiorze dzieł odnajdzie, wolelibyśmy krótki, a treściwy rozbiór przynajmniej ważniejszych, za typowe uznanych, z którego możnaby powziąć wyobrażenie o ich formie, układzie, misterném rzeźbieniu wprowadzonych do nich postaci, o umiejętném cieniowaniu charakterów i dowcipie Krasickiemu właściwym, a który w nich występuje w całej swój subtelności i smaku iście atyckim.

Do s w i a d c z y ń s k i e g o p. Dubiecki nazywa słusznie pierwszą. w naszej literaturze powieścią, ale mu zaledwie kilka wierszy poświęca. Należało chyba coś o jego celu nadmienić, nie zaś gorszyć się wprowadzeniem Nipuańczyków. Wszak to utwór, który pierwszy daje nam obraz tamtoczesnego wychowania, towarzystw wielko-światowych, trybunałów przedajnych i wykretnej palestry. Wypadalo przeto zaznaczyć różnicę, jaka zachodzi pomiędzy sposobem pisania Krasickiego, a dzisiejszym traktowaniem powieści, — słowem, wykazać brak tła, sylwetkową charakterystykę głównych postaci, nieprawdopodobieństwa, na które sobie autor pozwala dla łatwiejszego przeprowadzenia zasadniczej myśli i t. p. Byłoby to nauczające, a dla wykazania stanowiska rozbieranego autora, konieczne.

Trudno także zgodzić się z twierdzeniem p. Dubieckiego, iż p a n P o d s t o l i takie miejsce zajmuje w literaturze XVIII wieku, jak *Zywot człowieka poczciwego*. Reja w XVI. Rej malował obyczaje swego czasu, jakimi były w rzeczywistości; Krasicki zaś tworzył ideał obywatela, jakiego mieć pragnął w przyszłości. Również wątplić należy, czyby powieściopisarz historyczny znalazł w nim materyał do obrazu panowania Stanisława Augusta (34). Ani P. Podstoli ciągle moralizujący, ani jego rodzina i otoczenie nie nadają się do tego. Są to uosobione doskonałości, ale nie ludzie z krwi i ciała złożeni. Prawdziwymi typami, chociaż przedstawionymi szkicowo, to sąsiedni bliżsi i dalsi. Ale ileż to podobnych postaci przesunęło się przed naszymi oczami w powieściach Rzewuskie-

go, Kaczkowskiego, Chodźki, Kraszewskiego i to jeszcze jak namalowanych mistrzowsko!.. Dla powieściopisarza dziś tu już niezbyt obfite żniwo; dla historyka — rzecz inna: z Pana Podstolego może poznać wszystkie niemal idee reformy, jakie ówczesnie zaprzętały umysły.

Z *Historyi* na dwie księgi podzielonej, autor tylko tytuł przytoczył. Rzecz to sama z siebie, przynajemy, niezbyt zajmująca. Kto jednak chce dokładnie przedstawić obraz myślenia pisarza, ten nie może pomijać żadnego z obszerniejszych jego utworów. Właśnie w owej *Historyi* Krasicki dał nam swoje poglądy na kronikarstwo i dzieje. Dziś one nie wytrzymują krytyki, ale za to stanowią wyborną charakterystykę tamtoczesnego pojmowania historyi, do której, jak do wszystkiego, chciano zdrowy rozsądek stosować. Dokładne scharakteryzowanie tego utworu, w zestawieniu z pracami A. Naruszewicza, uwydatniłoby różnice pomiędzy dyletanckim zapatrywaniem się Krasickiego na dzieje, a ich krytycznym, naukowym badaniem.

Mówiąc o *Powieściach wschodnich*, autor również nie wykazał dostatecznie ich genezy. Powiedzieć, „że stosunki wschodnie często brano w XVIII wieku, jako tło do powieści“, to jeszcze w *Historyi* literatury nie dosyć; trzeba było wykazać czy są oryginalne, czy zapożyczone skądinąd, a w każdym razie zwrócić uwagę na ich układ i opracowanie nader misterne. Taki *Kadur* a przedewszystkiem *Dziekan z Badajoz* zasługiwały na pobieżną choćby ocenę.

Obok tych niedomówień, pełno tu zdań, jakby na wiatr rzucanych. Autor np. powiada, iż „Krasicki powołał na widownią piśmienniczą język dawny, język złotéj doby“!.. (21); tymczasem język Krasickiego jest tak wyłącznie mu właściwy, że się nie daje porównać z żadnym z pisarzy, a już chyba najmniej, co do swych właściwości i cech, z pisarzami zygmuntofskiej epoki. Uwierzylibyśmy autorowi gdyby nam to o Naruszewiczu powiedział. Na stronie znów 22 podaje, że pisma Krasickiego prędko czytelników i wielkich i wielbicieli znalazły;“ tymczasem nieco wyżej czytamy, iż „znana firma Groebla, w roku 1780 (zatem w chwili najwyższego rozkwitu jego talentu) nie mogła liczyć na 300 przedpłaćcieli, ponieważ gdy szło o wydanie jednéj z prac poety, zebrano ich 100 za ledwie!“? (str. 18). Zkąd zresztą autor zaczerpnął wiadomości, że to właśnie w domu Wasilewskiego, położonym na Krakowskim przedmieściu, Krasicki otrzymał tytuł księcia poetów? Wtedy chyba na niego było jeszcze zawezesnie. Zapewne, że w kołach wybranych, znano już niektóre jego utwory z rękopismów lub „*Monitora*“; przecież takie miano tylko cały naród nadaje, a wiadomo, że właśnie rozgłos zdobywa Krasicki dopiero po r. 1775.

W końcu autor wymienia różne wydania dzieł poety; szkoda, iż pominął wydanie paryzkie z r. 1830. które dziś do rzadszych należy.

Ocena A. Naruszewicza jeszcze mniej szczęśliwie wypadła. Autor przytacza o nim ustęp ze studjum J. Bartoszewicza, a nie skorzystał z zawartej w nim nader trafnej charakterystyki poety. Inaczej nie byłby twierdził, „że Naruszewicz zdobył styl napuszony pod wpływem wzorów francuskich i łacińskich“ (38). Pisarze francuscy XVIII wieku grzeszyli deklamatorstwem, wysoko nastrojonym patosem, ale napuszystymi nie byli w tym znaczeniu, jak p. Dubiecki pojmuje. Wadę tę wraz z duchem panegiryzmu i rubasznością wyniósł Naruszewicz ze szkół jezuickich, przejął w spadku po swych poprzednikach makaronicznego okresu, od francuzów, wziął jedynie ckliwy sentymentalizm, występujący w sielankach, ale co do łacińskich pisarzy, to już sąd ten wypowiedział p. Dubiecki na własne ryzyko. Którzyż to bowiem tak nań ujemnie wpływali — Tacyt, czy Horacy? bo przecież na stronie 39 sam im największy wpływ na jego dzieła przyznaje. Jeszcze mniej troszczy się p. Dubiecki o wyjaśnienie tego dualizmu, ujawniającego się w jednym i tym samym człowieku, w którym panegirysta, godzi się z satyrykiem, uderzającym, bezwzględnie na zepsucie narodu i surowym sędzią, przemawiającym *Głosem umarłych*. Tymczasem Bartoszewicz w przytoczonym studjum bardzo trafnie te sprzeczności wyjaśnia. Naruszewicz żył w epoce przejściowej; nie przeto dziwnego, iż właściwości dwóch różnych epok odbiły się w nim, jako w człowieku i pisarzu. Co było w nim ujemnego, to wziął z epoki saskiej; co dodatniego, to się w nim rozwinęło pod wpływem pojęć nowych i nauki zachodniej. P. Dubiecki nie dopatrywał w nim tej dwulicowości, ale za to rozpołowił jego dziejopisarską działalność. O *Historyi narodu* bowiem mówi aż w dwóch miejscach: raz, gdy się zajmuje nim, jako poetą (47—48); drugi, przy historykach doby stanisławowskiej (105—106). Brak jednolitości w planie i ładu w ugrupowaniu szczegółów, już tu występuje w sposób rażący. Uderza także brak ścisłości logicznej w wysłowieniu, co już trudno wybaczyć w pisarzu, przeznaczającym dla młodzieży swe dzieło, a w którym spotykamy taki ustęp np.: „Pierwszą próbą jego pióra (Naruszewicza), bardziejż znaną, jest wiersz na zgon Augusta III. Czartoryscy, a mianowicie ks. Adam, generał ziem podolskich, wprowadził go na pokoje królewskie. (Czy Augusta III?). Była to chwila stanowcza w życiu Naruszewicza. Król oceniał należycie jego zdolności talent poetyczny, a niemniej rozległą wiedzę i pracowitość. Przymioty te pragnął należycie zużytkować, powierzył przeto Naruszewiczowi napisanie *historyi polskiej*“... (str. 37). A więc znowu August III, gdyż o Poniatowskim od początku życiorysu aż dotąd, nie ma najmniejszej wzmianki. Co zresztą znaczy taka np. uwaga: „Jestto a luzya do wypadków awantury politycznej“ (str. 44), a co odnosi się do wiersza Naruszewicza, w którym jest mowa o porwaniu króla przez konfederatów.

Sprzeczności występują i w dalszym ciągu. Na stronie np.

54 czytamy o Trembeckim, że jego poemata opisowe: *Zofjowska*, *Powążki*, *Polanka* cieszyły się największą wziętością, że uważano je, jako najznakomitsze poetyczne utwory (57); tymczasem po tych superlatiwach, autor jednym pociągiem pióra temu, co mówił, zaprzecza. Już bowiem na stronie 57 powiada: „talent znakomity autora *Zofjówki*, *Powążek*, *Polanki* nie znalazł echa w sercu i myśli ówczesnej powszechności“. A więc czemuż tu wierzyć?.. W innym znowu miejscu utrzymuje, iż „Trembecki wyróżniał się siłą twórczości“ (51); to znowu twierdzi, iż w *Zofjówce* „przy całej poprawności języka (a o d d y c h a ć fernejskie powietrze?) napróżno szukalibyśmy płomyków prawdziwego natchnienia.“ Wygląda to, jakżeby autor zbierał notatki z różnych dzieł historii literatury, z artykułów wychodzących w różnych czasach i ujawniających najsprzeczniesze na dzieła Trembeckiego poglądy i później zeszył z nich całość, nie troszcząc się, jaki z tego bigos powstanie. W Trembeckim nikt chyba dotąd, prócz p. Dubieckiego nie dopatrywał twórczości, w dzisiejszym tego wyrazu znaczeniu, ale też i zaprzeczać mu natchnienia, na absurdum zakrawa. Cóż bowiem powiedzieć o *Gościu* w *Heilabergeru*? o wierszu do *Mary ańskiego kowala*? lub nawet o początku i wielu ustępach z *Zofjówki*. Choćbyśmy to nazwali tylko werwą poetycką, to i tak z niej bucha potężny płomień i siła wysłowienia. O bajkach jego tyle nam zresztą autor powiedział, „że nie mają zwięzłości i nieporównanej lekkości „księcia poetów“. Tymczasem mogą tylko dowodzić, że Trembeckiemu na twórczości zbywało; wszystko bowiem są tłumaczeniem lub przeróbką z *Lafontaine'a*. Ale za to jakież to w nich mistrzostwo pod względem barwy, malowniczości i dosadności języka. Pod tym względem, kto wie? czy nie przewyższają oryginału i samego nawet „księcia poetów“. Zresztą winniśmy sprostować mylnie przez autora, przypisaną Trembeckiemu cytate. Wiersz bowiem:

„A uczone obiady? znasz to może imię?“ i t. d. — bynajmniej nie wyszedł z pod jego pióra, jak to autor na stronie 10 podaje, ale jest utworem *Kajetana Węgierskiego*, któremu jednak p. Dubiecki, nie wiemy na jakiej zasadzie, odmawia piękności języka i stawia go niżej pod tym względem od innych (str. 60).

Owi czterej poeci, reprezentujący literaturę dworską, odznaczający się wykwintnym smakiem i dowcipem, tworzą wprost przeciwną grupę z poetami, przebywającymi na dworze ks. *Czartoryskich* w *Puławach*. P. Dubiecki tym ostatnim miano szkoły nadaje. Czy słusznie? Ośmielamy się wątpić. Przez szkołę bowiem rozumiemy pewną grupę artystycznych kreacyj, mających obok cech indywidualnych, jakie każdej talent twórcy nadaje, pewne wspólne znamiona, wynikające z jednakowych dążeń, lub sposobu odtwarzania przedmiotów, należących do szeregu pokrewnych sobie zjawisk. Taką szkołę tworzyli poeci *jeziorscy* w Anglii (*lakisicy*), taką jest szkoła *ukraiń-*

ska w naszej literaturze. Ale jakiej łączności można dopatrywać pomiędzy poetami, zostającymi w stosunkach z dworem puławskim? Jeszcze obok Książnina możnaby Karpińskiego postawić: mają bowiem wspólny sobie sentymentalizm. Lecz to cecha ogólna wieku, której sobie Karpiński nie przyswoił w Puławach. Nim bowiem na dwór Czartoryskich wystąpił, już był wyrobionym człowiekiem, poetą zdeklarowanego kierunku, który swój wyraz znalazł w jego sielankach, wydanych wcześniej we Lwowie. Jeżeli kogo możnaby nazwać wychowawcą poetycznej szkoły puławskiej to jedynie Książnina. Wszak muza jego, jak słusznie powiedział K. Brodziński, jest tylko mieszkanką puławskich ogrodów i nie zna innej natury, jak uszlachetnionej przez sztukę; zresztą, co tworzy na szerszą skalę, to pod wpływem księżny, która mu swe pomysły, nieraz szczęśliwie, narzuca. Ale co z nimi wspólnego ma taki Józef Szymanowski, ekliwy śpiewak *Świątyni Wenery w Knidos*, a znowu z tymi wszystkimi J. P. Woronicz, poeta pełen siły, mękości i rzeczywistego religijnego natchnienia, który pod względem smaku nie ulega żadnym wpływom czasowym i dla tego całkiem odrębne stanowisko w literaturze zajmuje? Że opiewa Sybilę, nie wynika stąd jeszcze, by z poprzednimi do jednej szkoły należał, tym mniej do epoki stanisławowskiej, do której go znowu autor na innym miejscu zalicza (str. 83).

Książnin jednak, choć nieraz talent na rzeczy błahe marnował, był niepośledniej miary poetą. Słusznie też p. Dubiecki widzi w nim poprzednika romantycznego kierunku. Jeżeli jednak z tego względu podnosi znaczenie jego *Babiej góry*, to jeszcze więcej nacisku należało położyć na jego utwory ludowe. Tymczasem z *Cygankami* bardzo się krótko autor załatwił; o innych zaś komedijkach, jak: *Julinki*, *Zosinki*, nawet słowem nie wspominał. A przecież w nich występuje lud, wprawdzie w większości scen konwencyonalnie pojęty, ale pomimo to, miejscami scharakteryzowany udatnie.

Natomiast p. Dubiecki widzi czysto swojski charakter w Karpińskiego Sielankach. Na to jednak nikt się chyba nie zgodzi. Sielanka — to rodzaj poezji najściślej z życiem ludu związany; tymczasem takich czułościowych Korydonów, Filonów, jakich stworzył Karpiński, lud nie zna. Również owe Laury, Dafny, Dorydy, Lindory i Palmiry nie mają nic wspólnego z ówczesnymi Hankami i Maryskami; są to szlachecianeczki, które, w czasach panińskich rezydując po wielkopańskich dworach, przejęły od swych pań modny sentymentalizm Rousseau'a i wniosły go pod strzechy dworów szlacheckich. W obec zamasztych, rubasznych kawalerów z sąsiedztwa, błogo im było marzyć o czułych, wymuskanych pasterkach! Ale w tym nic niema swojskiego. Swojskim istotnie jest Karpiński w swych pieśniach religijnych, w których umiał trafić w uczucia ludu; wreszcie w *Podróży do Dubiecka*, w *Dumie o Lud-*

gardzie, rodzaju poezyi, który pierwszy do literatury wprowadza, i z tego względu, również jak Książnin, może być uważany za poprzednika romantycznej poezyi, ale nie dorósł do miary narodowego poety: w *Zalach na grobie Zygmunta*, które p. Dubiecki tak wysoko, chyba ze względu na piękność formy podnosi. Poeta, który zrzeka się wszystkiego, nawet nadziei, wydaje się w obec takiego Woronicza, którego idee mesyaniczne do Mickiewicza i Krasińskiego zbliżają, dziwnie małodusznym człowiekiem. Tę ujemną stronę jego muzy wypadło zaznaczyć, skoro mu ją już Mickiewicz i Bartoszewicz wytknęli. Jeżeli bowiem przemilezanie stron ujemnych w osobnikach, występujących na arenie życia dziejowego, byłoby panegiryzmem, nie dającym się niezém usprawiedliwić w dziejopisarzu; to niemniej i w historyi literatury jest błędem pomijanie dodatnich, czy ujemnych stron życia i charakteru pisarza, które muszą wpływać na ducha jego utworów. To też tylko dokładne uchwycenie rysów jego indywidualności, może ich zrozumienie ułatwić. A właśnie jeżeli kto, to Karpiński takiego traktowania wymaga. Jest on również bowiem, jak Naruszewicz typem przejściowym, pełnym uderzających kontrastów. Dla uczuciowości poetą *Serca* nazwany, a przez egoizm zrywa stosunki z ukochaną przez siebie Maryą Bröslerówną (pierwszą Justyną), by mu nie była w dalszej karierze zawadą; dumny i niby na punkcie zachowania godności osobistej drażliwy, nie waha się przecież na odczepne przyjąć 600 dukatów od starościny Ponińskiej (drugiej Justyny), gdy ta, godząc się zawrzeć z nim związek małżeński, nie chce jednak nosić jego nazwiska. Niepodległy zresztą w przekonaniach, czepia się wciąż klamki wielkich panów i dziwi, że dla jego talentu nie osypują go złotem, a co gorsza, wymagają od niego pracy i obrażają się prawdomównością. Są to wszystko znamiona dwóch epok, zasad i pojęć sprzecznych, ścierających się w poecie i doprowadzających go do stanowczego przełomu, który się w *Elegii Powrótna* wieś ujawnił. Utwór ten, nawet tonem przypomina ów wiersz Naruszewicza: „Bez kęsa chleba, bez roli zagonu“ i t. d.; ale gdy Naruszewicz wyzebrał nim sobie łaskę królewską, Karpiński, obraziwszy i króla i Czartoryskich, zamknął sobie drogę do ich względów na zawsze. Tym lepiej jednak dla niego; w poczuciu bowiem obrażonej dumy znalazł sposób oparcia się na sobie samym — na pracy, która choć późno, zapewniła mu niezależne stanowisko. Przez to jest on zupełnie nowszych czasów człowiekiem, zapowiada bowiem, iż dla literatury nadeszła pora wylamania się z pod kapryśnych mecenasów opieki. Oto są rysy, których pomijać historykowi nie wolno, bo w nich odbija się człowiek cały, wiek, w którym żyje. Tego nie uwzględnił w swęj historyi literatury p. Dubiecki i tym sposobem wszystkie życiorysy, jakby do jednego mianownika sprowadził. Dotąd przecież, przynajmniej w układzie pisarzy trzyma się pewnego porządku; ale z przejściem do dramaturgów wchodzi z chronologią w ustawiczną kolizyą. Dobrze, iż na ich czele Bohomolca posta

wił; ale po nim bezpośrednio wprowadza Wojciecha Bogusławskiego, choć ten dopiero w r. 1788 rozpoczyna zawód kierownika sceny i pisarza; po tym Bielawskiego, który już w roku 1765 pisze komedię na otwarcie królewskiego teatru; na końcu zaś Fr. Zabłockiego bez względu na to, że jak sam powiada, „główna chwila jego działalności przypada na lata poprzedzające sejm czteroletni“ (96). Bez zasadnie także zalicza go autor do poetów puławskich. Że zostawszy księdzem i otrzymawszy probostwo w Końskowoli nawiedzał dwór puławski, to rzecz prawdopodobna; faktem jest przecież, iż od śmierci żony i upadku kraju całkiem pisać zaprzestał. Puławy więc nie wpływały na jego autorską działalność. Również nie wiemy dla czego pomiędzy podróżopisarzami tego okresu autor pomieścił Krzysztofa Arciszewskiego i Nicefora Czernichowskiego, należących do XVII stulecia.

Nigdzie przecież niewłaściwość podziałów na okresy, przez autora przyjętych, nie występuje w sposób tak rażący, jak w epoce narodowej poezji, którą p. Dubiecki dzieli na dwie doby. Przejściową, czyli Brodzińskiego (?) od 1795—1822 i A. Mickiewicza od 1822—do dni naszych (?), a i ten radby znowu na kilka jeszcze innych zwrotów podzielić (str. 211). Niewłaściwość ta głównie na tém polega, że doby przejściowej, choć ochrzczonej nazwą Brodzińskiego, nie rozpoczyna Brodziński, ale w rzeczywistości ją kończy: w roku bowiem 1794 miał dopiero lat cztery, nie mógł więc wpływać na dążności, występujących znacznie przed nim pisarzy. Jeżeli już konieczne szło o wprowadzenie do Historii literatury takiej doby, to należało w nią zgrupować naprzód wszystkich pisarzy, którzy pozostali wiernymi tradycjom z czasów Stanisława Augusta, a następnie pisarzy, w których ujawnia się duch nowy, w legionach zrodzony. Tu by więc mogli znaleźć miejsce: Cypryan Godebski, Tomasz Kantorbery Tynowski, Jakób Jasiński, a zamknąć ich szereg Wincenty Reklewski. Ale do tej doby wprowadzać Brodzińskiego, a po nim dopiero mówić o Niemcewiczu, Czackim, Staszycu, Sniadeckich, Bentkowskim, Lindym, Stanisławie i Janie Potockich, Alojzym Felińskim, ks. Maryi Wirtemberskiej, to znaczy rzecz, samą przez się jasną, rozmyślnie gmatwać i zaciemniać.

Ten Brodziński zresztą w opracowaniu p. Dubieckiego występuje dziwnie blade przed nami. Napisał *Wiesława*, *Pieśni rolników*, słowem wprowadził do poezji motywa ludowe. Ale cóż więcej? Wszak ich przed nim używali inni: Książnin, Bogusławski, Reklewski. Ten Wiesław zresztą, według słów autora, ma obejmować „cały świat ludowy, krakowski“ (str. 178), gdzież jednak tego ludu wierzenia, przesady i obrzędy, towarzyszące uroczystościom weselnym? Z drugiej strony autor nie wyjaśnia, ani na jakim tle poeta swe opowiadanie rozwinął, ani jaki udział ten lud przyjmował w wypadkach, które oddaloną luną rozjaśniają w poemacie chwilę obecną. Wreszcie nie wyjaśnił z goła typów wprowadzonych

do niego, nie wykazał, jak Brodziński zadzierzgnął węzeł wydarzeń i jak go po mistrzowsku rozwiązał. Zapewnia tylko, że Wiesława uczono się na pamięć, deklamowano, jak niegdyś Krasickiego utwory — i na tém koniec. Tego jednak chyba za mało. Wszak przywykliśmy Brodzińskiego uważać za Jana Chrzciciela poezji polskiej, za reformatora, wytykającego dla niej nowe gościńce. Tymczasem tego reformatora p. Dubiecki jakoś ukrył pod korcem. O jednej tylko bowiem rzeczy zapomniał: o jego rozprawie „O klasycyzmie i romantyzmie!” A przecie zdawałoby się, iż właśnie na niej należało oprzeć całą genezę u nas nowożytnej poezji. Boć jeżeli ten nowy zwrot przygotowali: Krasicki tłómaczeniem *Pieśni Osyana*, Bogusławski napisaniem *Krakowiaków i Górali*, Karpiński i Książnin utworami, o których mówiliśmy powyżej, Fr. Wężyk rozprawą o *Dramacie*, którą p. Dubiecki pomiął; wreszcie Niemcewicz tłómaczeniem angielskich ballad, a poeci-legioniści pieśniami; — to w każdym razie Brodziński pierwszy jasno wyświeśla istotę klasycyzmu i romantyzmu i swą rozprawą dla poezji polskiej nieskończone widnokregi odsłania. Mniejsza, że sam w te szlaki nie ośmiela się zapuszczać, że pomiędzy klasycyzmem a romantyzmem pośrednią obiera drogę, że wreszcie zżyma się na naśladowców Byrona, a nawet z powodu wydania *Sonetów krymskich* odzywa się o Mickiewiczu z przekąsem i poezją polską chce wyłącznie do sfery ludowej zacieśnić; — znajdują się bowiem inni, którzy pójdą za danym przez niego hasłem i dokonają tego, na co on w swęj rozprawie ukazał. Zaledwie też w r. 1818 pojawiła się w druku, a już prof. Leon Borowski (o czém również nie nadmienia p. Dubiecki) wystąpił z drugą rozprawą, w której się stanowczo na stronę romantyzmu przechylił.

Od tego krok tylko jeden oddzielał, by te nowe idee geniusz Mickiewicza pochwylił i pchnął na niebywałe tory poezją.

Gdyby autor tę nie przewodnią był pochwylił, nie byłby przegradzał Brodzińskiego od Mickiewicza całym szeregiem pisarzy nie mających nic wspólnego z nowszym kierunkiem literatury, a tém mniej stawił poetów ukraińskiej szkoły przed autorem *Grażyny*. Że Zalewski ulega wpływom Brodzińskiego wprzód, nim się Mickiewicz pojawił, nie idzie za tém, by całej tej grupie poetów, występujących o wiele później (Malczewski 1826, Goszczyński 1828) dawać przed nim pierwszeństwo!

(dok. nast.)

Roman Plenkiewicz.

Sprawa Zygmunta Unruga. Epizod historyczny z czasów saskich 1715 — 1740. Przez Aleksandra Kraushara. Krak. 1890. T. I str. 274. T. II str. 252

P. Aleksander Kraushar, znany chlubnie poeta i zasłużony wielostronnie pisarz w dziedzinie historii polskiej, zbogacił w ostatnim czasie naszą literaturę historyczną nową, piękną i nader cenną monografią, pod tyt. „Sprawa Zygmunta Unruga. Epizod historyczny z czasów saskich 1715 — 1740.“

Znaczenie naukowe tej monografii nie polega na krytycznym zestawieniu momentów biograficznych starosty gnieźnieńskiego, szambelana dworu Augusta II i pułkownika wojsk koronnych, Zygmunta Unruga. (ur. 1676 w Międzychodzie), który osobiście nie dokonał żadnych znamienitszych dzieł historycznych i nie odznaczył się żadną szczególniejszą żarliwością religijną lub naukową między dyssydentami wielkopolskimi. P. Kraushar zebrał nadzwyczaj starannie nie tylko z książek, ale i z archiwów wszystko, co tylko sprawę w swoim czasie tak rozgłośną objaśnić może, co więcej: przedstawił szczegółowo organizacyą, atrybacyę i cały sposób postępowania sądowego w trybunałach naszych, i nie zaniedbał uwydatnić stosunków krajowych, rzucających pewne światło na fakt, któremu w jak najlepszej obywatelskiej myśli talent swój i zabiegliwą pracę poświęcił.

Osobistość Zygmunta Unruga zajmuje w pracy p. Kraushara wybitne miejsce; ale najgłówniejszy interes naukowy w dziele, o którym mowa, opiera się na wojowniczym antagonizmie sądownictwa świeckiego w Polsce XVIII-o wieku z jurysdykcyą duchowną, — na przewadze autonomicznej potęgi trybunału szlacheckiego, w obec którego okazują się zupełnie bezsilnymi i majestat korony, i jurysdykcyę konsystorska, biskupia, i instancyę prymasa i posłów zagranicznych z nuncyuszem papieskim na czele, i nauka Sorbony paryzkiej i wielowładny wyrok kuryi rzymskiej i apostołska powaga Ojca Ś-go Innocentego XI-o.

Rozzuchwalony nadmierną prywatą animusz szlachecki z epoki konfederacyi tarnogrodzkiej (1715—1717) postawił i tu na swoim, chociaż podeptał zasady sprawiedliwości i uczucie ludzkości. Charakterystyczna to zaiste ilustracya owego już tylokrotnie wyszydzanego klerykalizmu szlachty polskiej wieku XVIII-o — ów „casus inauditus Unrugianus“!

Zamożny i nader wpływowy dostojnik Rptej, pan licznych włości ¹⁾, dyssydent, otoczony powagą prawa krajowego, obywatel

¹⁾ Zygmunt Unrug kształcił się w gimnazyum w Lesznie, studia akademickie odbył w Frankfurcie nad Odrą, — był panem na Poniecu (dzisiaj hr. Mycielskich), Janiszewie, Śmiłowie, Kawczach, Szelejowie i Zdunach, został w r. 1698 starostą gnieźnieńskim, który to urząd objął po nim głośny partyzant Śmigiełski.

służący dobrze swojej ojczyźnie, nie ustępujący w zasługach publicznych kraju żadnemu z braci szlachty, mąż wykształcony i w poważnym myśleniu zamiłowany — zapisuje sobie dla swojej pamięci w osobnej książce znamienitsze sentencye przeróżnych autorów dawniejszych i nowszych z całego zakresu życia umysłowego a mianowicie z dziedziny filozofii, historii, polityki, polemiki teologicznej i t. p. Przypadkiem, wyjeżdżając z sejmiku, zapomina tej książki rękopiśmiennej w gospodzie. Książkę tę podchwytuje niejaki Andrzej Potocki, pisarz gnieźnieński, osobistość wielce podejrzaną wartości moralnej i na podstawie oderwanych kilku zdań, wypisanych w owym zbiorze z dzieł liberalniejszych autorów, pożywa urodz. Zygmunta Unruga przed trybunałem piotrkowski, jako winnego obrazy Majestatu Boskiego. Trybunał, nie zważając na to, że sprawa tego rodzaju powinna być wprzód przejść forum biskupie, potępił oskarżonego, i jako infamisa skazał go na śmierć z utratą dóbr, których połowę skarbowi publicznemu a drugą połowę powodowi, szlachetnemu Andrzejowi Potockiemu, prawem konfiskaty przysądził. (R. 1715). Unrug schronił się zawczasu za granicę, zebrząc na wsze strony instancyi i broniąc w podniosłych prawdziwie pismach swojej niewinności. Przez długie lata siliły się na próżno wszystkie wpływowe czynniki w Rzpiej nad tém, aby uchylić dekret z r. 1715, dopiero sejm grodzieński z roku 1726, nie mogąc naprawić w zupełności zrażonej krzywdy (dobra Potockiemu jako delatorowi przysądzone, porzucił już w znacznej części w trzecie ręce), poważał się, na instancyę tych, od których pierwsze słowo oskarżenia w r. 1715 wyszło, uratować, choćby częściowo to, co jeszcze do uratowania pozostało. Ta to właśnie charakterystyczna strona sprawy Unruga, wystawiona jak najobjektywniej przez sz. autora na tle wypadków historycznych epoki Augusta II-o, nadaje ową sprawę wyjątkowe znaczenie i staje się bardzo ważnym przyczynkiem do gruntowniejszego zrozumienia ludzi i stosunków ową epoką nie tylko w Polsce; ale w całej ówczesnej Europie. gdzie zaciekły fanatyzm, niby najzłośliwsza epidemia, ofiar swoich szuka i jak najzapalczywiej je ściga. Autor powołuje liczne przykłady równie okrutnego postępowania we Francyi, Anglii, w Niemczech i. i. Takie ogólne, prawdziwie historyczne stanowisko, uchroniło też autora przed łatwą deklamacją na temat nietolerancyi i zaciekłego prześladowania religijnego, które, jak słusznie p. Kr. zaznacza, nie leżało ani w charakterze ani w historii narodu polskiego.

Przy tém szczerem uznaniu dla pracy dobrze pomyślanej i jak najstaranniej pod względem treści, metody i języka opracowanej, załujemy tylko, że szau. autor zdaje się jeszcze dziś podzielać poglądy tych polityków, którzy w opozycyi, występującą rzekomo w obronie wolności i niezależności narodowej, jakoby zagrożonej

w Polsce przez absolutyczne zamiary dynastów saskich, — czcili prawdziwych patryotów, wzorowych obywateli. Ogłoszona bowiem w ostatnich czasach z archiwów pruskich korespondencya „Fryderyka W-go“ demaskuje tych rzekomych patryotów jako płatne — w części świadome, a w części może i nieświadome narzędzia polityki pruskiej, dezorganizującej coraz bardziej Rptą. Ohydzona przez naszych polityków i historyków tak zwana partya „dworska“ w epoce saskiej nie mogła znaleźć lepszej i dokładniejszej rehabilitacyi nad tę, której historykom polskim dostarczyło wydawnictwo oficjalne archiwów pruskich pod tyt. „Politische Correspondenz Friedrichs des Grossen“. Berlin 1879—1885. Tomów 13. Treściwą relacyą z tych 13-stu tomów ogłosił w roku 1886-ym K. Jarochocki w „Przewodniku naukow. i literac.“ (dod. do „Gazety lwowskiej“) Lwów, 1886. Sprawozdanie to rozpoczyna się w zeszycie marcowym i kończy się w zesz. grudniowym r. 1886.

J. K. P.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Rzut oka na stosunki międzynarodowe. Rozruchy na wyspie Kandy, — zatarg Hiszpanii z cesarstwem Marokańskim. — Postępy kolonizacji niemieckiej w Afryce wschodniej. — Polityka wewnętrzna: Koniec ćwiczeń wojskowych w Niemczech, Austro-Węgrzech i Francji. — Antagonizm ekonomiczny i polityczny między Włochami a Francją. — Próba przeprowadzenia ugody między Czechami a Niemcami w Czechach. — Wybory francuzkie do nowej izby na następne lat cztery. Znaczenie ogólne tego faktu. — Wystawa dzieł sztuki zastosowanej do Przemysłu w Muzeum przemysłu i rolnictwa w Warszawie. — Wystawa rolniczo-przemysłowa w Wilnie. — Uroczystość zakończenia starego i otwarcia nowego roku akademickiego w Uniwersytecie Warszawskim dn. 11 września. — Konkurs Akademii Um. w Krakowie dla pozyskania Stypendyum dr. Gałęzowskiego. — Drugi zjazd prawników i ekonomistów we Lwowie dnia 11, 12 i 13 września. — Badania archeologiczno - etnologiczne w Galicyi, podejmowane przez Akad. Um. — Fundacya Aleks. ks. Lubomirskiego na założenie w Krakowie Schroniska dla dziewcząt. — Wilkie Collins.

Fizyognomia polityki i stosunków międzynarodowych w kończącym się miesiącu wrześniu nie odznaczała się żadnem nowym wybitniejszym poruszeniem; ale zachowała swój dawniejszy koloryt szary, powszedni: sąsiad imponujący sąsiadowi manewrującymi setkami wojsk, nie występował jednak z żadną wyzywającą groźbą, nie zapowiadał nic złego na przyszłość. Pod naciskiem potężnych prądów pokojowych nawet rewolucyjne poruszenia Kandyotów, zawiedzione w oczekiwaniu poparcia ze strony rządu greckiego, nie zdołały zakłócić pokojowego nastroju głównych państw europejskich i, zdaje się, że pozostawione sama sobie, przemocą siły zbrojnej tureckiej przez Szakira baszę niebawem stłumione zostaną.

Wynikłe w ostatniej chwili starcie między Hiszpanią a cesarstwem Marokańskiem nie zdoła, zdaje się, rozdmuchać antagonizmu państw, strzegących wyłączności interesów swoich na morzu śródziemnem.

Krwawe nader postępy kolonistów niemieckich pod wodzą kapitana Wissmana na wschodnim wybrzeżu afrykańskiem trzymają się dotychczas granic, które nie budzą jeszcze podejrzliwości polityki kolonizacyjnej Anglii.

Narody Europy środkowej bawiły się jeszcze w dalszym ciągu widowiskiem imponujących ćwiczeń wojskowych, podczas których doświadczano praktyczności najnowszej organizacji sił zbrojnych oraz najświetszych wynalazków, mających powiększyć skuteczność pocisków bojowych, jak np. proch wybuchający bez luku i dymu i to z większą, aniżeli dotychczasowa, siłą. Że cesarz Wilhelm II był zadowolony z armii pruskiej, to już rzecz zwyczajna, równie jak i zasłużone pochwały, których cesarz Franciszek Józef nie szczędził wojskom swoim w Galicyi i na Węgrzech — podobnie jak i generał francuzki Miribel wraz z ministrem wojny Freycinetem nie skąpił ich republikańskim wojskom francuzkim.

Zaognionego już od dosyć dawna antagonizmu politycznego i ekonomicznego między Włochami a Francją nie łagodzą takie manifestacye jak ostatnia pielgrzymka kilkuset Mazzinistów i Garibaldczyków na wystawę paryzką; ale przypominają nawet lecącemu się rannemu Crispiemu w Neapolu trudności jego polityki, opierającej się na sojuszu z „pokojową“ ligą Europy środkowej.

Przedsięwzięta przez gabinet hr. Taaffego próba porozumienia między narodem czeskim a Niemcami w Czechach natrafiła w obozie niemieckim i u Węgrów, truchlejących na samą myśl koronacyi cesarza na króla czeskiego, na tak poważne przeszkody, że nie można wróżyć pomyślnego rezultatu tym rozumnym usiłowaniom gabinetu hr. Taaffego.

Z pomiędzy spraw, które do tej chwili nie przestają w najwyższym stopniu zajmować uwagi całej Europy, należą przede wszystkim dokonane w dniu 22-im września, wybory do izby francuzkiej, ponieważ przypuszczają powszechnie, że położenie wewnętrznej polityki francuzkiej wywierac będzie decydujący wpływ na kombinacye polityki międzynarodowej i na dalsze losy narodowe Francyi. Chociaż ostateczny cyfrowy rezultat wyborów odnośnie do stronictw pojedynczych, poznamy dopiero z wyborów uzupełniających, to już i dzisiaj widoczną jest rzeczą, że republikanie będą mieli większość w przyszłej izbie. Ciekawość polityków stawia sobie tymczasem takie pytania: 1) jaka będzie wysokość cyfry liczebnej tej republikańskiej większości; 2) jakiej będzie natury ta większość? Czy będzie bardziej jednolitą aniżeli poprzednia, czy też równie rozbitą i rozdwojoną jak poprzednia, dosyć silna, aby każdy rząd obalić, a za słaba i nadto ruchoma:

aby raz postawiony utrzymać, 3) które stronnictwa zarobiły z powodu wyborów, a które straciły na gruncie podstawowym w kraju; 4) w jakim kierunku mogą się na tej nowej podstawie rozwinąć dalsze stosunki życia publicznego we Francyi. Na żadne z tych pytań zasadniczo odpowiedzieć nie można, bo stosunki te zdołają się dopiero po kilkutygodniowej akcji parlamentarnej jako tako ułożyć, i wtedy dopiero nastreczą też sposobność dla pewniejszego sposobu rozumowania i wskażą wyraźniejszy kierunek usposobień nowych reprezentantów narodu.

W interesie Rpltej życzyłoby należało, żeby się powiodło skojarzyć silną grupę większości z zastępu republikanów umiarkowanych. bo już dotychczasowy wypadek wyborów dowodzi, że opinia publiczna coraz bardziej zwraca się ku rzeczypospolitėj, że wrzask o rewizyę konstytucyi był tylko agitacyą sztuczną przeciw Rzpltej, bo podnosiły go jednozgodnie stronnictwa wrogie sobie nawzajem, tylko chwilowo ze sobą sprzymierzone. Z upadkiem bulanżyzmu nikt się dla rewizyi nie zapala, ani republikanie umiarkowani, bo rewizya znaczy obalenie rzeczypospolitėj umiarkowanej, ani rojaliści, bo i oni stracili dziś nadzieję obalenia rzeczypospolitėj dla swojej dynastyi, ani bonapartyści, bo i oni, skompromitowani otwartym sojuszem z bulanżyzmem, nie mogą się spodziewać z rewizyi żadnych dla siebie korzyści. Tylko fanatycy republikanizmu krańcowego albo nieprzejednanėj opozycyi mogą popierać ideę rewizyi obowiązującej dziś ustawy republikańskiej. Zaprzeczyć jednak nie można, że bardzo poważne głosy prasy europejskiej obawiają się, żeby nowa izba nie była tyle warta, co ostatnia, że może z początku jedność republikanów się utrzyma, ale że trwać nie będzie, że większość wróci do swych narowów niezgody i chaotyczności. Rzeczpospolita ocalona na chwilę od swych wrogów, teraz potrzebuje być wybawioną od swych przyjaciół. (Stantard).

W dniu 1-o listopada r. b. urządzoną będzie staraniem komitetu Muzeum przemysłu i rolnictwa w Warszawie w gmachu Muzeum (Krakowskie Przedm. 66) Wystawa dzieł starożytnėj i nowożytnėj sztuki zastosowanėj do przemysłu — i trwać będzie do końca grudnia r. b.

Na wystawę tę przyjmowane będą przedmioty sztuki starożytnėj i nowożytnėj wszelkiego rodzaju, noszące na sobie cechę piękna i artyzmu, z wyłączeniem obrazów olejnych i rzeźby artystycznej, należące do działu sztuk pięknych. Wszelkie zaś inne okazy, od najodleglejszėj epoki aż do naszych czasów i rzeczy charakterystycznie pamiątkowe wejdą w skład wystawy; wyłączone tylko będą dokumenty historyczne.

Urządzona w miesiącu wrześniu wystawa rolniczo-przemysłowa w Wilnie obejmuje wyłącznie cztery gubernie północno-

zachodnie: wileńską, mińską, kowieńską i grodzieńską, dla tego nie można też szukać tu nadzwyczajnej okazałości we wszystkich gałęziach pracy rolniczej i przemysłowej. Ścisłejszy jednak egzamin przekonywa, że ilość krajowych okazów, mianowicie w dziale inwentarzy, jest wcale okazałą i dobór umiejętny. Nie można tego powiedzieć o gałęzi przemysłu. W każdym razie z radością zaznaczyć trzeba, że urządzenie wystaw rolniczo-przemysłowych znalazło w Wilnie grunt odpowiedni, że instytucja ta zyskuje z każdym rokiem coraz większą popularność wśród miejscowego społeczeństwa, a to stanowi już bardzo wiele w obec ubóstwa treści życia społecznego i dla tego zasługuje na wszechstronne poparcie.

Dnia 11 września odbyła się w uniwersytecie warszawskim uroczystość zakończenia roku naukowego oraz rozpoczęcia nowego. Akt zagał dziekan wydziału historyczno-filologicznego, profesor Budilowicz, przemową, w której zaznaczył, iż w roku akademickim wykładane były wszystkie przedmioty z wyjątkiem chemii anatomicznej, oraz, iż powiększono fundusz grona profesorskiego. Fundusz ten ma być udzielany do czasu wprowadzenia ustawy z r. 1884 do tutejszego uniwersytetu. W końcu zaś swój mowy dziekan wspomniał, iż widzi potrzebę powiększenia dzieł dla biblioteki studentów oraz rozszerzenia laboratoryów. Po skończonej mowie, na estradę wstąpił prof. Sengier i wypowiedział odczyt: „O żydach w państwie rzymskiem“, który zajął blisko godzinę czasu. Następnie profesor Samokwasow odczytał sprawozdanie, z którego dowiadujemy się, że grono profesorów składało się z 73 osób, z których w ciągu roku zmarło dwóch profesorów: Chraszczewski i Ulianin. Uwolniono z powodu wysłużenia lat emerytalnych prof. Mikuckiego i Wrześniowski; profesora zaś Kosińskiego, który wysłużył 25 lat, pozostawiono na służbie do roku 1894. Z ogólnej liczby 1,256 studentów ukończyło kursa 124, opuściło uniwersytet przed ukończeniem kursów 64 studentów i 20 farmaceutów, uwolniono z powodu niewnieśienia wpisu 53, zmarło zaś w ciągu roku sześciu studentów. Z funduszu rs. 39,285, przeznaczonego na stypendya, korzystało 208 studentów, uwolniono od opłaty wpisu 226 studentów na sumę rs. 5,650, wsparć jednorazowych wydano studentom na sumę rs. 10,596 kop. 60.

Akademia Umiejętności w Krakowie ogłasza konkurs dla pozyskania stypendyum imienia Śniadeckich z fundacyi ś. p. Seweryna Gałęzowskiego w kwocie pięć tysięcy franków rocznie, które ma być nadane od 1 listopada r. b. O stypendyum to ubiegać się mogą asystenci lub docenci obu uniwersytetów galicyjskich, lub jednego z zagranicznych (ci ostatni z warunkiem dostatecznej do

wykładu biegłości w języku polskim). Stypendyum to na rok 1889/90 przyznane być może tylko kandydatom poświęcającym się naukom przyrodniczym. Do podań, które najdalej po koniec października b. r. wnosić należy do Akademii Umiejętności (Kraków ulica Sławkowska) dołączyć należy: 1. Dowód, że kandydat jest asystentem lub docentem jakiego przedmiotu, jak dawno, ilu miał słuchaczy. 2. Prace naukowe, bądź już drukiem ogłoszone, bądź w rękopiśmie będące. 3. Program studyów, które w ciągu roku przedsiębrać zamierza.

Po upływie pierwszego półrocza kandydat będzie obowiązany złożyć sprawę z prac naukowych, któremi zajmował się w tym czasie i usilność swoją w téj mierze w właściwy sposób udowodnić.

Sumę sobie przyznaną stypendysta odbierać będzie w ratach półrocznych z góry.

Dnia 11-o 12-o i 13-o września odbył się we Lwowie drugi Zjazd prawników i ekonomistów polskich, jak było postanowioném na I-szym przeszłorocznym Zjeździe w Krakowie. Ogłoszony w swoim czasie w pismach codziennych szczegółowy program naukowych zajęć Zjazdu imponował taką obfitością tematów z dziedziny prawa, ekonomii i nauk społecznych, że przewidywać trzeba było, iż przy najusilniejszej pracy nie podobna w ciągu trzech dni materiału tego przedyskutować i do wymotywowanych w każdej sprawie przyjść wniosków. Najlepsze to, ale zbyt szerokie zamiary utrudniły właśnie wykonanie programu postanowionego, z czego gospodarczy komitet następnego „Zjazdu“ do Poznania za 3 lata naznaczonego, korzystać nie zaniedba. Opis zewnętrznej strony samego Zjazdu nie może być zadaniem naszój kroniki, która w tém miejscu nie zdoła nawet przedstawić sprawozdania z przebiegu samych obrad, ponieważ każdy z rozbieranych przedmiotów zasługiwałby na specjalną, gruntowną relacją. Tymczasem musimy poprzestać na treściwej tylko wiadomości informacyjnej.

Przedewszystkiém nadmienić trzeba, że Zjazd tegoroczny był liczniejszy (370 uczestników) od zesłorocznego, chociaż pałstra lwowska zachowywała się nieco obojętnie w obec uroczystości naukowej— u nas jeszcze nowój. Dla pochwycenia choćby jak najtreściwszego obrazu naukowych czynności zjazdu, nadmieniamy, że prace kongresowe odbywały się na posiedzeniach plenarnych i na posiedzeniach specjalnych 2-ch osobnych sekcji, prawniczój i ekonomicznój. Na pierwszém plenarném posiedzeniu, zagajoném znakomicie pomyślaném przemówieniem prezesa zjazdu, rektora Piętaka, mówił najprzód p. Witold Skarzyński z W-o Ks. Poznańskiego „O historycznym rozwoju rolnictwa polskiego pod panowaniem pruskim“, przy czém dał ogólny pogląd na obecne położenie równie większój jak i mniejszój własności ziemskiej w Wielkopolsce. P. Skarzyński podzielił te smutne dzieje na

3 okresy, mianowicie: 1-szy od rozbioru kraju do r. 1831-o, 2-gi od 1831 go do 1870 i 3-ci od 1870 do chwili obecnej. W panoramie tych stuletnich dziejów naszej większej własności ziemskiej odróżnia p. Skarżyński trzy typy szlachty osiadłej na roli „bene nati et possessionati“, mianowicie: a) lekkomyślnych i leniwych, za których sprawą znakomita ilość dóbr z rąk polskich wypadła; b) przeczornych, rozsądnych i statecznych, ale pozbawionych zmysłu i wiadomości agronomicznych, gospodarujących dawnym obyczajem, unikających wszelkich nakładów, rządzących się oszczędnością; c) rolników fachowych z teorią i postępową praktyką rolnictwa dokładnie obeznanych (wzorem generał Dezyd. Chłapowski). Rolnicy typu 2-go zachowali ziemię w swoim ręku; ale nie wywarli żadnego wpływu na rozwój gospodarstwa narodowego, a niepopularność generała Chłapowskiego po r. 1831-ym stała się parawanem dla pseudo-postępowych rolników, którzy zmarnowali dużo ziemi w najbardziej sprzyjających warunkach. Szczęściem nie brakło też w tym okresie ludzi rozumnych, racjonalnie gospodarujących, którzy majątki swoje podwoili (Potworowscy, Ślascy, Mielżyńscy, Czarnecki, Potocki, Żółtowscy, Skarżyńscy, Graeve i. i.) Okres od 1878 r., najświetniejszy pod względem rozwoju rolnictwa, jest najsmutniejszym dla własności większej, wskutek zmiany warunków gospodarstwa, kryzysu handlowego i t. p., z którego korzystając rząd pruski, uchwała sto milionów marek funduszu na wykupno dóbr polskich dla kolonistów niemieckich z zamiarem zadania najcięższego ciosu polskiej własności ziemskiej.

Dla własności mniejszej najtrudniejszym był okres od roku 1831 do 1870, w którym wiele osad włościańskich drogą sprzedaży i kupna zlało się z własnością dominialną. Dopiero w okresie 3-im, dzięki kółkom włościańskim i stałej opiece szlachty i duchowieństwa, dobrobyt włościan się powiększył a z nim obudziło się poczucie obowiązków obywatelskich, poczucie, które tak przeraziło germanizatorów ziem słowiańskich, że aż dla całego waterlandu poważnego w tém niebezpieczeństwie dopatrywali. Osławione banicje pruskie są obłudnym wyrazem téj manifestacyjnej trwogi.

P. Skarżyński, opierając się na statystyce, dowodzi wreszcie, że jakkolwiek ubytek ziemi w rękach polskich od r. 1848 ciągle postępuje, to stosunek roczny owego ubytku nie powiększył się wcale w ciągu peryodu ostatniego, przy całej grozie funduszu kolonizacyjnego, z czego czerpie otuchę, że własność ziemska pod panowaniem pruskim bronić się może przed grabieżą, germanizatorską, gdyby tylko nie słabło poczucie obowiązków obywatelskich i gdyby wzmogła się chęć do rozumnej pracy.

Skoro odczyt ten w całości wydrukowany zostanie, nastreczy prasie polskiej pożądaną sposobność do gruntownej dyskusji, która słabsze lub niedomówione szczegóły objaśnić i udokładczyć dopiero może.

Na ogólne żądanie uczestników zjazdu odczyty Włodz. Spa-

sowicza („O obecnym stanie ziemstwa w cesarstwie i zamierzonych reformach“) i Stanisława Szczepanowskiego („O potrzebie stworzenia szkoły narodowej w nauce gospodarstwa społecznego“), przeznaczone do rozbioru w sekcjach, odbyły się w obec sekcji połączonych, tak, że o nich w tém miejscu wzmiankować trzeba. P. Spasowicz zobrazował najnowszą organizacją administracji niższej i sądownictwa w Rosyji, poczem streścił dalsze, nieurzędywistnione jeszcze projekty hr. Tołstoja. P. Szczepanowski zaimprovizował rzecz swoją w sposób może nie dosyć gruntowny, ale nader sympatyczny, co się i w całej dyskusyi nad jego tematem ujawniało.

Ostateczny rezultat obrad w sekcjach przedstawia się w obrazie następującym. Sekcja prawnicza uznała potrzebę organu, poświęconego teoryi prawa (ref. Suligowski). Dalej uznano za konieczne połączenie gminy galicyjskiej z obszarem dworskim (ref. H. Konitz); poparto myśl o potrzebie ustawy transportowej i frachtowej na drogach żel. austriackich (ref. Listowski), uchwalono dalej, że przysięga w procesie cywilnym jest usprawiedliwiona, zgodna z tradycją i ze wszech miar na utrzymanie zasługuje (Boduszyński), że w interesie drobnej własności ziemskiej potrzebne jest uwalnianie od egzekucyi (za długi) pewnej przestrzeni zagrody rolniczej, niezbędnej dla wyżywienia dłużnika i jego rodziny (ref. Parczewski), że prawo dziedziczenia krewnych pobocznych trzeba ograniczyć do bliższych stopni, a w braku ich, jako dziedzica beztestamentowego uznać gminę zmarłego (ref. Zoll).

Sekcja ekonomiczna. Prof. J. Milewski („O reformie prawa spadkowego w odniesieniu do własności ziemskiej“) nauczał, że dzisiejsza równość działów przy spadkobranii jest zgonną dla własności ziemskiej; poseł zaś Adolf Vayhinger („Czy ze względów ekonomicznych i społecznych ustawa państwowa o spadkach włościańskich dla Galicyi jest pożądana, oraz czy i o ile w razie przyjęcia tej ustawy podzielność gruntów chłopskich ma być ograniczona“) bronił stanowiska wręcz przeciwnego, uznając ustawę spadkową w Galicyi za niepotrzebną i ograniczenie podzielności za nieusprawiedliwione. Obydwa te referaty wywołały nadzwyczaj ożywioną i wielostronną dyskusją, która jednak do żadnej uchwały nie doprowadziła. Takie zawieszanie spraw rozbieganych na Zjeździe do dalszych decyzji, podkopuje w wysokim stopniu powagę Zjazdów naukowych, bo rzuca na nie pozór popisowej gawędy, z której nauka trwałej korzyści odnieść nie może. Na popołudniowej sessyi odczytał dr. Kozłowski swoją rozprawę „O zadaniach polityki agrarnej w obec przesilenia rolniczego“ (bez dyskusyi). Stan. Kłobukowski z Wiednia „Roczna emigracja polska i środki zapobiegające złemu z niej wpływającemu“ (nie mogąc zapobiedz emigracyi należy się nią zaopiekować i bronić lud przed wyzyskiem agentów); Mikołaj Fedorowicz „O przemyśle naftowym w Galicyi“ (domagał się krajowej marki

przy sprzedaży nafty bez podszywania się pod markę amerykańską). Wład. Kraiński, właściciel ziemski z Galicji, „O organizacyi kredytu włościańskiego w Galicji“. W sprawie tej uchwalono, aby obok kas pożyczkowych już skutecznie działających, powoływano do życia i tworzone nowe kasy gminne, z uwzględnieniem stosunków miejscowych. Mecenaz Flam z Warszawy przerwał rozpoczęty swój referat „O spółkach rolniczych,“ bo dla spóźnionej pory sala się już straszliwie była wyludniła. Na wniosek p. Tilla uchwalono wreszcie zebrać się na III Zjazd w Poznaniu za lat trzy.

Z wycieczek, zarządzonych w tym roku przez Akademię Umiejętności w Krakowie w celu badań antropologiczno-archeologicznych i etnologicznych, pr. Kopernicki zawiadomił przewodniczącego w komisji antrop. prez. Majera, że w Lipnicy zastał już tylko szczątki wspaniałego cmentarzyska, że jednak mimo to, dla zbadania przynajmniej brzegów, rozkopał przeszło 200 metrów kwadratowych. Były tam same resztki, takie jednak, że opłaciły trud i koszt przez Akademię poniesiony. Stwierdził się tam fakt ciekawy, że w okresie żelaza jednocześnie grzebano i palono ciała zmarłych. Między popielnicami kształtów całkiem odmiennych od nadwiślańskich, przybałtyckich i zachodnio-słowiańskich, znalazły się jeszcze inne ciekawe okazy, a w jednej z nich piękna fibula żelazna, na wzór bronzowych rzymskich z czasów Trajana.

Dodatkowo zawiadomił jeszcze p. Kopernicki, że we wsi Sarnki, 1 i pół mili od Bursztyna, mają być w skale wapiennej jaskinie podobne do Ojcowskich, że więc warto byłoby zawiadomić o tém p. Ossowskiego, robiącego w tym kierunku poszukiwania z ramienia Akademii.

Aleksander ks. Lubomirski, dobroczyńca, którego nazwisko tak dobrze już znaném jest polskiej publiczności z ofiarowania przed paru laty sumy dwóch milionów franków na urządzenie w Krakowie schroniska dla osieroconych chłopców, nowym aktem hojnej ofiarności zasłużył się krajowi. Książę złożył do rąk ks. biskupa krakowskiego Dunajewskiego milion franków, z przeznaczeniem na urządzenie przytułku dla osieroconych i zaniedbanych dziewcząt. Pierwsza myśl szlachetnego ofiarodawcy nie została jeszcze dotąd wprowadzoną w życie. Tłum małoletnich nieszczęśliwych biedaków oczekuje postawienia gmachu, w którym ma być dla nich uorganizowaną opieka i przytułek. Równie potrzebne i równie doniosłe schronisko dla dziewcząt wcześniej zostanie założoném, gdyż sposób, w jaki się do tego zabrano, energiczniejszym się zdaje. Upoważniony przez fundatora książę biskup zakupił już dla urządzenia schroniska dla dziewcząt 28 morgów gruntu

w Łagiewnikach, przygotowanie zaś planów budowy, powierzono zaszczytnie znanemu architektowi p. Karolowi Zarembie.

W przytułkach odbywać się będzie część szlachetnej pracy umoralnienia maluczkich i nieszczęśliwych, którym społeczeństwo, dzięki pomocy jednostki, rodzinę zastępować będzie w stanie. Wdzięczność nietylko współczesnych, pojmujących doniosłość tych instytucyi, lecz i potomności, dla której mają one wéjść w życie, nazwisko Aleksandra księcia Lubomirskiego otoczy trwałą pamięcią.

Wilkie Collins, jeden z najznakomitszych współczesnych powieściopisarzy angielskich, zmarł 22 września w Londynie, w 65 roku życia. Był on synem głośnego w swoim czasie malarza pejzażysty, ale przez dłuższy czas nie myślał ani o karierze ojca, ani o późniejszym swoim zawodzie literackim. Sposobił się do handlu i zdawało się, że przy kupiectwie pozostanie przez całe życie. Dopiero przypadek odkrył w nim niepospolite zdolności literackie. Po śmierci ojca skreślił jego biografią, która zwróciła na niego powszechną uwagę i ogólnie się podobała. Pierwszą swoją powieść osnuł na tle rzymskiem, dając jej tytuł: „Antonina, czyli upadek Rzymu.“ a za nią poszły wkrótce inne. Niebawem pozyskał też uznanie Dickensa i został jego współpracownikiem. Dwie z nowel, zawartych w cyklu Dickensowskim „Household Words“, są pióra Collinsa: „Tajemnica grobu“ i „Wśród ciemności“. Najpopularniejszym jednak z jego romansów jest „Woman in white“ (Kobieta w bieli), ogłoszony w r. 1859. Powieści jego odznaczają się głównie sensacyjną treścią, choć nie brakuje im także głębszego podkładu psychologicznego. Pisywał też i dla sceny z niemalém powodzeniem. W roku 1873 odbywał podróż po Ameryce Północnej i podobnie jak niegdyś Dickens w Anglii, miewał tam odczyty o literaturze, które mu spory dochód przynosiły. Tłómaczono go na wszystkie niemal języki europejskie. W języku polskim w zbiorze: „Bibliot. najciek. pow. i rom.“ Lwów 1871 r.

WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE.

A n t y k w a r y a t M a u r y c e g o S t a n k i e w i c z a w K r a k o w i e o g ł o s i ł k a t a l o g 1. dzieł, które ma na składzie. Spis ułożony systematycznie i przejrzysto, obejmuje 732 numerów. Przy każdym oprócz ceny podane są objaśnienia i krótki opis. Spotykamy tam stare druki, różne rzadkości bibliograficzne, dzieła wyczerpane w handlu księgarskim, mało przystępne broszury lub odbitki z rozpraw, umieszczanych w dziełach zbiorowych i czasopismach. Cały zbiór ma cechę czysto naukowo-literacką i zawiera same rzeczy polskie lub do Polski się odnoszące.

P. St. Botwiński wydał broszurę pod tyt. „Bibliografia prawnicza, obejmująca dzieła z dziedziny prawa, ekonomii, statystyki i nauk społecznych z ostatnich lat dwunastu (1878—1889)“. Lwów 1889. W broszurze tej, będącej nader pożyteczną i pełną znaczenia pamiątką dla uczestników drugiego zjazdu prawników i ekonomistów polskich, zestawił p. B. według poszczególnych działów 684 dzieł i rozpraw. Publikacja ta w obec warunków sądownictwa w Królestwie Polskiem i W. Ks. Poznańskiem, świadczy dosyć korzystnie o żywym ruchu w tej dziedzinie umiejętności.

Wydawnictwa Akademii Umiejętności w Krakowie pod tyt. „Biblioteka Pisarzy Polskich“ wyszły w dalszym ciągu: M a r c i n a K w i a t k o w s k i e g o: a) „Książeczki szkolne o pocziwém wychowaniu dzieci“ podług wyd. 1564.—b) „Wszystkiej ziemi Lifflandzkiej opisanie“. 1567. Wydał Zygmunt Celichowski. Krak. 1889. Dziełka te nie mają same przez się wielkiej wartości; ale zasługiwały na ogłoszenie jako dokumenta ówczesnego języka. Książeczka pierwsza jest tłumaczeniem dziełka Vergeriusza, który ją pisał w końcu wieku XIV-go dla

swego wychowawca Ubertina di Carrara, syna ówczesnego władcy Padwy. Traktacik ten jest rozumny i odpowiada pojęciom wieku; ale tłumaczenie polskie Kwiatkowskiego jest liché w porównaniu z daleko już lepszymi wzorami współczesnymi. — „Opisanie Ziemi Lifflandzkiej“ jest krótkim wyliczeniem ziem, z których się Inflanty składają. — Autor wymienia prócz tego znaczniejsze miasta i zamki z dokładną wskazówką, co należało do Polski, co do króla szwedzkiego, a co do wielkiego kniazia moskiewskiego. Wydawca podał w przedmowie kilka wiadomości biograficznych o M. Kwiatkowskim, który był gorliwym protestantem, do protestantyzmu (jako prawdziwej wiary) namawiał także Zygmunta Augusta, zostawał w służbie Alberta brandeburskiego, całą duszą mu oddany.

Marcina Bielskiego. Satyry, a) „Sen Majowy“, str. 1—18; b) „Rozmowa baranów“ (19—53); c) „Sejm niewieści“ (55—95). — Wydał dr. Władysław Wisłocki. Krak. 1889. — W słowie wstępném (str. V—XV) określa p. Wisłocki znaczenie literackie tych 3-ech utworów — a w końcu objaśnia niektóre ustępy i podaje słowniczek wyrazów dzisiaj już mniej zrozumiałych.

Dr. Władysław Erzepki wydał z rękop. Poznańskiego Tow. Przyjaciół Nauk świeżo znowu dwa poematy Wacława Potockiego, którycheśmy dotychczas nawet z tytułu nie znali, mianowicie: a) „Zgoda. Do żalósnej korony polskiej po traktatach tureckich“. Poznań 1889 str. 12. b) „Do żalósnej korony po traktatach tureckich. Tamże. Wierszy 72. — Obydwa te utwory są w porównaniu z „Wojną Chocimską“, „Pogromem tureckim“, „Peryodami“ znacznie słabsze nie tylko pod względem poetyckim; ale i pod względem treści.

W Budapeszcie ukazała się świeżo książka, zatytułowana: „Báthory István Lengyel Királylyá választása (Batory i stosunki dyplomatyczne Węgier i Polski). Autorem jest znany dziejopis węgierski Łajos Szédecki, znawca rzeczy polskich, oraz piśmiennictwa polskiego. Piastuje on jedną z wyższych godności w węgierskiem ministerstwie spraw zagranicznych, otwarty ma wstęp do archiwum dyplomatycznego, z czego korzystał przy zbieraniu materyałów do panowania Batorého.

„Instrukcyja do przeprowadzenia melioracyi rolnych“, przez Władysława Habdank Korzybskiego. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa 18-9.

„Bank włościański“ przepisy, objaśnienia i wzory, zebrał Emil Weidel. Zeszyt I. Warszawa, 1889.

„Siły przyrody“, popularny wykład fizyki i główniejszych jej zastosowań, podług dzieła A. Guillemin'a, opracowany przez J. Nusbauma i H. Silbersteina. Warszawa, r. 1889. Zeszyt 6-ty i 7-my.

Nakładem księgarni Teod. Paprockiego wyszedł z druku „Przewodnik dla teatrów amatorskich“, przez Wincentego Rapackiego. Jest to rzecz, przeznaczona do użytku osób, urządzających widowiska amatorskie, oraz dla tych, którzy w takich przedstawieniach występują, jako artyści. Część pierwsza obejmuje następujące przedmioty: wyszukanie odpowiedniej sali; zbudowanie sceny; urządzenie jej; dekoracye i oświetlenie; wybór sztuki, obsada ról, próba czytania i próby pamięciowe, przedstawienie, kostiumy, charakterystyka. Część druga: wymowa, gest, mimika, wybór sztuki, zbyteczne krępowanie się przy wyborze, uscenizowanie komedyi, zasadnicza myśl autora, wskazówki charakterystyczne. W końcu p. Rapacki podaje dla przykładu uscenizowaną komedya Kraszewskiego: „Kosa i kamień“, tudzież zamieszcza długi spis sztuk przydatnych do grania w teatrach amatorskich.

Również nakładem ruchliwej nader i zabiegliwej księgarni T. Paprockiego, który w ostatnich latach wielu pożytecznymi książkami literaturę naszą zubożył, wyszły następujące książki: A. Schroota „Życie i zdrowie Człowieka. Higiena popularna dla wszystkich. Tłóm. A. Fabian. Warsz. 1889. Zesz. 5-ty (ostatni).

„Świat kobiety“. Przez autora dzieła „Jak być szczęśliwym w małżeństwie“ przełożyła z angielskiego Walerya Marrené. Warsz. 1889.

Edmund de Amicis „Pamiętnik chłopca“. Książka dla dzieci. Przełożyła z upoważnienia autora Marya z Siemiradzkich Obrąpalska. Warsz. 1889. Str. 423. Książka E. de Amicis jest oryginalnie pomysłana i może obudzić niepoślednie zainteresowanie w uczącej się młodzieży.

N e k r o l o g i a .

† Dnia 26 sierpnia r. b. zakończył doczesny żywot ś. p. Aleksander Kazimierz **Gintowt-Dziewałtowski**, arcybiskup Mohilewski, metropolita wszystkich kościołów rzymsko-katolickich w Rosyi, w Düderhofie pod Krasnem Siołem, gdzie przebywał na letniem mieszkaniu.

Ś. p. arcybiskup Mohilewski urodził się w dziedzicznej wsi Wojszkonach, na Żmudzi w gub. Kowieńskiej dnia 26 lutego 1821 r. Początkowe nauki pobierał w domu rodzicielskim, następnie kształcił się w szkole szlacheckiej w Kiejdanach. Roku 1839 wstąpił do zgromadzenia ks. ks. Misjonarzy w Wilnie, a w skutek kassaty tego Zgromadzenia (10 grudnia 1842 r.) jako kleryk przeszedł do Seminarjum dyecezyalnego Śt. Jerzego w tymże mieście, gdzie ukończywszy studia teologiczne 1845 r. wyświęcony został na kapłana i przeznaczony na wikaryusza parafii Wytkowskiej. a w roku następnym i na nauczyciela religii w miejscowej szkole powiatowej. Nie może być naszym zadaniem postępować za ś. p. ks. Aleksandrem po coraz wyższych stopniach hierarchii kościelnej, które sumiennym spełnianiem obowiązków kapłańskich i niepospolitą zdolnością umysłu, przy zamiłowaniu prac naukowych, dosyć szybko zdobywał (zob. „Przegląd Katolicki Nr. 36 z d. 5-go września r. b.); nadmieniamy tylko, że wśród starań o przeniesienie się do dyecezyi warszawskiej, prekonizowany został w r. 1872-im na biskupa helenopolitańskiego *in part.* i sufragana płockiego. Po przeniesieniu biskupa Płockiego W. T. Popiela, na stolicę biskupią Kujawsko-Kaliską (1876), został ś. p. ks. Aleksander wybrany na Administratora dyecezyi płockiej, a dnia 15 marca 1883 prekonizowany arcybiskupem Metropolitą Mohilewskim, stanął w Petersburgu 11 maja t. r. Ocenienie wszechstronne pożytecznej działalności kapłańskiej i metropolitanej zmarłego nie jest zadaniem pisma naszego. Dla oddania atoli należnego hołdu pamięci zmarłego arcybiskupa, zaznaczamy jego szczególniejszą troskliwość o wychowanie i wykształcenie kleryków, sposobiących się do stanu duchownego, najprzód w Płocku, a potem w Petersburgu. W Płocku wyjednał ś. p. arcybiskupsterz swém usilnym staraniem fundusz na znaczne rozszerzenie i gruntowną restauracyą gmachu seminarjum duchownego, a przez wybór odpowiedniego regensa nadał energiczniejszy naukowy kierunek tej instytucyi; w Petersburgu zaś podniósł tamtejszą akademią duchowną do znaczenia zakładu uniwersyteckiego przez obudzenie wyższego życia umysłowego i duchowego, którem obecnie jaśnieje pod kierunkiem prałata wielkiej nauki i wielkiego

serca. którego trudy podejmowane ku podniesieniu i oświeceniu tej szkoły pracą i władzą swoją jaknajskuteczniej popierał.

Niez mordowany w pracy około winnicy Pańskiej znalazł ten czcigodny dostojnik kościoła dosyć jeszcze czasu na gorliwe opiekowanie się zakładami dobroczynnymi w stolicy oraz w całej swój ogromnej diecezyi, — nie mniej i na pielęgnowanie nauki tudzież sztuk pięknych, w których szczególniejsze miał upodobanie. Obok sprawowania obowiązków arcybiskupskich, przewodniczył katolickiemu kolegium, składającemu się z przedstawicieli wszystkich diecezyi, przebywających stale w Petersburgu, reorganizował katolicką akademię duchowną, otaczał swoją opieką katolickie towarzystwo dobroczynności, wspierał ubogich, pracował w dziedzinie nauk popularnych i t. d. i t. d. Przy ciągłych zajęciach pisywał dawniej poezye ulotne i rozprawki popularne, któremi wzbogacał „Kółko domowe“ i „Kronikę rodzinną“, a nawet już jako arcybiskup, przy tak rozlicznych obowiązkach, pióra nie zarzucał, owszem pisał ciągle, lecz odtąd prac swoich nie ogłaszał. Wyjdą one na widok publiczny zapewne nie za długo ku zbogaceniu piśmiennictwa popularnego. Nie ma prawie gałęzi pracy kapłańskiej i obywatelskiej, w którejby zmarły arcybiskup działalności swjej nie był zaznaczył i dla tego pozostawił po sobie nie tylko żal ogólny, ale i wdzięczność powszechną. Cześć jego pamięci!

† Dnia 3-go września zmarł w Poznaniu ś. p. **Antoni Jerzykowski**, profesor języków starożytnych, pedagog wyborny i zacny obywatel. Ś. p. Antoni Jerzykowski urodził się w r. 1821 w W. Ks. Poznańskim. Po ukończeniu gimnazjum w Poznaniu udał się na wydział filologiczny w uniwersytecie wrocławskim, gdzie w r. 1842-im otrzymał stopień doktora filozofii, a następnie posadę nauczyciela w Trzemesznie, zkąd po kilku latach przeniesiony został na taką posadę do gimnazjum Maryi Magdaleny w Poznaniu. Ponieważ po wstąpieniu na tron Fryderyka Wilhelma IV zlagodniała nieco działalność germanizacyjna w W. Ks. Poznańskim i w szkołach dopuszczono język polski jako wykładowy dla niektórych przedmiotów — przeto, po długim wszechwładnem panowaniu niemieczyny, dawał się uczuwać brak dobrych podręczników polskich do historii oraz języków łacińskiego i greckiego. Ś. p. Jerzykowski postanowił ten brak usunąć. Wydał tedy w Trzemesznie w r. 1844-ym: „Krótki rys historii powsz.“ — „Zadania do tłumaczenia z greckiego na polskie i z polskiego na greckie“; w Lesznie zaś w r. 1852-im: „Zadania do tłumaczenia z łacińskiego na polskie i z polskiego na łacińskie“. Też same zadania dla klas średnich gimnazjalnych wydał jeszcze w roku 1866 i 1870 i 1871. Wyborne też są jego dzieła: „Gramatyka polska dla początkowego użycia“, wydana w Ostrowie jeszcze w r. 1846-ym, a w drugiej edycji w Poznaniu w r. 1864-ym oraz „Geografia do początkow. użycia“, Ostrow 1846.

† Dnia 20 września r. b. umarł w dobrach swoich w Linowie,—w powiecie Opczyńskim gub. Radomskiej w 71-ym roku życia s. p. **Roman Cichowski**, obywatel ziemski, znany w świecie rolniczym wynalazca machin i narzędzi gospodarczych.

Przebywszy rozmaite koleje losu, przed laty kilkadziesiąt s. p. Cichowski osiedlił się stale na wsi i w krótkim czasie zjednał sobie opinią znakomitego gospodarza. Pragnąc doprowadzić uprawę roli do możliwej doskonałości, przemysliwał nad wynalezieniem narzędzi, któreby zadanie to ułatwiały, zbudował tedy własnego pomysłu pług, bardzo dziś rozpowszechniony i znany pod nazwą „pługa Cichowskiego“. Na wystawach rolniczych w Paryżu i Londynie pługi konstrukcyi s. p. Cichowskiego odznaczono medalami. Zachęcony powodzeniem założył fabrykę narzędzi rolniczych najpierw w majątku swoim Linowie, a następnie w bliskości hut żelaznych w Bliżynie. Ulepszał konstrukcyę narzędzi rolniczych i z zamięłowaniem oddawał się ich budowie. Gospodarstwo prowadził bardzo dobrze, zasilałc niejednokrotnie pisma rolnicze swemi artykułami. Osobno ogłosił drukiem: 1) Odpowiedź na artykuł p. Albina Kohna pod tyt. „Próba narzędzi rolniczych odbyta w dniu 25 czerwca 1858 r. na polach folw. Wawryszewa. Warsz. 1859. 8 o str. 32 — 2) Opis pługów i narzędzi rolniczych, wedle własnego pomysłu wykonanych wraz ze sposobem ich użycia—z 17 drzeworytami. Warsz. Orgelbrand 1871. 4, str. 24.

Jako człowiek charakteru prawego i zacnego, s. p. Cichowski zjednał sobie szacunek i sympatyę całej okolicy. Cześć jego pamięci!

† Dnia 21 września r. b. zmarł we Lwowie w 52-im roku życia s. p. **Juljan Kołaczkowski**, wysłużony inżynier drogi żelaznej Karola Ludwika, nadzwyczajny Członek Krakowskiej Akademii Umiejętności. S. p. Juljan pracował w dziedzinie historii sztuk pięknych i archeologii i pozostawił z tego pola następujące cenne prace: 1) „Słownik rytowników polskich tudzież w Polsce zamieszkałych lub czasowo w niej przebywających od najdawniejszych do najnowszych czasów, jako przyczynek do historii sztuk pięknych w Polsce“. Lwów 1874. (obitka z „Rocznika dla archeologów). 2) „Spis rycin Antoniego Oleszczyńskiego“. (Obitka z „Bibl. Warszawsk.“ 1880, kwiecień). Warsz. 1880—3) „Wiadomość o dawnych fabrykach w Polsce“. (Przewodnik nauk. liter. Lwów 1880). 4) „Wiadomości tyczące się przemysłu i sztuki w dawniej Polsce“. (Krak. i Warsz. 1888, 8-o str. 744.—5) „O architektach i budowniczych w dawniej Polsce“.—Zmarły pozostawił bibliotekę, zawierającą cenne dzieła z zakresu archeologii.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca J. K. Plebański.